

**GDY PRZYJDZIE
DO NAS WOJNA**

**PIOTR
MARECIK**

**SZYMON
SMAGA-KUMOREK**

**ANDRZEJ
CHODACKI**

GDY PRZYJDZIE DO NAS WOJNA

**NIEMIECKA OKUPACJA GMINY DĘBNO
W LATACH 1939-1945**

Wrocław 2017

Redakcja
Romuald Lazarowicz

Korekta
Agnieszka Thoman

Copyright © by Piotr Marecik & Szymon Smaga & Andrzej Chodacki, 2017

All rights reserved.

ISBN 978-83-64195-40-2

Książka współfinansowana
przez Gminę Dębno



WYDAWNICTWO „LENA”
ul. Pasteura 15a-20
50-367 Wrocław

www.wydawnictwo-lena.pl

Druk:
„Kontra”
www.kontra-druk.pl/polska.html

SPIS TREŚCI

Wstęp, czyli opis źródeł i ich subiektywna krytyka	7
Rozdział I	
I przyszła do nas wojna, czyli jak to się zaczęło	18
Tajemnica księżycowej nocy	34
Rozdział II	
Konspiracja, czyli nie będzie Niemiec pluć nam w twarz	42
C – Charlie	55
Rozdział III	
Można zająć ich kraj, ale nie da się złamać oporu Polaków.....	63
Samotny chłopiec	69
Michałek	75
Poprawiny na Wielkiej Górze	80
Głupia umrzeć musi	96
Rozdział IV	
Wojna wojną, ale ludzie muszą przecież jakoś żyć	101
Śmierć daj mi, Boże!	124
Rozdział V	
Nawet najgorszy czas ma kiedyś swój koniec	137
Stalingrad	147
Epilog	155
Aneks.....	157

WSTĘP

CZYLI OPIS ŹRÓDEŁ I ICH SUBIEKTYWNA KRYTYKA

Z punktu widzenia historyka zdumiewać może fakt, że szeroko pojęty ruch oporu w powiecie brzeskim w latach 1939-45, nie doczekał się do czasów współczesnych szczegółowego opracowania. Nasuwa się logiczny wniosek, że skoro działalność organizacji podziemnych całego powiatu nie była atrakcyjna dla historyków i pasjonatów regionu, to dotyczy to i gminy Dębno. Co ciekawe, na stronach internetowych wielu instytucji, stowarzyszeń z dużą częstotliwością pojawiają się jednak liczne biografie bohaterów wojennych czy też artykuły dotyczące różnych wydarzeń z okresu II wojny światowej. Świadczy to o żywym zainteresowaniu tematem, którego jednak nikt do tej pory nie przekuł w zbiorcze i całościowe opracowanie.

Czasy niemieckiej okupacji gminy Dębno i powiatu brzeskiego są dziś białą plamą historii, którą trzeba zapełnić, tym bardziej że w ostatnim czasie pojawiły się nowe materiały źródłowe, które leżały w ukryciu wiele lat. Żyją jeszcze uczestnicy i świadkowie tamtych wydarzeń, a ich wspomnienia są niewykorzystanym dotąd, bezcennym źródłem informacji. Ponadto istniejąca dziś, skąpa literatura przedmiotu dotycząca zagadnień II wojny światowej na naszym terenie pochodzi w większości z lat 70. ubiegłego wieku i merytorycznie nie wytrzymuje próby czasu.

Za najpopularniejsze opracowanie, dotyczące okupacji ziem powiatu brzeskiego przez Niemców należy uznać wydaną w 1984 roku książkę Aleksandry Pietrzykowej pt. *Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej. Polityka okupanta i ruch oporu*, będącą *de facto* przedrukiem rozprawy doktorskiej obronionej w 1977 roku, za którą autorka dostała nagrodę za najlepszą pracę dotyczącą okupacji. Aleksandra Pietrzykowa, jak sama wskazuje, rzetelnie wykorzystała dostępne wówczas źródła: archiwum Komendy Głównej MO,

archiwum ZBoWiD-u, Archiwum Państwowe w Krakowie oraz Archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Ze źródeł wspomnieniowych opowiadających o powiecie brzeskim autorka sięgnęła do relacji Alberta Kryszczuka „Skały”, Floriana Filipa „Poraja”, Michała Gajdy i Stefana Czapkiewicza „Sprężyny”. Przywołuję te informacje nie dlatego, by zdeprecjonować tę książkę. Pragnę jedynie wykazać, że zakres badań dotyczących okupacji niemieckiej w naszej gminie jest w tym opracowaniu niewystarczający. Oczywiście należy pamiętać, że celem autorki nie było opisanie okupacyjnych dziejów Dębna i okolic, lecz całego regionu tarnowskiego. Niemniej fakty przytoczone przez Aleksandrę Pietrzykową uważam za niekompletne i niezadawalające z punktu widzenia rzetelnego badacza-historyka. Nie waham się formułować takiej opinii, tym bardziej że mówię tu jednym głosem z partyzantami-bohaterami *Regionu tarnowskiego w okresie okupacji...*, którzy, już po wydaniu książki odnosili się do jej treści krytycznie. Andrzej Stach „Wrzos” tak recenzuje tę książkę: *Autorka pochodzi z młodego pokolenia. Nie wszystkie dokumenty były jej dostępne w instytucjach, które je po wojnie zagarnęły. Można mieć pretensje do niej, że nie dotarła do ludzi, którzy mogli doprecyzować ją w pewnych sprawach*¹. W podobnym tonie wypowiadali się także inni partyzanci². Mimo tych krytycznych uwag książka Pietrzykowej jest nadal jedynym opracowaniem dotyczącym okupacji i dziejów ruchu oporu gminy Dębno.

Kolejną publikacją poruszającą interesujące nas zagadnienia jest praca Władysława Myślińskiego „Mściwoja” pt.: *A jednak tak było*³. Książka ta rości sobie prawo do bycia historycznym opracowaniem, chociaż w mojej ocenie jest jedynie bardzo subiektywnym pamiętnikiem. Autor, działacz ruchu ludowego, członek Batalionów Chłopskich, a po wojnie funkcjonariusz brzeskiego Urzędu Bezpieczeństwa, nie jest niestety rzetelny i wiarygodny, gdy opisuje historyczne realia okupacji niemieckiej. Czytając jego wersję zdarzeń, trudno oprzeć się wrażeniu, że jedynie formacje BCh stawiały opór Niemcom, a żołnierze AK tylko przeszkadzali, posuwając się nawet do prób zabójstwa

¹ List Andrzeja Stacha do Stanisława Jedynaka, 20 I 1987 r., [w:] Archiwum Jedynaka, Publiczna Biblioteka w Porąbce Uszewskiej, Sygnatura T.- 1

² Klemens Góral „Piorun” w liście do Stanisława Jedynaka o książce Pietrzykowej pisze: *Chodzi o to, by były zapisy autentyczne, bo niektórzy zaczęli pisać o nas, ale niewiele w tym prawdy*. List Klemensa Górala do Stanisława Jedynaka, 24 XII 1983 r., [w:] Archiwum Jedynaka, dz. cyt., sygn. T.- 1. Z kolei Kazimierz Styrna „Sławomir” skarżył się, że po lekturze książki wysłał autorce poprawki, które miały być uwzględnione w drugim wydaniu, do czego nie doszło. List Kazimierza Styrny do Stanisława Jedynaka, 19 V 1992 r., [w:] Archiwum Jedynaka, dz. cyt. T.-1, s. 4.

³ W. Myśliński, *A jednak tak było*, Warszawa 1978 r.

działaczy ludowych¹. Co więcej, wiele informacji podawanych przez autora nie znajduje potwierdzenia w innych, dostępnych dziś źródłach. Ponadto działacze AK już w latach 80. składali protesty na zebraniach ZBoWiD-u, zarzucając autorowi nawet fałszowanie danych². Wszystko to zmusza historyka do ostrożności w korzystaniu z tej książki.

Bardzo interesującą pozycją dotyczącą ruchu oporu w gminie Dębno jest książka Józefa Wojdaka „Swobody” pt.: *Byłem jednym z wielu*³. Autor przedstawia proces tworzenia pierwszych struktur partyzanckich, zwłaszcza Narodowej Organizacji Wojskowej, we wsi Bielcza i jej okolicach. Wojdak swoje wspomnienia stara się uzupełniać cytowanymi źródłami i choć w kilku kwestiach historycznych jest bezkrytyczny, to całość pracy stanowi cenne źródło informacji.

Zaskoczeniem jest znalezienie wzmianek o naszej gminie z czasów okupacyjnych u wielkiego mistrza, wybitnego publicyście – Melchiora Wańkowicza. Okazuje się, że w swojej doskonałej pracy *Anoda i Katoda* zamieścił on wspomnienia zestrzelonego nad naszą gminą pilota Włodzimierza Bernhardta. Jego relacja jest dla badacza naszego regionu bardzo cenna, ponieważ lotnik należał kilka miesięcy do struktur miejscowego AK⁴.

Uzupełnieniem opracowań bezpośrednio dotyczących wojny i okupacji są monografie miejscowości. Znajdują się w nich fragmenty dotyczące omawianej przez nas problematyki. Badacz dziejów gminy Dębno powinien więc sięgnąć do książek Andrzeja Jedynaka⁵, Władysława Kurtyki⁶ i Józefa Dudka⁷.

¹ Władysław Myśliński zarzucił AK, a zwłaszcza Julianowi Grochalowi, próbę zabójstwa zastępcy „męża zaufania” okręgu brzeskiego, który wywodził się z BCh. Do zamachu miało dojść nocą w szczerym polu między Porąbką a Niedźwiedzą. Świadkiem był tylko sam poszkodowany, któremu jednak nie spadł włos z głowy. Archiwum Jedynaka, dz. cyt., T-1, s. 6.

² *A w tym wykazie nie ma np. z naszej placówki ani jednego nazwiska, a przecież por. Beczwarzyk był dowódcą kompanii BCh. (...) Ci dowódcy przynajmniej z naszej placówki wg Myślińskiego to lipa, bo znam choćby z mojej Zawady plut. Machetę Franciszka, to on nie miał pod sobą nikogo, ani drużynowego, ani żołnierzy.* List Kazimierza Styry „Sławomira”, dowódcy placówki Zakliczyn do Stanisława Jedynaka „Oli”, Nowy Sącz 13 III 1989 r., [w:] Archiwum Jedynaka, dz. cyt., T-1, s. 7.

³ J. Wojdak, *Byłem jednym z wielu*, Kraków 1994.

⁴ M. Wańkowicz, *Kośa po Polsce. Pamiętnik lotnika porucznika Bernhardta*, [w:] *Anoda i Katoda*, t. II *Między epokami*, Warszawa 1980 r.

⁵ A. Jedynak, *Porąbka Uszewska. Dzieje wsi i parafii*, t. 2, Warszawa 1997 r., t. 3, Warszawa 1998.

⁶ W. Kurtyka, *Bielcza – wieś blasku i cienia*, Tarnów 2013.

⁷ J. Dudek, *600 lat dziejów Niedźwiedzy i okolicy*, Tarnów 1998.

Oczywiście ramy czasowe przyjęte przez wyżej wymienionych autorów nie pozwalały im na wnikliwe i szczegółowe przedstawienie okresu drugiej wojny światowej.

Kilka ciekawych informacji znaleźć można również w okolicznościowo wydanym zbiorze wspomnień nauczycieli pt. *Walczyliśmy o wolność ojczyzny*¹, gdzie swoją relację z września 1939 roku zamieścił Albert Kryszczuk. Wzmianki z tego okresu znajdują się również w autobiografii tegoż autora, opublikowanej w kwartalniku „Kultura i społeczeństwo”².

Bardzo cennym źródłem historycznym są prace nigdy nieopublikowane, występujące w formie maszynopisów lub albumów pamiątkowych. Dotyczą one często konkretnych wydarzeń – wspomnienia wzbogacają wiedzę o niemieckiej okupacji o doznania osobiste i emocjonalne autorów. Taka forma opisu pozwala czytelnikowi odczuć atmosferę tamtych lat. Najciekawszym maszynopisem tego typu jest *Socjografia wsi Sufczyn ze szczególnym uwzględnieniem emigracji amerykańskiej*. To odtworzona praca dyplomowa Alberta Kryszczuka (oryginał spłonął w Warszawie podczas wojny) dotycząca wsi Sufczyn³, pisana dla Instytutu Pedagogiki w Warszawie. Autor dokształcał się w tym Instytucie, będąc jednocześnie dyrektorem szkoły w Sufczynie. Kryszczuk, wznawiając po wojnie swoją pracę, dołączył do niej wstęp opisujący wojenną okupację Sufczyna i okolic. Dzieło Kryszczuka krąży do dziś wśród mieszkańców wsi. Najciekawszy egzemplarz, opatrzony dopiskami zrobionymi długopisem i wklejonymi zdjęciami, znajduje się w zbiorach prywatnych pana Czesława Nasiadki, byłego dyrektora szkoły w Sufczynie.

Elementarnym źródłem informacji o okupacji gminy Dębno jest inne opracowanie tegoż autora. Albert Kryszczuk „Skała” na potrzeby ZBoWiD-u opisał czasy okupacyjne powiatu brzeskiego w maszynopisie pt. *Rys historyczny Ruchu Oporu na terenie powiatu brzeskiego w latach 1939-1945*. Opracowanie to powstało na wyraźne zapotrzebowanie organizacji kombatanckich i jest znane w trzech wersjach. O ile udało nam się ustalić, pierwsza pochodzi z lat 60., druga z roku 1972, a trzecia najobszerniejsza – z 1984 roku. Wszystkie wersje, zachowując ten sam podział problemowy, różnią się od siebie jedynie szczegółami. Opracowanie to krąży wśród pasjonatów historii regionu i od czasu do czasu jest cytowane w miejscowej prasie⁴. Wszystkie znane egzemplarze

¹ A. Kryszczuk, *Mój udział w obronie ojczyzny* [w:] B. Suchodolski (red.), *Walczyliśmy o wolność ojczyzny. Wspomnienia nauczycieli*, Warszawa 1988.

² A. Kryszczuk, *Jak zostałem nauczycielem*, „Kultura i społeczeństwo”, 1973, rok XIX, nr 2-3.

³ A. Kryszczuk, *Socjografia wsi Sufczyn ze szczególnym uwzględnieniem emigracji amerykańskiej*, Sufczyn 1987.

⁴ „Brzeski Magazyn Informacyjny” BIM, nr 9, X 2005 r., s. 18.

znajdują się w Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie¹.

Podobnej tematyki dotyczą wspomnienia Floriana Filipa „Poraja”, również pozostawione w formie maszynopisu. Autor opracowania *Ruch oporu w powiecie brzeskim* stara się przedstawić dokonania organizacji niepodległościowych w regionie brzeskim, poruszając również kwestie dotyczące gminy Dębno.

W Izbie Pamięci mieszczącej się przy Szkole Podstawowej w Łoniowej, znajdują się *Wspomnienia* Kaspera Pabiana², który w czasie wojennej zawieruchy wrócił z Kresów Wschodnich do ojczystej wsi i tam zaangażował się w walkę z okupantem.

Ostatnim dokumentem, który udało nam się odnaleźć, jest pamiątkowy album znajdujący się w Szkole Podstawowej w Dębnie. W 1984 roku do owej szkoły przybył Albert Kryszczuk i w imieniu kombatantów wręczył młodzieży opracowany maszynopis pt. *Ruch oporu w Gminie Dębno 1939-1945*³, zawierający wspomnienia wojenne partyzantów gminy Dębno wraz z wklejonymi doń zdjęciami. Dokument ten zawiera unikatowe zdjęcia partyzantów oraz interesujące, nigdzie dotąd niepublikowane, relacje z czasów okupacji.

Powyżej zostały wymienione wszystkie, drukowane materiały, do których dotarliśmy, choć oczywiście nasza książka, pretendująca do rangi pracy historycznej, nie obyła się bez kwerendy archiwalnej. Dokumenty dotyczące interesującego nas tematu znajdują się w Archiwum Narodowym Oddział w Tarnowie⁴ oraz w Archiwum Narodowym Oddział w Bochni⁵. W krakowskiej Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego⁶, która jest spadkobiercą Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, znaleźć można wiele cennych dokumentów. Interesujące dla badacza historii naszej gminy informacje można również odnaleźć w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Brzesku, która posiada w swoich zbiorach tzw. Archiwum

¹ A. Kryszczuk, *Rys historyczny Ruchu Oporu na terenie powiatu brzeskiego w latach 1939-1945*. Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie, sygn. Arch. 05 III nr 517.

² K. Pabian, *Droga powrotu: Łoniowa. Wieści ze wschodu*, [w:] tejże, *Wspomnienia, 1943-1945*, t. 4.

³ A. Kryszczuk, *Ruch oporu w Gminie Dębno 1939-1945*, Dębno 1984.

⁴ *Teki ppłk. Stefana Musiałka-Łowickiego Inspektora Inspektoratu Armii Krajowej Tarnów*, Archiwum Narodowe w Krakowie Oddział Tarnów, Zespół 33/504/0.

⁵ *Gmina Dębno 1930 -1954*, Archiwum Narodowe w Krakowie Oddział Bochnia, Zespół 30/26/0.

⁶ Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie, sygn. Arch. 05 III nr 517-519.



Stanisław Jedynek w czasie okupacji (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)

Bernackiego¹. Zawiera ono m.in. listy sołtysów wszystkich wsi gminy Dębno wraz ze spisami strat wojennych oraz kilka ważkich dokumentów (jak np. donos do oddziału gestapo napisany przez mieszkańca wsi Doły).

Niewątpliwie najciekawszym i najcenniejszym źródłem informacji dotyczącym II wojny światowej w gminie Dębno jest Archiwum Jedynaka. Ta umowna nazwa, wymyślona przez autorów niniejszej książki, odwołuje się do nazwiska twórcy tego wspaniałego zbioru dokumentów archiwalnych. Aby wyjaśnić wybitną wartość, jaką stanowi, musimy poświęcić kilka słów genezie powstania archiwum oraz jego twórcy. Stanisław Jedynak urodził się w 1920 roku w Porąbce Uszewskiej, gdzie ukończył szkołę ludową. Jak opisuje w swoich wspomnieniach, był normalnym chłopakiem, który lubił biegać z kolegami w lesie czy przekomarzać się z koleżankami w klasie. Był jednak chłopcem o żywej inteligencji, pilnym w nauce, odnoszącym się z szacunkiem do swoich rodziców. Mimo bardzo dobrych wyników w nauce ze względu na trudną sytuację finansową rodziny dopiero rok po ukończeniu szkoły ludowej został wysłany przez ojca do Krakowa–Płaszowa, do gimnazjum z internatem. Przyjęto go i wpisano do ewidencji szkolnej pod numerem 151, który musiał potem wyhaftować na swojej bieliźnie. Numer ten stanie się później jego pseudonimem konspiracyjnym. Po roku nauki Stanisław skorzystał z okazji, by przenieść się do tarnowskiego gimnazjum im. K. Brodzińskiego, co pozwoliło obniżyć koszty utrzymania i kształcenia. Oczywiście musiał zdać egzaminy ze wszystkich przedmiotów wykładanych w szkole. W gimnazjum szybko się zaaklimatyzował i brał czynny udział w licznych organizacjach uczniowskich, także tych o charakterze militarnym, np. w Hufcu Przysposobienia Obronnego. W 1939 roku zdał maturę, a potem z powodzeniem egzaminy do Liceum Handlowego w Tarnowie. Rok szkolny miał się rozpocząć 1 IX 1939 roku. W sierpniu został zmobilizowany wraz z kolegami z gimnazjalnego hufca wojskowego. Na początku wojny znalazł się w grupie konwojującej złapanych niemieckich dywersantów. Wraz z grupą żołnierzy dotarł do Lublina, a stamtąd trafił do oddziałów gen. Franciszka Kleeberga, pod którego dowództwem brał udział w bitwie pod Kockiem, jako żołnierz zgrupowania „Brzoza”. W październiku 1939 roku wrócił do Porąbki Uszewskiej, gdzie wstąpił w szeregi Związku Walki Zbrojnej. Zatrudnił się również jako urzędnik w gminie Dębno, co było znakomitą przykrywką dla pracy konspiracyjnej. Jego urzędnicza przepustka pozwoliła mu odgrywać ważną rolę w konspiracji.

¹ *Powiat brzeski w czasie II wojny światowej*. Archiwum Bernackiego, sygn. K1, Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Brzesku.

Używając pseudonimu Ola lub 151, pełnił przydzieloną mu funkcję łącznika. Wykonywane przez niego zadania nie ograniczały się do przekazywania depesz i rozkazów. Brał także udział w wielu innych przedsięwzięciach, w tym nawet w akcji likwidacyjnej. Tuż po wojnie został aresztowany przez UB. Udało mu się jednak uciec wprost z ciężarówki i ostrzeliwując się, zmylić pogoń. Jak wielu akowców z gminy Dębno, również Stanisław Jedynak zbiegł przed prześladowaniem na Śląsk, do Katowic. Ukończył studia i pracował jako urzędnik. Cały swój prywatny czas poświęcał odtwarzaniu historii własnej rodziny, rodzinnej miejscowości Porąbki Uszewskiej, a nade wszystko dziejów uczestników ruchu oporu w gminie Dębno. Korespondował z niezliczoną ilością urzędów, muzeów i archiwów w Polsce, kontaktował się z Czerwonym Krzyżem oraz Polonią w USA i Australii, a także, a może przede wszystkim, odtwarzał kontakty z kolegami z partyzantki. Jego korespondencja z uczestnikami tamtych wydarzeń jest bezcennym źródłem informacji o ruchu oporu w gminie Dębno i w powiecie brzeskim.

To właśnie ta korespondencja stała się przyczynkiem do powstania niniejszej książki. W listach partyzanci – poza opisami wydarzeń i wspomnień wojennych – w każdym przypadku wyrażali żal lub oburzenie z powodu ich powojennego statusu. Nie dość bowiem, że mimo iż byli bohaterami wojennymi, pomijano ich przy zaszczytach, to jeszcze odmawiano im zasług, fałszowano historię i prześladowano ich, jakby to oni byli okupantami. Archiwum Jedynaka pełne jest wspomnień tych, którzy zaraz po wojnie zwiedzili „prztyłek dla wielomyślnych”¹, jak dyplomatycznie nazywano więzienie UB. Trudno się więc dziwić, że często ich zwierzenia są zdawkowe, a wspomnienia pomijają wszelkie treści drażliwe dla polityki PRL-u. Z pewnością zbiór Jedynaka byłby jeszcze ciekawszy, gdyby nie obawy wynikające z zastraszenia, a często wręcz zaszczucia². Mimo to dokonania Stanisława Jedynaka w gromadzeniu dokumentów, listów i zdjęć są niezwykle i zasługują na szczerzy podziw. Dla historyka są one – jeszcze raz powtórzę – bezcennym źródłem informacji. Autor owego archiwum przywiózł pewnego listopadowego popołudnia 1992 roku wszystkie zebrane dokumenty do Biblioteki Publicznej w Porąbce Uszewskiej, by utworzyć w swojej miejscowości Izbę Pamięci. Niestety wkrótce potem zmarł. Został pochowany 30 XII 1992 roku w swojej rodzinnej Porąbce. Dziś jego pracę trzeba odpowiednio docenić, a zbiory dokumentów przywrócić do historycznego obiegu.

¹ List Kazimierza Noska „Wiklińskiego” do Stanisława Jedynaka „Oli” 28 VIII 1977 r.

² W liście Stefana Stankiewicza „Niedźwiedzia” do Stanisława Jedynaka „Oli”: *opisywanie wspomnień w liście mogłoby trafić na niewłaściwe tory...* 15 VIII 1979 r. Archiwum Jedynaka, T-1, s. 9.



Wszystkie fotografie:
Biblioteka Publiczna
w Porąbce Uszewskiej

Stanisław Jedynak –
drugi z prawej – przed
Urzędem Gminy
Dębno, 1942 r.



Stanisław Jedynak (zdjęcie z dy-
plomu magisterskiego)

Stanisław Jedynak – pierwszy
z prawej – przed wejściem do
urzędu, 1942 r.



Okazuje się jednak, że literacki talent Jedynaka nie przepadł definitywnie wraz z Jego śmiercią. Fenomen ten był możliwy dzięki potomkom zasłużonego AK-owca. Oto Jego bratanica, Ewa Jakubek odziedziczyła tę lekkość pióra i sprawność formułowania myśli na papierze, wydając kilka książek poetyckich, a także próbując swoich sił w prozie. Poniżej prezentujemy fragment wiersza Poetki z tomu *Życia godziny*. Wiersz pt. *Ukochać raz jeszcze* jest dedykowany pamięci Stanisława Jedynaka:

*...Kto dziś do ciebie tęskni ziemio dobra, ciężka w uprawie.
Każda twa grudka przesiąknięta potem oraczy,
siewców, żniwiarzy, bosą stopą, wymagającą*

*ręką, ciepłym sercem dotknięta. Każdy zagon,
dróżka, ścieżka miłym dla mnie wspomnieniem
dziecięcych zabaw z wędrującym wiatrem.*

*Niech czuwają nad tobą duchy tych,
Którzy władali twym mieniem przez wieki.
Bo cóż można powiedzieć o ziemi,*

*na której się wyrosło nieudolnym opisem
z ciekawości lub przywiązania*

Ostatnim, ale naszym zdaniem niezwykle ważnym źródłem, wykorzystanym przez autorów, są wspomnienia, relacje osób pamiętających jeszcze czasy II wojny światowej. Niestety z biegiem lat świadków ubyło, ale mimo to podjęliśmy wyzwanie i postanowiliśmy spróbować przepytac WSZYSTKICH żyjących jeszcze uczestników tamtych wydarzeń. Nie wiemy, czy nam się to udało, niemniej do momentu wydania tej książki rozmawialiśmy z trzydziestoma dwoma¹ osobami. To były bardzo interesujące i owocne spotkania.

Czuliśmy się zaszczytzeni, mogąc przebywać i rozmawiać z tymi niezwykłymi świadkami historii. I choć nasi rozmówcy mieli w czasie wojny od ośmiu do siedemnastu lat, to i tak ich relacje są przepełnione szczegółami i drobiazgami dnia codziennego, jakby opowiadali o tym, co się wydarzyło

¹ Czasy okupacji wspominali w rozmowach z autorami bezpośredni świadkowie tamtych dni: Anna Bodzioch, Józefa Budzyn, Janina Dadej, Tadeusz Frankowski, Marek Grochal, Helena Gugrul, Zofia Jakubas, Antoni Jedynak, Kazimierz Jedynak, Stanisław Kargul, Maria Klusek, Henryk Koza, Barbara Kumorek, Sławomir Lewniowski, Elżbieta Michałek, Leszek Michałek, Franciszek Migdał, Jan Migdał, Józef Migdał, Józefa Nosal, Kazimiera Pach, Tadeusz Pater, Elżbieta Pietrzak, Edward Powroźnik, Henryk Sacha, Irena Stanek, Jan Świstak, Anna Wierzbicka, Józef Witek, Władysław Witek, Antoni Zych, Wiktoria Zych.

zaledwie wczoraj. Dopełnieniem tych wywiadów były rozmowy z dziećmi partyzantów. Wiele z nich dzieliło się swoimi wspomnieniami, dodając ze smutkiem – Gdyby mój tato żył, dopiero by opowiedział... Ich uwagi oraz zdjęcia i dokumenty poszerzyły naszą wiedzę dotyczącą omawianego tematu.

Wspomnienia z czasów II wojny światowej, oprócz bezcennych informacji, niosą ze sobą niezwykły ładunek emocjonalny, oddają klimat okupacyjny, ludzkie odczucia i spostrzeżenia nigdzie dotąd nieopisane. Szczycimy się tym dziełem.

Postawiliśmy sobie zadanie, aby opisując czas niemieckiej okupacji naszej gminy, wykorzystać wszystkie możliwe źródła historyczne. Wymienione wyżej materiały pozwoliły nam na coś, czego jeszcze nikt nie próbował. W ręce szanownego Czytelnika oddajemy opracowanie dotyczące mieszkańców naszej gminy z lat 1939-1945. Czy można z tych źródeł odtworzyć i wyjaśnić wszystkie zagadnienia dotyczące tego okresu? Trzymając się reżimu naukowego – nie! Tylko że – Drogi Czytelniku – to nie jest normalna książka! Wymieniliśmy źródła historyczne, by pokazać rzetelność badań. Wszystkie opisane przez nas fakty bronią się źródłowo. Gdy wydają się wieloznaczne – my tę wieloznaczność wskazujemy. Gdy jednak źródła nie są w stanie wyjaśnić bądź doprecyzować zdarzenia – my wyjaśnienie proponujemy.

Tam, gdzie historia nie znajduje już twardych dowodów, rozpoczyna się próba literackiego uzupełnienia brakujących faktów zatartych przez czas. Tej właśnie roli podjął się współpracujący z nami lekarz, pisarz Andrzej Chodacki, który związany jest bezpośrednio z tematyką książki, bo urodził się i wychował w Porąbce Uszewskiej. Specjalnie na potrzeby tej książki, napisał osiem opowiadań przedstawiających w sposób fabularny przeżycia i dramaty bohaterów wymienionych w naszym opracowaniu. Dzięki tym opowieściom Czytelnik znajdzie się choć na chwilę w samym centrum wydarzeń, na polu bitwy, w getcie, w ogniu akcji dywersyjnej. Będzie mógł poczuć emocje targające bohaterami w czasie, w którym przyszło im żyć, walczyć i umierać.

Wierzymy, że to nowatorskie zestawienie w jednej książce rzetelnej wiedzy historycznej i prób odtworzenia brakujących ogniw historii za pomocą fabularyzowanych nowel, przyczyni się do podniesienia atrakcyjności książki i będzie stanowić początek szerokiej dyskusji społecznej na temat opisywanych wydarzeń. Tylko dzięki takiej dyskusji pozostanie ciągle żywa pamięć o przedstawionych ludziach i faktach. A pielęgnowanie tej pamięci to ważne zadanie powojennych pokoleń. Zadanie nie tylko będące obowiązkiem historyków, ale takie, które powinno być bliskie sercu każdego Polaka.

ROZDZIAŁ I

I PRZYSZŁA DO NAS WOJNA, czyli JAK TO SIĘ ZACZEŁO

Informacja o wybuchu wojny dotarła do mieszkańców różnymi kanałami. Niektórzy dowiedzieli się z radia, inni – przychodząc z dziećmi na rozpoczęcie roku szkolnego. Mieszkańcy Sufczyzna i Maszkienic mogli zobaczyć lecące na Tarnów niemieckie bombowce, trzymające się tuż nad dachami domów, a w Łoniowej o wojnie informował mleczarz¹. Początkowo nie było żadnej paniki, władze starały się uspokajać nastroje, nagłośniono deklarację pomocy złożoną 3 IX 1939 roku przez Anglików i Francuzów.

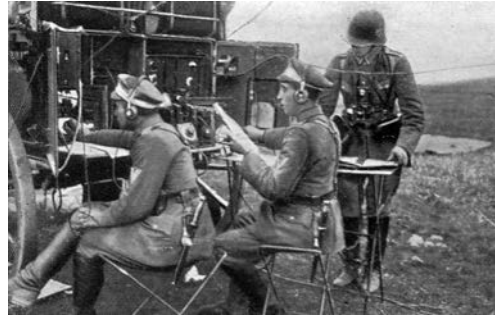
Pierwsze ziarna niepokoju zasiali uciekinierzy. Przez teren gminy Dębno wiodła trasa ucieczki mieszkańców Żywiecczyzny, których miejscowi wspominają jako „górali”. Opowiadali oni mroźące krew w żyłach historie o okrucieństwie Niemców². Wielu mieszkańców naszej gminy uwierzyło w nie i pakując swój dobytek, uciekało na wschód. Jak się miało okazać, nie było to rozsądne rozwiązanie. Większość z nich wróciła przed zimą, wspominając o szykanach i okrucieństwach Ukraińców wobec Polaków – uchodźców³.

7 września 1939 r. na teren gminy wkraczają Niemcy. Wkrótce *Wehrmacht* ustępuje miejsca żandarmerii i gestapo. Zaczyna się okupacja. Nasza gmina staje się częścią dystryktu krakowskiego w tzw. Generalnym Gubernatorstwie, którym zarządzać ma Hans Frank. Niemcy utrzymują polską lokalną administrację i tzw. granatową policję. Przedwojenne struktury administracyjne zostają „wzmocnione” posterunkami żandarmerii

¹ Wspomnienia wojenne Janiny Dadej z Maszkienic, Józefa Migdała z Sufczyzna i Wiktorii Zych z Łoniowej. W zbiorach autora.

² Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika z Dębna i Janiny Dadej z Maszkienic. W zbiorach autora.

³ Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika z Dębna. W zbiorach autora.



Wojna z Polską w materiałach propagandowych Wehrmachtu

niemieckiej oraz siedzibami gestapo. Mieszkańcy gminy zaczęli życie w nowej rzeczywistości.

W październiku 1939 roku zaczęły się powroty żołnierzy walczących w kampanii wrześniowej. Wracali wytrawni żołnierze z każdego frontu tej kampanii. Z 16 Pułku Piechoty, który przeszedł szlak bojowy od Pszczyny do Bugu, wrócili do Sufczyzna por. Albert Kryszczuk oraz sierżant Antoni Michałek. Cały i zdrowy zjawiał się Stanisław Michałek, który bronił Warszawy wraz z 40 Pułkiem Piechoty Dzieci Lwowskich. Do Porąbki powrócili: spod Kocka, ostatniego pola bitwy kampanii wrześniowej, Stanisław Jedynek z Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”, z oblężonego Przemyśla, przedzierając się przez niemieckie formacje pancerne, por. Józef Gurgul z 38 Pułku Piechoty, a z Jasła, po walce ze Słowakami i Niemcami, sierżant Teofil Hebda z 53 Pułku Piechoty. Spod granicy węgierskiej wrócił do Łoniewej Jan Zych z 10 Brygady Kawalerii Pancernej pułkownika Maczka. Z niewoli niemieckiej uciekł i wrócił do Dębna kapral 2 Pułku Strzelców Podhalańskich Jan Rocznik.

To tylko garstka tych, którzy walczyli w czasie kampanii wrześniowej. Trudno dziś ustalić dokładne dane, ale na podstawie spisów uczestników wrześniowych walk można pokusić się o stwierdzenie, że brało w niej udział 500-600¹ mieszkańców naszej gminy.

Smutne były te powroty, bo i nie było powodów do radości czy dumy. Jedyłą pociechę dla wracających stanowił fakt, że nie zginęli, jak tysiące ich kolegów. Sercami żołnierzy targało poczucie klęski. Poczucie nieuzasadnione, bo spełnili przecież swój żołnierski obowiązek, stawili czoło najlepszej wtedy armii świata, bijąc się z nią jak równy z równym, mimo potężnej niemieckiej przewagi technologicznej. Nikt wtedy nie przypuszczał, jak szybko Niemcy zajmą Norwegię, Belgię, Holandię, Grecję, Jugosławię czy też uchodzącą za mocarstwo Francję, której pokonanie zajęło Niemcom mniej czasu niż podbicie Polski. Nasi żołnierze wtedy tego nie wiedzieli. Byli przybici, ale nie opuścili rąk. Wielu z nich zaczęło odczuwać złość na okupanta, złość, którą postanowili przekuć w zbrojny opór. Nie poddali się nastrojom depresyjnym, pałali wręcz chęcią działania, jakby mieli poczucie niedokończonej misji.

Opór wobec okupanta kształtował się spontanicznie. Wspomnienia byłych partyzantów opisują spotkania towarzyskie kolegów z wojska, rozmowy „pod kościołem” po mszy świętej czy dyskusje na targu w Brzesku.

¹ Dysponujemy dokładnym spisem 123 żołnierzy z Porąbki Uszewskiej oraz 68 z Łoniewej. Pozostałe dane pochodzą z akt ZBoWiD-u, a te niestety nie są kompletne.

Nawiązywano pierwsze kontakty. Ten i ów myślał o stworzeniu pierwszej organizacji zbrojnej. Na tak przygotowany grunt trafiły działania władz emigracyjnych i politycznych państwa polskiego. W naszej gminie, jak i w całym kraju, zaczęły tworzyć się regionalne zręby organizacji ogólnopolskich. Już w listopadzie 1939 roku rozkazem Naczelnego Wodza działającą od 27 września Służbę Zwycięstwu Polski przekształcono w Związek Walki Zbrojnej, podporządkowując mu wszystkie organizacje utworzone samorzutnie na terenie kraju. ZWZ miał być zbrojnym ramieniem podziemnego państwa polskiego i pełnił tę funkcję do 1942 roku, kiedy został przekształcony w Armię Krajową, i pod taką nazwą przetrwał do końca wojny.

W gminie Dębno pierwszymi organizatorami ZWZ byli Albert Kryszczuk, dyrektor szkoły w Sufczyńie oraz Julian Grochal, sekretarz gminy. Obaj w lutym 1940 roku, po wieczornej mszy świętej, za kościołem w Dębnie złożyli przysięgę konspiracyjną na ręce Stanisława Czapkiewicza „Sprężyny”, komornika Sądu Grodzkiego w Brzesku. Albert Kryszczuk przyjął pseudonim „Skała” i został dowódcą placówki ZWZ gminy Dębno. Julian Grochal miał być jego zastępcą i nosić pseudonim „Kamień”. Obaj rozpoczęli rozbudowę podziemia zbrojnego, wykorzystując swoje kontakty. Mieli znaleźć zaufanych ludzi, by przy ich pomocy organizować struktury ZWZ we wszystkich miejscowościach gminy. Wkrótce utworzyli ośrodki, których dowódcy starali się zorganizować siatkę konspiracyjną. Jako pierwszych w szkole w Sufczyńie „Skała” zaprzysięgł kaprała Jana Roczniaka „Sokoła” oraz Józefa Michałka „Atosa”. Z czasem ich drużyna rozrosła się do ośmiu osób¹. W Jastwi kolejną drużynę zorganizował porucznik Józef Wańdyga „Dąb”. Porąbka Uszewska utworzyła oddział pod okiem Józefa Gurgula „Ludoli” oraz Teofila Hebdy „Błyskawicy” – zaprzysięgli trzynastu ludzi². Łącznikiem między drużynami został Stanisław Jedynek „Ola”, „151” z Porąbki Uszewskiej. Z kolei w Maszkienicach drużynę zorganizował Ferdynand Gągola, kierownik szkoły. W Biadolinach podobnej misji podjął się Stanisław Korman z Perły.

W październiku 1940 roku Albert Kryszczuk „Skała” zameldował do obwodu ZWZ w Brzesku następujący stan placówki Dębno: 1 oficer, 3 podchorążych, 8 podoficerów i 22 szeregowych. Gdy dębińska placówka będzie

¹ W jej skład wejdą początkowo: Jan Roczniak „Sokół”, Józef Michałek „Atos”, Jan Kawa „Kresowiak”, Teofil Batko „Orzeł”, Józef Witek „Kozak”, Stanisław Michałek „Dzwon”, Stanisław Kubala „Młot” i Adam Bartosz „Kresowiak”.

² Józef Gurgul „Ludola” wymienia jej członków: Teofil Hebda „Błyskawica”, Władysław Mleczo „Czarny”, Franciszek Pabian, Józef Wąs, Klemens Góral „Piorun”, Józef Pieta „Grom”, Stanisław Wróbel, Antoni Matura „Potok”, Stanisław Sady „Pszczola”, Jan Żurek „Stal”, Michał Chlupka „Woźnica”, Jan Macheta.

zglaszać stan drużyny w 1942 roku, w czasie przekształcania ZWZ w AK, liczba ta zwiększyła się do 3 oficerów, 4 podchorążych, 23 podoficerów i 60 szeregowych. Pod koniec 1944 roku AK w gminie Dębno wykazało 280 żołnierzy!

Organizacja podziemna w naszej gminie otrzymuje w strukturach ZWZ–AK kryptonim „Dawid” i podlega obwodowi ZWZ–AK w Brzesku, który w czasie okupacji przybiera kryptonimy: „Salomea”/„Batuta”/„Buty”. Ten z kolei obwód podporządkowany był kierownictwu o kryptonimie „Tama” urzędującemu w Tarnowie.

Pierwszym dowódcą placówki „Dawid” został wspomniany Albert Kryszczuk „Skała”. Jednakże działania gestapo w Brzesku spowodowały, że dowódca obwodu „Buty”, kpt. Wojciech Kapustka „Rawicz” zmuszony został do ucieczki i ciągłego ukrywania się. W wyniku tego wydarzenia, jego zastępca, którym od marca 1943 roku został właśnie Albert Kryszczuk „Skała”, musiał pełnić funkcję rzeczywistego dowódcy obwodu „Buty”. Gdy jesienią 1943 roku mianowany został nowy dowódca, kpt. Franciszek Blok „Soplica”, Albert Kryszczuk „Skała” pozostał na swym stanowisku zastępcy obwodu. Wobec powyższego dowódcą placówki Dębno „Dawid” został ppor. Jan Kawa „Kresowiak” z Sufczyzna, a po jego tragicznej śmierci w lipcu 1944 roku, funkcję tę przejął por. Stefan Stankiewicz „Niedźwiedź” z Łoniowej.

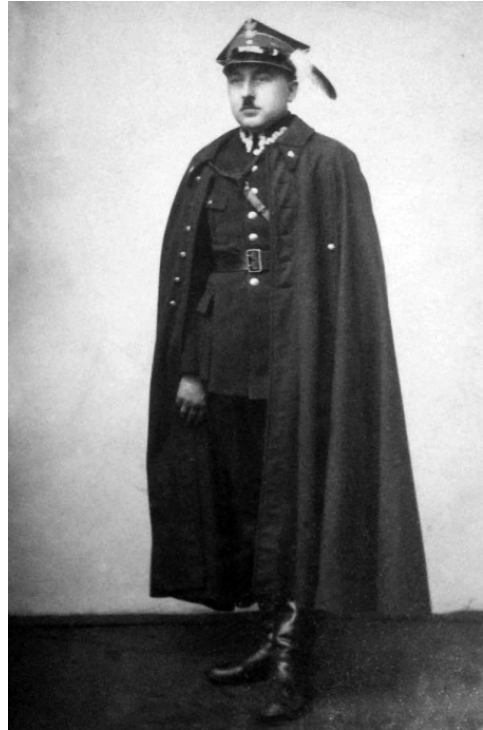
Wewnątrz tej struktury, rozkazem z 21 III 1943 roku, utworzono w obwodzie oddział dywersyjny, któremu podlegać miały trzy patrole. Jednym z nich był powołany w gminie Dębno oddział dywersyjny pod dowództwem Teofila Hebdy „Błyskawicy”. Był to najbardziej aktywny oddział placówki „Dawid”. Do jego zadań należała czynna walka z wrogiem, dywersja, sabotaż i, jak się miało wkrótce okazać, wykonywanie wyroków śmierci na konfidentach i kolaborantach z terenu naszej gminy oraz powiatu.

W świetle listów i wspomnień byłych partyzantów, można też postawić tezę, że Teofil Hebda „Błyskawica” był najważniejszym ogniwem miejscowego ruchu oporu. Bez konsultacji z tym doświadczonym, zawodowym żołnierzem wstrzymywano się z podejmowaniem wielu decyzji, o ile nie były to oczywiście rozkazy przysłane z „góry”.

W skład organizacji ZWZ–AK wchodził także pluton Wojskowej Służby Ochrony Powstania. WSOP utworzono rozkazem z 15 VII 1941 roku, przeznaczając ją do służby wartowniczo-ochronnej po odzyskaniu niepodległości. Dowodzić tą formacją miał Józef Wańdyga „Dąb” z Jastwi. Niestety do końca wojny utworzono tylko jedną drużynę WSOP w Sufczyźnie, na czele której stanął plutonowy Józef Węgrzyn.



Stanisław Czapkiewicz „Sprężyna” z żoną Genowefą Czapkiewicz „Juną” (fot. Księga pamiątkowa Szkoły Podstawowej w Dębnie)



Ppor. Albert Kryszczuk „Skala” (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Kpt. Wojciech Kapustka „Rawicz” (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)



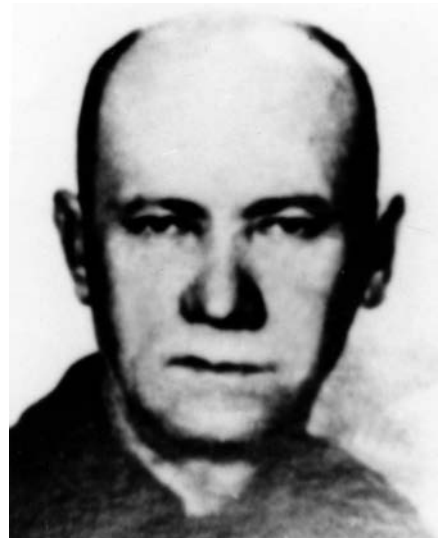
Ppor. Adam Bartosz „Kmicic” (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)



St. sierżant Teofil Hebda „Błyskawica”
(fot. ze zbiorów rodzinnych)



Ppor. Stefan Stankiewicz „Niedźwiedź” (fot.
Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)



Franciszek Blok „Soplica” (zdjęcie
powojenne)

Jan Kawa „Kresowiak” (fot. Biblioteka
Publiczna w Porąbce Uszewskiej)

Aby uzupełnić obraz zbrojnego podziemia ZWZ–AK, trzeba jeszcze wymienić oficerów i żołnierzy z gminy Dębno, którzy sprawowali odpowiedzialne funkcje w strukturach powiatowych organizacji w Brzesku. Oprócz wspomnianego już Alberta Kryszczuka „Skały”, zastępcy dowódcy obwodu „Buty”, ważną postacią był Adam Bartosz „Kmicic”, który został oficerem dywersyjnym całego obwodu. Po jego tragicznej śmierci funkcję tę objął również „nasz” partyzant Teofil Hebda „Błyskawica”. Adiutantem komendanta obwodu brzeskiego był mieszkaniec Dębna, podchorąży Jan Lewniowski „As”, a Jan Żurek „Stal” z Porąbki Uszewskiej został oficerem wywiadu w powiecie brzeskim. Szefem BIP (Biura Informacji i Propagandy) obwodu „Buty” był Teofil Batko „Orzeł”. Z kolei Juliana Grochała „Kamienia” mianowano „mężem zaufania” obwodu. Była to funkcja cywilnego zwierzchnika, który po wyzwoleniu miał przejąć władzę w strukturach administracyjnych powiatu brzeskiego.

Chłostra / Bataliony Chłopskie

Poza strukturami zbrojnymi ZWZ–AK na terenie gminy Dębno powstały w czasie okupacji także inne związki zbrojne, powiązane *stricte* z organizacjami politycznymi. Należały do nich oddziały tworzone przez Stronictwo Ludowe. Partia ta już latem 1940 roku utworzyła Chłopską Straż, popularnie nazywaną „Chłostą”. Nazwa ta została wprawdzie zmieniona w 1941 roku na Bataliony Chłopskie, jednakże początkowo w dokumentach ludowców obie nazwy występowały zamiennie. Dopiero w 1943 roku nazwę BCh przyjęły jako obowiązującą wszystkie oddziały „Chłosty”. W gminie Dębno bardzo szybko zostało utworzone polityczne kierownictwo ruchu ludowego, który w czasie okupacji występował pod kryptonimem „Roch”. Już w 1939 roku powstała tzw. trójka „Rocha” powiatu brzeskiego, na czele której stał Stanisław Dadej „Sulma” z Maszkienic. Na przełomie lat 1942/1943 powołano gminną trójkę „Rocha” w Dębnie, którą kierował Andrzej Kural „Komar” z Łysej Góry. To ona miała inicjować rozwój „Chłosty” i stanowić jej polityczne zwierzchnictwo.

Organizacja zbrojna ludowców rozwijała się na terenie naszej gminy bardzo opornie. Już Pietrzykowa zauważyła w tej materii braki źródłowe, dochodząc do wniosku, że takich oddziałów w pierwszych latach wojny nie utworzono¹. Pierwsze potwierdzone źródłowo dane o liczebności „Chłosty”–BCh w naszej gminie pochodzą z 1942 roku i wymieniają

¹ A. Pietrzykowa, *Region tarnowski w okresie okupacji hitlerowskiej. Polityka okupanta i ruch oporu*, Warszawa 1984, str. 396.

jedną (!) drużynę pod dowództwem st. sierżanta Franciszka Marka „Rosy” z Łoniowej. Ta drużyna rozrosła się – według Władysława Myślińskiego – w styczniu 1944 roku do dwóch plutonów (pod dowództwem Franciszka Marka „Rosy” z Łoniowej i plutonowego Ludwika Bodury „Stopy” z Dołów) liczących 93 żołnierzy!¹ Niestety w świetle badań źródłowych trudno poważnie traktować te dane. W listach do Stanisława Jedynaka² byli AK-owcy wręcz wyśmiewają metodologię Myślińskiego, twierdząc, że uznał on wszystkich partyzantów z gminy i powiatu za partyzantów z BCh, a przecież wielu z nich należało do AK. Bardzo dosadnie przedstawił tę sytuację dowódca placówki Uszew, Jan Sady: *Po zjednoczeniu B.Ch. dało tylko parę osób. Skory* (Paweł Chwała „Skory”, zastępca komendanta obwodu – przyp. autora) *może podawać, ile chce, ale na naszym terenie B.Ch. praktycznie była znikoma ilościowo i jakościowo. To, co Skoremu podawali jego podwładni – to jak się przekonałem, nie byli zaprzysiężeni, zdyscyplinowani żołnierze, ale chłopci, byli członkowie Stronnictwa Ludowego sympatyzujący z ruchem oporu. Do działań placówki nic nie wnieśli*³. Wydaje się, że w podobny sposób wyglądała kwestia liczebności BCh w gminie Dębno.

Jest jeszcze jedno wytłumaczenie wzrostu liczby żołnierzy BCh w źródłach. Ze wspomnień pani Wiktorii Zych z Łoniowej dowiadujemy się o bulwersującej praktyce wśród byłych partyzantów. Otóż po wojnie koledzy męża pani Wiktorii, Jana Zycha z AK, przychodzili do niego, przekonując, by zgłosił się do ZBoWiD-u jako partyzant BCh. Gwarantowało to finansową rekompensatę (dodatek kombatancki) w czasach, gdy do AK i tak nie można było się przyznawać z powodów politycznych⁴. Mąż pani Wiktorii odmówił, ale jak uczynili inni? Być może wybrali taką formę ujawnienia swej partyzanckiej przeszłości i stąd zawyżone liczby członków BCh.

Z pewnością bliżej prawdy są dane wskazujące na to, że powołano tylko jedną drużynę „Chłostry” – BCh w naszej gminie, która w 1943 lub w 1944 roku rozrosła się w dwa plutony. Trudno natomiast wypowiadać się na temat liczebności oddziałów. Zwłaszcza że praktyką „Chłostry” było tworzenie tzw. oddziałów szkieletowych. W takim przypadku wyznaczano

¹ W. Myśliński, *Bataliony Chłopskie w powiecie brzeskim*, maszynopis, Brzesko 7 V 1967 r., s. 1, str. 1, Archiwum Jedynaka, dz. cyt., sygn. T.-4.

² Klemens Góral ps. Piorun, Kazimierz Styrna ps. Sławomir, [w:] Archiwum Jedynaka, dz. cyt., sygn. T.-6.

³ List Jana Sadego do Stanisława Jedynaka 9 III 1959 r. W zbiorach autora.

⁴ Wspomnienia wojenne Wiktorii Zych, w zbiorach autora.

dowódcę i zastępcę, który deklarował powołanie pod broń w razie potrzeby np. dwunastu ludzi na co dzień niezajmujących się konspiracją.

Przyjmując za pewnik istnienie dwóch plutonów BCh, musimy zwrócić uwagę na jeszcze jedną interesującą kwestię. Gdy w 1943 roku doszło w polskim podziemiu do akcji scaleniowej – o której szerzej za chwilę – gminna trójka „Rocha” przeznaczyła do połączenia pluton st. sierżanta Franciszka Marka „Rosy”, a z drugiego utworzyła Ludową Straż Bezpieczeństwa. Ten oddział w literaturze jest uznawany za jeden z trzech plutonów dywersyjnych istniejących w powiecie brzeskim, podporządkowany bezpośrednio zastępcy komendanta AK „Buty” por. Pawłowi Chwale „Skoremu” z BCh. Analiza źródeł nakazuje sądzić, że był to przydział „na papierze”, wymuszony działalnością dowódcy tego oddziału, którym był znany z okrucieństwa Władysław Drąg „Stalingrad”. Człowiek ten wstąpił do BCh po klęsce Niemców pod Stalingradem. Jego działalność, bardzo kontrowersyjna podczas okupacji¹, przerodziła się w *stricte* przestępczą po wojnie. Wydaje się, że był on poza wszelką kontrolą swoich zwierzchników, którzy mimo wszystko próbowali przyporządkować gdzieś jego grupę.

Narodowa Organizacja Wojskowa

W północnej części naszej gminy, na terenie Bielczy i Biadolin Szlacheckich, powstał oddział zbrojny Narodowej Organizacji Wojskowej. Według wspomnień Józefa Wojdaka „Visa” z Bielczy, pierwszego dowódcy oddziału, grupa została zorganizowana w okręgu NOW „Stanisław”, który podlegał dowództwu tej organizacji w Wojniczu. Ponieważ byli w tym oddziale żołnierze z naszej gminy, trzeba przedstawić niektóre fakty z działalności oddziału, zwłaszcza że losy jego członków w tragicznych okolicznościach zbiegły się z losami żołnierzy dębińskiego AK.

Oddział „Visa” wiosną 1943 roku utworzyło trzech żołnierzy ukrywających się przed gestapo w lasach radłowskich. W październiku 1943 roku liczył on już 10 żołnierzy i po akcji scaleniowej osiągnął stan 17 partyzantów². W czerwcu 1944 roku dowódcą oddziału został ppor. Jan Gomoła „Jawor”, a Józef Wojdak „Vis” pełnił funkcję jego zastępcy. Pluton liczący już 34 żołnierzy otrzymał kryptonim „Janina” i stanowił trzeci pluton dywersyjny obwodu Brzesko – „Buty”.

¹ www.bochenscywykleci.pl/index.php/oddzialy/10-dzialalnoosc-grupy-stalingrad. Dostęp 24.01.2017 r. godz. 22.28.

² J. Wojdak, *Byłem jednym z wielu*, dz. cyt., Tarnów 1994, str. 28

Akcja scaleniowa

Scalenie wszystkich organizacji podziemnych w okupowanej Polsce zapoczątkował rozkaz Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego z dnia 15 VII 1942 roku. Przesłanie było oczywiste – zaprzestanie rywalizacji pomiędzy grupami i stronnictwami w imię wyższego celu – niepodległości Ojczyzny. Negocjacje pomiędzy AK a „Chłostą” – Batalionami Chłopskimi oraz Narodową Organizacją Wojskową, trwały w powiecie brzeskim od V 1943 roku aż do XI 1944 roku. Niestety odbywały się one w atmosferze nieufności wiodącej nawet do poważnych konfliktów¹.

14 X 1943 roku AK w obwodzie „Buty” podpisało porozumienie z „Chłostą” – Batalionami Chłopskimi. W placówce „Dawid” – Dębno do AK dołączyły – według Myślińskiego – dwa plutony. Kolejny – trzeci, jako Ludowa Straż Bezpieczeństwa miał pełnić funkcję drugiego plutonu dywersji obwodu. O ile taka organizacja nie budzi kontrowersji, to już liczba podanych żołnierzy „Chłosty” tak. W licznej korespondencji byłych partyzantów AK znajdującej się w Archiwum Jedynaka, znajdujemy głosy podważające wiarygodność danych dotyczących liczebności wcielonnych plutonów oraz nazwisk ich dowódców. Dziś rzecz ta trudna jest do zweryfikowania, co nakazuje nam szczególną ostrożność w ostatecznym określaniu liczebności oddziałów BCh.

Scalenie z AK objęło również oddział NOW. Podobnie jak z ludowcami, rozmowy z narodowcami dotyczące warunków połączenia były długie i burzliwe. Doszło do tego, że w listopadzie 1944 roku akcja została przez NOW zawieszona, gdyż nie przyznano tej organizacji stanowiska zastępcy dowódcy obwodu brzeskiego! Po wznowieniu rozmów, dokończono proces scalania, jednakże atmosfera pomiędzy oddziałami pozostawiała wiele do życzenia.

W tym właśnie czasie przytrafił się najtragiczniejszy przypadek bratobójczej walki w naszej gminie, który mógł właśnie wynikać z napięcia i wzajemnych pretensji członków organizacji w okresie scalania ich struktur.

4 VII 1944 roku dwóch oficerów AK, Adam Bartosz „Kmicic”, szef dywersji obwodu oraz Jan Kawa „Kresowiak”, dowódca placówki „Dawid”, zostało śmiertelnie postrzelonych w Sufczynie przez patrol NOW. Wokół tego wydarzenia narosło wiele legend, dlatego postaram się je przedstawić, poddając szczegółowej analizie wszystkie dostępne źródła. Oddajmy zatem głos świadkom zdarzenia. Jan Wojdak „Vis”, „Swoboda” napisał w swoich wspomnieniach:

¹ A. Pietrzykova, dz. cyt., str. 412.

Na początku lipca nasz pluton obozował na kwaterach w lasach radłowskich. Kilku partyzantów zwróciło się do mnie z prośbą, aby im udzielić przepustki – chcieli odwiedzić swoje rodziny w Biadolinach, Łoponiu, Wojniczu i Sufczyźnie. Początkowo nie chciałem wyrazić zgody, ale mnie przekonali, że pójdą przez las aż pod sam Wojnicz marszem ubezpieczonym. Ponieważ usilnie na mnie nalegano, aby tym **ośmiu** żołnierzom udzielić przepustek, ostatecznie wyraziłem zgodę, choć z dużym oporem. Dowództwo patrolu objął Władysław Zagaja „Kolec” z Wojnicza. Mieli wrócić o 4 rano do obozu. Kiedy 4 lipca o 5 okazało się, że ich nie ma, postanowiłem wyruszyć im naprzeciw z jeszcze jednym partyzantem. Około godziny 7 rano zauważyliśmy grupę ludzi podążającą przez łąki w naszym kierunku. Rozpoznałem przez lornetkę nasz patrol. Wyszliśmy naprzeciw nich, pytając, co się stało. Wyraźnie zatroskany „Kolec” wyjaśnił, że mają 2 rannych: „Klina” i „Szarego”. Doszliśmy do obozu, nic więcej nie mówiąc. Obejrzałem rany. „Klin” był ranny w lewą nogę „Szary” w prawą. Wysłałem „Kolca” po lekarza. (...) Lekarz sprowadzony z Bożęcina dał im zastrzyki z surowicy, potem wyczyścił i obmył rany, a następnie je zabandażował. Gdy lekarz odszedł, przyjąłem raport od rannych i „Kolca”.

Patrol przed rozstaniem umówił się na zbiórkę o 2.30. W Sufczyźnie. Stawili się wszyscy punktualnie i wyruszyli marszem ubezpieczonym z powrotem drogą Łysa Góra–Sufczyn. Dochodząc do mostku w Sufczyźnie, zostali nagle osłepieni lampkami elektrycznymi i usłyszeli donośny głos po niemiecku: HALT. Natychmiast padli na ziemię, myśląc, że wpadli w zasadzkę. Rozpoczęła się strzelanina z obydwu stron. Po jakimś czasie usłyszeli, że ktoś ucieka przez mostek, więc poderwali się i dobiegli do polanki, gdzie zobaczyli dwóch mężczyzn leżących na ziemi. Jeden z nich zapytał „Kto wy jesteście? Polacy?”, „Tak”, odpowiedział „Kolec” i dodał: „Dlaczego nas zatrzymaliście w języku niemieckim? Co za okropna pomyłka! Wzięliśmy was za patrol niemiecki”. Kiedy lampkami oświetlili leżących, stwierdzili, że to ich znajomi: „Kmicic” i „Kresowiak” z Sufczyzna. Ten był ciężko ranny i po chwili zmarł. Ponieważ patrol miał dwóch rannych, całą uwagę poświęcono na poszukiwaniu furmanki do przewiezienia ich do obozu w lesie. Zmarłych pozostawiono na miejscu w przekonaniu, że ci, którzy z nimi byli, wrócą po nich.

Na drugi dzień komendant obwodu Brzesko kpt. „Soplica” wezwał nas przez łącznika placówki do raportu. Jako miejsce spotkania wyznaczył las w Woli Dębińskiej – pierwsza linia lasu od strony Biadolin. Na spotkanie poszedł też „Kolec” jako naoczny świadek zdarzenia. W czasie rozmowy „Soplica” zagroził daleko idącymi konsekwencjami za to – jak nazwał – morderstwo swoich oficerów. Usiłował nie dopuścić nas do głosu,



Jan Żółty „As” (fot. Ze zbiorów rodzinnych)



Józef Wojdak „Vis” (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)



Teofil Batko „Orzeł”

groził sądem wojennym. Gdy się uspokoił, zaczęliśmy składać wyjaśnienia. Całą winę na siebie wziął „Kolec”, który dokładnie przedstawił, jak do tej tragicznej pomyłki doszło. Użycie języka niemieckiego zrobiło na nich wrażenie, że to zasadzka. „Kmicic” i „Kresowiak” byli jego kolegami i on żałuje tego, co się stało. Oddaliśmy „Soplicy” dwa pistolety typu „Colt” zabrane po-
ległym i przyniesione przez nas. Na koniec rozmowy kapitan ustalił hasła dla naszych oddziałów.

Pozostał po tym przykrym wydarzeniu żal i smutek, że od kul swoich bliskich zginęli dwaj młodzi oficerowie¹.

Ta relacja, która przedstawia wersję wydarzeń według patrolu NOW, nie jest jedynym spisaniem świadectwem zajścia. Inną relację – sprzeczną z opowiadaniem Wojdaka, przedstawia uczestnik patrolu Jan Kaszycki „Klin”. Píše on: (...) „Swoboda” wysłał dość silny patrol (5-6 ludzi) w celu zlikwidowania bimbrowni we wsi Milówka. W czasie patrolu doszło do tragicznego wypadku. Idąc[y] w nocy od Łysej góry w kierunku Dębna i Sufczyzna, patrol został niespodziewanie oświetlony latarką elektryczną i usłyszał słowa „Halt”. Szliśmy gęsiego, ja i „Szary” jako pierwsi, momentalnie skoczyliśmy do rowu i podeszliśmy do miejsca, skąd dochodziło światło i głos. Zobaczyłem tam dwóch ludzi. Jednego sterroryzowaliśmy bronią, ręk do góry nie podniósł, ale zachowywał się spokojnie. W pewnym momencie sięgnął po broń. W tym momencie padły strzały jak na komendę, tj. równocześnie. Strzałów padło kilka. Strzelił człowiek, który nas zatrzymał i oświetlił, kolega „Szary” oddał strzał z Parabellum i trafił jednego w podbródek, zaś ten stojący obok mnie także strzelił i trafił „Szarego” w kolano, a mnie w nogę. Ja też strzeliłem i jak się okazało celnie. Dodam jeszcze, że „Szary” miał na sobie bluzę niemieckiej służby pomocniczej, a na głowie niemiecką furażerkę. Być może ci dwaj, widząc mundur niemiecki, nie udzielali odpowiedzi. Powróciliśmy do obozu furmanką z dwoma rannymi...²

Jeszcze inną, ciekawą relację stanowią wspomnienia dotyczące tego wydarzenia, pozostawione przez łącznika AK, Stanisława Jedyńka. Píše on:

Komenda obwodu powiadomiła nas, że Niemcy przygotowują ekspedycję karną w gminie. Wszyscy partyzanci mieli opuścić domy i udać się w bezpieczne miejsce. Do mnie do domu (Stanisław Jedynek mieszkał w Porąbce Uszewskiej – Piotr Marcik) przyjechał adiutant komendanta Jan Lewniowski „As” i Józef Michalek „Atos”. Ulokowaliśmy się na wzgórzu, kilkaset

¹ Jan Wojdak, *Ruch oporu w powiecie brzeskim 1939-1945*, Bielsko Biała 1986. Archiwum Jedyńka, sygn. T. 4 Bibliotek Publiczna w Porąbce Uszewskiej.

² K. Pilch, *Wspomnienia niepokornych*, Tarnów 2002, s. 45.

metrów od domostw, blisko lasu, skąd widać było drogę, którą mogliby przyjechać Niemcy. Do północy nie wpłynęły żadne meldunki od łączników. Panowała cisza przerywana ujadaniem wiejskich psów. Siedzieliśmy na wysokim brzegu jaru pod kępą drzew. Ten i ów próbował od czasu do czasu powiedzieć jakiś kawał, ale rozmowa się nie kleiła. W miarę upływu czasu niebezpieczeństwo malało.

Było już dobrze po północy. Niektórzy z mieszkańców, którzy dołączyli do naszej grupy zaczęli drzemać, gdy nagle od wschodniej strony usłyszeliśmy kilka serii pistoletu maszynowego. Po chwili jeszcze słychać było kilka pojedynczych strzałów... i cisza. Zerwaliśmy się na równe nogi, w przekonaniu, że któryś z patroli zastał zaskoczony przez Niemców. Świtało już, wobec tego postanowiliśmy rozejść się do domów. Rano jak zwykle udałem się do biura gminy w Dębnie. Przed budynkiem stało kilku pracowników i sołtys wsi Sufczyn, który przywiózł złe wieści. Zginęli dwaj oficerowie AK Jan Kawa „Kresowiak” oraz Adam Bartosz „Kmicic”. Pierwszy był dowódcą placówki Dębno, drugi dowódcą patrolu dywersyjnego. Sołtys powiedział, że mieszkańcy słyszeli strzały i jęki długo w noc, ale nie mieli odwagi pójść na miejsce w obawie przed Niemcami. Po niedługim czasie okoliczności wypadku zostały wyjaśnione. „Kresowiak” wspólnie z „Kmicicem” wybrali się w okolicy Jaworska i Łysej Góry na akcje rozbijania bimbrowni, które tu i ówdzie organizowano. Okazało się, że patrol z wojnickiej placówki N.O.W. udał się w te strony w tym właśnie celu. Obydwie strony o sobie nie wiedziały, ale obydwie grupy liczyły się z możliwością spotkania Niemców. Członkowie obydwu grup mieli na sobie mundury niemieckie. „Kresowiak” lub „Kmicic”, spostrzegłszy przed sobą „Niemców”, krzyknął „Hände hoch”. Któryś z patroli NOW, nie namyślając się, oddał serię z pistoletu maszynowego. Kładąc „Kmicica” trupem na miejscu. „Kresowiak” drugą serią został ranny w brzuch. Leżąc, oddał jeszcze kilka pojedynczych strzałów. Jeden z patroli NOW został ranny w rękę. Potrzebował pomocy. Patrol NOW wycofał się. Na miejscu pozostał jęczący z bólu „Kresowiak”. Tak więc w skutek zbiegu okoliczności straciło życie dwóch młodych, szczerze oddanych sprawie żołnierzy¹.

Udało się dotrzeć do jeszcze jednego świadka, mieszkańca Sufczyna, Józefa Migdała, który miał wtedy 16 lat. Opowiedział, co przeżył tamtego dnia:

O partyzantach wiem tyle, że kiedyś około 3 nad ranem usłyszałem strzały. Potem jęki. Rano z okolicznych domów pobiegli ludzie, nad rzeczkę, gdzie

¹ S. Jedynek, *Tragedia w Sufczynie*. Archiwum Jedynaka, sygn. T-4, Bibliotek Publiczna w Porąbce Uszewskiej.

przy moście na Łysą Górę leżały dwa ciała. Ja oczywiście też tam poszedłem. Jak się okazało potem, byli to Jan Kawa i Adam Bartosz. Byli w normalnych ubraniach. Była też żandarmeria z Wojnicza. Jeden z nich dał mi szmatę, żebym wytarł twarz zmarłemu – pamiętam, była cała zakrwawiona. Potem żandarm kazał im rozpinąć spodnie i sprawdził, czy to nie są Żydzi, i kazali ich pochować. Dookoła były łuski z PPSzy, nazywaliśmy je „fiżle”. Te łuski leżały w pszenicy po prawej strony drogi, jak się jedzie od Dębna¹.

Cytowane tutaj obszernie relacje świadków to jedyne znane źródła opisujące to wydarzenie. Nie jest celem tej książki ferowanie wyroków, ale zachęcenie czytelnika do samodzielnej analizy dostępnych materiałów oraz wyciągnięcia z nich wniosków. Obowiązkiem zaś historyka jest zadawanie pytań. Wszystkich odpowiedzi tak czy inaczej nie można udzielić z powodu braku wiarygodnych źródeł.

Stanisław Jedynek mówi o ostrzeżeniu przed Niemcami, wydanym przez dowództwo AK. Rozkaz dotarł do łącznika, partyzanta, zwykłych ludzi w Porąbce Uszewskiej. Czy dowódca AK w gminie Dębno „Kresowiak” nie wiedział o ostrzeżeniu? A jeżeli wiedział, czy poszedłby na akcję likwidacji bimbrowni we dwóch, narażając się na spotkanie z setkami Niemców, podczas gdy inni partyzanci mieli siedzieć cicho pod lasem? Patrol NOW był w drodze na akcję czy na przepustkę? Zabrał furmanką swoich dwóch lekko rannych w nogi, a ciężko rannego, znajomego AK-owca zostawił na śmierć, odbierając mu pistolet? Kto mija się z prawdą – patrol NOW, który widział AK-owców w mundurach, czy naoczny świadek z Sufczyzna, który widział zwłoki w cywilnych ubraniach? Skąd „Soplica” dowiedział się o wypadku i jego przebiegu, tak szybko reagując i organizując spotkanie w lesie w Woli Dębińskiej?

Bez względu na prawdziwe przyczyny tego tragicznego w skutkach spotkania partyzantów, głównym winowajcą mogła być akcja scaleniowa organizacji podziemnych. Odbywała się ona w atmosferze ciągłych napięć, nieporozumień i walki o wpływy w organizacji. Wojskowa dyscyplina i zgodna współpraca oddziałów byłyby skuteczną barierą dla wszelkiego rodzaju nieporozumień, jakie mogła nieść ze sobą konspiracyjna rzeczywistość. Tego w Sufczyźnie zabrakło.

Mimo wszystko zręby organizacyjne państwa podziemnego, stworzone w gminie Dębno, zapewniły skuteczną i ciągłą walkę z okupantem w wielu aspektach okupacyjnej rzeczywistości. Poczawszy od walki zbrojnej, a skończywszy na pisaniu patriotycznych wierszy.

¹ Józef Migdał, *Wspomnienia wojenne*. W zbiorach autora.

Tajemnica księżycowej nocy

Opowiadanie

Andrzej Chodacki

Smutną pieśń śpiewają biadolińskie łąki. Stara kobieta z rozwianymi siwymi włosami stoi wśród ich bezkresnych dywanów. Patrzy w dal na ciemną ścianę lasu, skąd miał nadejść jej syn, żołnierz. Patrzy tak już drugi dzień, patrzy wypłakanymi do cna oczami, bo pukał w jej okno tamtej księżycowej nocy. Przecież na pewno w końcu przyjdzie.

Ludzie zjawiają się co jakiś czas i próbują jej tłumaczyć:

– Nie czekaj na niego. Twój syn, Adaś, już złożony w trumnie. Poległ czy zabity? Któż to wie? Chyba tylko księżyc, co świecił wtedy nad jego umieraniem.

Lecz ona stoi tam dalej, a łąka śpiewa swą pieśń tęsknoty za młodymi chłopcami, którzy biegali tu kiedyś wiosną, szukając płatów topniejącego śniegu.

– Dlaczego? – pyta kobieta wzdychającego wiatru. – Dlaczego nie pozwolili mi ostatni raz spojrzeć na jego twarz?

– Pewny jesteś, że to on? – „Kresowiak”* zapalił i zaciągnął się, po czym spojrzał przez chmurę dymu na „Kmicica”**.

Ten odpowiedział mu lekkim skrzywieniem ust. Wertował papiery, które dostał z komendy obwodu.

– Patrz! – wskazał palcem – tu masz wszystko, nazwisko, adres, rysopis i dlaczego trzeba go sprzątnąć.

Bartosz nie lubił zbędnych rozmów. Przed wojną to był nawet miły i rozmowny chłopak, ale wojna zmienia serca ludzkie. Nie wiadomo, co spowodowało tak radykalną przemianę charakteru mężczyzny, ale im dłużej przebywał w dywersji, tym bardziej szarzały jego niebieskie kiedyś oczy. Niektórzy, nawet w obrębie organizacji, zwyczajnie się go bali. A gdy mówił, zazwyczaj miał na ustach poirytowany uśmiech. Tak też było teraz, gdy tłumaczył sytuację swojemu kompanowi z dębińskiej placówki.

– Gad przyjechał z północy, gdzie wystawiał gestapowcom naszych, tu masz, o! – rozłożył przez „Kresowiakiem” papier. – Ukryli go tu, bo myśleli, że sprawa przycichnie. Jak nie chcesz iść, pójdę sam.

– Nie o to chodzi – Jan Kawa zdenerwował się, że ktoś może podejrzewać go o tchórzostwo. A może to ta pogoda szarpała mu nerwy od rana? Na zewnątrz ciemne chmury nasunęły się na wieś i wiatr uderzył w wysokie lipy otaczające dom. Między mężczyznami zaległa chwila niezręcznej ciszy, w której do głosu dochodziła coraz gwałtowniejsza zawierucha ogarniająca świat za oknem. Jabłoń skuliła się pod naporem wichru, który okładał ją z każdej strony złośliwymi razami.

– Zmarnuje jabłka – odezwał się „Kresowiak”, jakby chciał zmienić temat. Spojrzał dalej, gdzie potężna nawałnica spłukiwała właśnie tyse głowy niewysokich

* Jan Kawa „Kresowiak”, dowódca Armii Krajowej rejonu Dębno.

** Adam Bartosz „Kmicic”, dowódca plutonu dywersyjnego Armii Krajowej.

pagórków. Z pobliskiego lasu doleciał jęk sosen wyginanych bezlitośnie do granic wytrzymałości. Kurtyny deszczu nieregularnie zasłaniały im widok, aż wreszcie wszystko zaczęło się uspokajać.

„Kresowiak” otworzył okiennice, z których pociekło obficie za okno. Zdawało się, że cała przyroda odetchnęła świeżością. Do pokoju wpadł wilgotny, zalatujący starym drewnem podmuch.

– Jest rozkaz – „Kmicic” otworzył dłoń i kładł ją rytmicznie na stole, by dodać powagi swojej wypowiedzi – trzeciego lipca ogłaszają alarm, żeby wyczyścić nam przedpole. Nasz szpicel nie ruszy dupy, bo wie, że nie musi się bać Niemców. Co tobie jeszcze trzeba?

– Jak wygląda dom? – „Kresowiak” pokiwał głową, jakby dotarło do niego, że karty już rozdane. Teraz trzeba dobrze zaplanować rozgrywkę.

– Jedno wejście od drogi, z tyłu dwa okna. Krótka broń wystarczy.

– Rodzina?

– Mieszka sam.

– To dobrze – na twarzy „Kresowianka” odmalował się ledwo dostrzegalny wyraz ulgi.

– Chłopakom powiemy, że idziemy na bimbrownię do Łysej, dlatego we dwóch i po cywilnemu – „Kmicic” miał już wszystko ułożone. Znaczący, że rzeczywiście wykonałby zadanie sam, nawet gdyby jego kolega odmówił.

– Dziwnie to będzie wyglądać – „Kresowiak” wstał i przeciągnął się. – Niby, że Niemcy szykują nalot, a dowódca idzie rozbijać bimbrownię.

– A co, chcesz walczyć z Niemcami? Z piętnastoma karabinami i wiadrzem granatów? – „Kmicic” znów uderzył w sarkastyczny ton. – I tak byś musiał siedzieć na dupie i czekać na główne siły.

„Kresowiak” w myślach przyznał mu rację. O otwartym starciu z kilkuset żołnierzami niemieckimi nie mogło być mowy. Druga sprawa, że Niemcy przecież nie przyjadą. Wiadomość o nalocie ma tylko wykurzyć ludzi do lasu, by można było bez przeszkód przejąć szpicla, a gdyby się bronił – uniknąć przypadkowych ofiar wśród cywilów. To, że ma gnata w chałupie, było prawie pewne.

– Może być bimbrownia – mężczyzna drugi raz tego wieczoru ustąpił pola „Kmicicowi”. Mimo wszystko, jeśli iść na akcję, to właśnie z nim. Człowiek, który stracił wszystko, w ogniu walki, nigdy nie zawiedzie. Taki był Adam Bartosz. Nie ma rady, trzeba pójść i wykonać rozkazy. Zdrajca to zdrajca i kara za to może być tylko jedna.

Wstali i wyszli na zewnątrz. Buty zadudniły na drewnianej podłodze, potem trzasnęły drzwi domu. „Kresowiak” spojrzał na szefa dywersji, który właśnie szukał czegoś w wewnętrznej kieszeni marynarki. Bez słowa podał mu pudełko z papierosami. Tak, zazdrościł mu tej jego pewności siebie. Zazdrościł mu, że może teraz stanąć na progu domu i spokojnie palić papierosa, bez zbędnego myślenia o tym, czy człowiek skazany na śmierć przez dowództwo AK jest rzeczywiście winny. Wyrok zapadł, nie ma od tego odwrotu.

– Piwko? – usłyszał propozycję „Kmicica”, który ruszył już przed siebie błotnistą ścieżką. Lśnienie spłukanego deszczem świata stopniowo zaczęło przygasać. Niebem

gnały chmury o barwie szurzej szarości, a powietrze z każdą chwilą traciło świeżość. Jego serce buntowało się przed tą akcją, jakby szturchane złymi przecuciami. Odegnął te myśli, uderzając mocno butami o utwardzoną nawierzchnię ścieżki, i podążył za swoim kolegą. Do akcji jeszcze pięć dni. Może odwołają rozkazy? Tak przecież wcześniej bywało.

Tamta noc była pełna niepokoju i szaleństwa. Już pod wieczór trzeciego lipca dała się odczuć nerwowość w założonym w Lasach Radłowskich obozie Narodowej Organizacji Wojskowej. Chłopczy chodzili smętni, co raz któryś szedł do „Visa”* po przepustkę. Coś ich gnało, nie dawało usiedzieć na miejscu. Dowódca początkowo odmawiał, bo dotarła do niego informacja, że Niemcy planują akcję w gminie w poszukiwaniu broni. Gdy jednak kolejny, ósmy żołnierz wchodził do jego ziemianki, zaczął się niepokoić.

– Co was tak wszystkich tyłki swędzą?!

– Panie poruczniku, pan pozwoli do domu... – każdy gadał tak samo.

Wojdak wyszedł na polanę i rozejrzał się. Oczy jego ludzi pałały dziwnym blaskiem. Widział to już kiedyś i domyślił się, że poza słowami kryje się coś jeszcze.

Dreszcz przeszedł mu po plecach, choć wokół ciepło, lato w pełni.

Popatrzył w górę. Niebo nad lasem miało niezdrowy, rdzawy kolor, szczyty drzew płonęły niepokojącą łuną.

– Czort jakiś czy co? – zastanawiał się z drodze do magazynu broni. Trzeba sprawdzić, czy wszystko jest na miejscu.

Pod magazynem „Młody” czyścił pepeszę. Kiedy dowódca podszedł bliżej, okazało się, że chłopak piłuje coś zawzięcie przy kabłąku spustowym broni. „Młody” był w plutonie od niedawna. Trafił do nich z północy, miał dobrą opinię, więc go przyjęli. Już kilka dni potem „Vis” żałował swojej decyzji. Chłopak był narwany, kilka akcji przez niego omal nie skończyło się tragicznie. Dlatego dostał taki pseudonim.

– Co ty tam, „Młody”, robisz z tym automatem? – dowódca przystanął nad chłopakiem i obrzucił go krytycznym spojrzeniem.

– Spust się zacina – ten nawet nie podniósł oczu, tylko dalej robił swoje – zaraz kończę, będzie jak złoto.

– Jak uszkodzisz broń, to ci nogi z dupy powyrywam, pamiętaj! – „Visowi” też udzieliła się nerwowa atmosfera. W odpowiedzi otrzymał tylko spojrzenie pełne ironii i niespokojnych błysków.

Poważnie wyprowadzony z równowagi ruszył do swojej ziemianki. Wiatr sypnął mu w oczy igliwem i tego już było za wiele.

– No szlag by...! – zaklął, a w myśli dopowiedział sobie: niech idą w cholere, przynajmniej chwila spokoju będzie.

– Panie poruczniku – przed lepianką znów stała kolejka.

– „Kolec”** dowodzi! – ryknął na nich – Idzie ośmiu wcześniej zgłoszonych, o czwartej rano macie tu być, bo jak nie, to inaczej z wami pogadam!

* Ppor. Józef Wojak, dowódca patrolu NOW.

** „Kolec”, Władysław Zagaja z Wojnicza, żołnierz NOW.

Rozbiegli się natychmiast. Wszedł do ziemianki i huknął drzwiami, tak że w całym obozie wszyscy się dowiedzieli, że dowódca lepiej już nie zawracać głowy. Dziewiąty, który się spóźnił, wrócił do swojej kwatery ze spuszczoną głową. Do dowódcy po przepustki poszli bez niego i teraz zostanie tu jak kołek! Do dupy z taką robotą!

Wyruszyli o zmierzchu południowym brzegiem Lasów Radłowskich. Gdzieniegdzie przecinki wyżłobione w zwartym szeregu drzew odstaniały ich na moment, wtedy skuleni przeskakiwali pojedynczo, by już po chwili na nowo zlać się z szarością ogarnianego mrokiem boru. Ośmiu ludzi z oddziału podporucznika Wojaka. Ośmiu, a na ich czele Władysław Zagaja „Kolec”.

Księżyc pojawił się nagle, ogromny w swej srebrzystej ramie i roztoczył perłowy spokój nad lasem, wzgórzami i dojrzewającym zbożem. Pachniało goryczą wilgotniejącej pod wieczór ściółki. Mężczyźni poruszali się w zupełnym milczeniu, co jakiś czas zanurzając się w mgłę. Obce i nieprzyjemne odczucie przyklejało im się do pleców z każdym wejściem w mleczny tunel, w którym trzeba było dobrze wytężyć wzrok, by nie zgubić ścieżki. Niekiedy dało się słyszeć pełen niepokoju śpiew dzwońca. Potem znów cisza i księżyc, spęczniały tak, że mniejsze gwiazdy odsuwały się od niego w obawie, że je pochłonie.

Znów przecinka, ubezpieczone skoki i znów osiem cieni wsiątkło w mgławą zaporę. Nieziemska poświata, raz osłabiona przez mgłę, innym razem mocna i przenikliwa, nadawała skórze ich rąk trupi kolor. Tysiące niezauważalnych drobin światła zmieniły czern nocy w szarość podobną do wiecznego przedświt. Kierunek Wojnicz. „Kolec” znał tu każdą ścieżkę, bo sam pochodził z tych stron. Prowadził swoich ludzi pewnie i bezbłędnie. „Młody” szedł na końcu. Uparł się, że zabierze ze sobą pepeszę. Nie było jak zapytać dowódcy o zgodę, więc „Kolec” machnął ręką. Tym większą mieli szansę na skuteczną obronę w razie draki.

Nikt nie spodziewał się, jak katastrofalne skutki pociągnie za sobą ta decyzja. Na przepustkę szedł człowiek z pistoletem maszynowym nieprzestrzelanym po próbie samowolnej naprawy. Człowiek, któremu nie powinno się dać do ręki nawet procy w obawie, że sobie nią wybije oko. Wszystko układało się źle tej pełnej niepokoju i szaleństwa nocy.

Akcja przebiegła sprawnie. Pełnia księżycy bardzo pomogła dwóm mężczyznom w odnalezieniu właściwego adresu, a alarm dla gminy zgodnie z przewidywaniami wypłoszył ludzi z domów. Związane go szpicla prowadzili teraz utwardzoną drogą wzdłuż rzeki Kisieliny w stronę Łysej Góry. Co jakiś czas szturchali go w plecy lufą pistoletu, bo dotąd nie mógł dojść do siebie po błyskawicznym najściu i wprowadzeniu. Profilaktycznie wepchnęli mu gałgan w usta, żeby nie zaczął krzyżeć. Do lasu w Łysej Górze, gdzie wykopali grób, zostało im jakieś dwa kilometry. Trzymali się skraju drogi, ale szli pewnie, bo jasno było jak w dzień. Już niedaleko mostek na rzece. „Kresowiak” spojrział nerwowo na zegarek. Druga piętnaście. Na trzecią będę w Łysej. Potem przesłuchanie i... tu „Kresowiak” poczuł falę gorąca.

Dobrze, że jest noc – pomyślał o kolorze swoich palących emocjami policzków. Spojrzał na „Kmicica”, który właśnie wbijał lufę colta z plecy jeńca, i zrobiło mu się źlej. Twardziel z dywersji wykona wyrok bez mrugnienia okiem. Do rana będzie można zapomnieć o tej paskudnej historii. Chyba pójdzie się urznąć. Tak. To jest bardzo dobry pomysł.

– Jak to dostał wyrok?! – „Kolec” aż podskoczył za stołem. Talerz z kaszanką zatrząśniętym się przed nim.

– Ci mówię – tłumaczył gospodarz. – AK-owcy chcą go sprzątnąć dziś w nocy. Tak mi powiedział jeden chłopak, co w powiecie ma dojście.

– Diabli nadali! – „Kolec” wstał, a wraz z nim poniósł się „Młody”.

– To mój kumpel – odezwał się chłopak zdławionym głosem – chciał do nas dołączyć, zróbmy coś...

– Gdzie on mieszka ten łyskuniak? – Dowódca patrolu już się ubierał, wraz z nim narzucali marynarki trzej jego podwładni.

– Na początku Sufczyzna, od Łysej – gospodarz też podniósł się podekscytowany – mały dom po prawej stronie szosy, dąb przy nim rośnie, największy we wsi, nie da się pomylić.

– Wujek, mnie nie musisz mówić, znam to miejsce. – Zagaja rzucił nerwowe spojrzenie na zegarek. – Pierwsza czterdzieści, może zdążymy? Ten Bartosz z dywersji zaczyna mnie wkur...ać. Wydaje mu się, że może kropnąć kogo chce! Jak nie jest za późno, to ich zatrzymamy i wyjaśnimy sprawę. Pewnie go wezmą na łysą w las, we wsi nie będą hałasować. Panowie! Szlag trafił przepustki. W drogę!

Potok szumiał cicho. Jego woda, leniwie płynąca w wąskim korycie, skrzyła się w księżycowej poświacie. Od strony pszenicznego łąnu łasica torowała sobie drogę w wysokiej trawie. Gnało ją pragnienie, które małemu stworzeniu najłatwiej zaspokoić pod osłoną nocy. Na drzewie po drugiej stronie drogi śledziła okolicę wielka sowa. Ptak czekał spokojnie na moment, w którym kudłate zwierzątko wyjdzie na ubity trakt, po czym bezgłośnie spłynął na swą ofiarę. Pierwsza tej nocy śmierć zburzyła spokój rozświetlonego księżycowym blaskiem zakątka. A wkrótce miało się tu stać coś o wiele gorszego.

Miedzą oddzielającą pszenicę od sadu śpiesznie przemieszczała się grupa ciemnych postaci. Czterech żołnierze wojnickiej placówki NOW byli już o kilkadziesiąt metrów od mostka, gdy ptak na drzewie kończył konsumowanie upolowanej łasicy. Sowa dostrzegła nadchodzących i zahuczała dwa razy ostrzegawczo, po czym wzbiła się w powietrze, by zniknąć w szarości nocy.

Pierwszy na południowy koniec mostka podczołgał się „Kolec”. Spojrzał w lewo, w kierunku Łysej Góry, i w prawo, gdzie droga przez mostek kierowała się na Sufczyn. Stwierdził z satysfakcją, że widoczność jak na noc jest doskonała. Nie dostrzegł też przy tym żadnego zagrożenia. Ruchem ręki wezwał do siebie pozostałych.

– Młody ubezpiecza – po raz pierwszy tego wieczoru ucieszył się, że chłopak zabrał pistolet maszynowy. Podniósł się sprawnie, susami pokonał kilka metrów i zaszył się w rowie za północnym skrajem mostka. Deski zadudniły trochę pod nim, więc pozostali odczekali chwilę, by powtórzyć jego wyczyn. Ocenili czas. Druga dziesiąć. Nie dało się szybciej. Pełnia pełnią, ale łąkami biec trudniej w nocy, można łatwo złamać nogę, wpadając w dziurę czy rów. Pozostaje mieć nadzieję, że dywersja AK nie narobiła jeszcze bałaganu.

– A jak go kropną w Sufczynie? – „Szary”* zadał trzeźwe pytanie.

– Nie będą robić hałasu w środku nocy. Ktoś by ich mógł zobaczyć. Pamiętacie, jak miesiąc temu załatwili Knappa? W lesie pod Łysą Górą.

– Prawda – zgodził się Klin** – a nasi teraz z dziewczynami na sianie...

Ostatnia uwaga żołnierza zabrzmiała trochę jak wyrzut, ale dowódca puścił ją mimo uszu. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie niż uciechy z wiejskimi dziewczuchami. Wszyscy wlepili wzrok w drogę na Sufczyn. Stamtąd spodziewali się nadchodzących AK-owców i mieli nadzieję, że tamci będą ze sobą prowadzić Łyskuniaka. Nadzieja ich nie zawiodła. W oddali, na granicy widzialności zamajaczyły nagle jakieś postacie. Początkowo jak cienie wynurzające się z szarości, po chwili wiadomo już było, że ktoś idzie w ich kierunku. „Kolec” przytknął lornetkę do oczu, ale okazała się nieprzydatna. Jeszcze minuta nerwowego oczekiwania i wszyscy dostrzegli wyraźnie trzy postacie. Jedna szła z przodu, dwie z tyłu za nią. „Kolec” dał „Młodemu” znak głową, a ten najciszej jak się dało odbezpieczył i pociągnął zamek pepeszy, wprowadzając pierwszy nabój do komory. Potem dyskretnym ruchem przestawił przełącznik w kabłąku spustowym na ogień ciągły. Pozostali przeładowali swoje pistolety. Oczekiwali teraz w napięciu, zdając sobie sprawę, że o tej porze nikt inny nie wędrowałby drogą ze wsi w stronę lasu. Trzy postacie zbliżyły się lewym poboczem drogi, teraz widać już było wyraźnie, że są to mężczyźni. Byli już pięćdziesiąt metrów od stanowiska żołnierzy NOW, gdy chmura przesłoniła księżycowe światło i zapadły kompletne ciemności.

Znów sekundy nerwowego oczekiwania i gdy srebrna poświata rozlała się na powrót po okolicy, zabrzmiał zdecydowany rozkaz:

– Stój!! Kto idzie?!

Lampki nie zdążyły oświetlić nadchodzących, bo zniknęli oni jak kamfora. Teraz „Kolec” był już pewny, że to dywersja AK.

– A kto pyta? – z rowu po drugiej stronie drogi padło zadziorne pytanie.

– Kolec! A ty kto?

– Kmicic! Dlaczego nas zatrzymujecie?

Chwila przerwy, w czasie której żołnierze NOW podnieśli się ze swoich pozycji. Za ich przykładem poszli AK-owcy, nie pozwalając jednak wstać jeńcowi, który jęczał coś niezrozumiale.

Wszyscy nadal trzymali wycelowaną w siebie broń. Stanęli twardo po dwóch stronach drogi.

* „Szary” – Władysław Pilch z Bielczy.

** „Klin” – członek patrolu NOW.

– Prowadzimy jeńca na przesłuchanie, rozkaz komendy obwodu – milczący dotąd „Kresowiak” podjął łagodniejszym tonem. Znał dobrze tych, którzy stali na przeciw. Światło omiotło twarz jeńca, aż przymrużył oczy.

– To on – doleciał ściszony głos „Młodego”.

– My go znamy, jest w porządku – „Kolec” rozpoczął negocjacje.

– Może go i znacie, ale chyba nie za dobrze – „Kmicic” był nieugięty. – To niemiecki szpieg, pozwólcie nam robić swoje.

Zaległa cisza. Zrobiło się nieprzyjemnie. Sześciu mężczyzn, polskich żołnierzy podziemia stało nadal naprzeciw siebie i mierzyło do siebie z broni. Żaden nie chciał ustąpić.

– To pójdziemy z wami i przesłuchamy go wspólnie – „Kolec” zaproponował wyjście, choć dobrze wiedział, jaka będzie odpowiedź.

– Władek – „Kresowiak” znów starał się załagodzić sprawę – ty wiesz, że nie możemy tak zrobić. Mamy rozkaz na piśmie, nie utrudniaj.

Wtedy stało się coś absolutnie niezrozumiałego, co można było tłumaczyć chyba tylko tym szaleństwem panującym w przyrodzie od popołudniowych godzin. Sowa, która przepadła w ciemnościach kilka minut wcześniej, wychynęła za plecami żołnierzy NOW i przelatując nisko zahaczyła skrzydłem o głowę „Młodego”. Seria karabinu maszynowego rozpruła noc, a po niej padły w odległości ułamków sekund dwa pojedyncze wystrzały. Dwóch mężczyzn stojących jeszcze przed chwilą po drugiej stronie drogi padło skoszonych śmiertelnym podmuchem, a po stronie stanowiska NOW skulili się trafieni w nogi „Klin” i „Szary”.

– Ku...wa!! Młody!!

– Rany boskie! – chłopak patrzył na pepszę i na swoje ręce – rany boskie!

Skurcz bolesnego strachu złapał go za gardło.

– Coś ty, ku...wa, zrobił?! – Kolec skoczył do przodu i oświetlił latarką leżące postacie. „Kmicic” miał zmasakrowaną głowę i leżał nieruchomo. „Kresowiak” jęczał, trzymając się za brzuch. Spomiędzy kurczowo zaciśniętych na brzuchu palców sączyła się ciemna krew.

„Młody” padł na kolana i odrzucił od siebie automat.

– Sam wystrzelił! Jak Boga! Sam wystrzelił! – powtarzał z miną zaszczutego zwierzęcia, gdy szuka miejsca do ucieczki w pierścieniu otaczających go myśliwych. Usłyszeli, jak ktoś biegnie po deskach mostka. To jeniec skorzystał z okazji i pognął w stronę Łysej Góry. Nie gonili go. Mieli tu makabryczny problem. Jeden oficer zabity, drugi ciężko ranny.

– Świeć tu, ku...wa! – „Kolec” klęczał już przy rannym. Potem drżącymi rękami rozerwał opatrunek i przyłożył jęczącemu mężczyźnie do brzucha. Cztery kule poszły z automatu „Młodego”. Jedna trafiła „Kresowiaka” w brzuch, potem karabin podskoczył i kolejne ugodziły „Kmicica” w głowę.

Podskoczył do dwóch leżących na drodze podwładnych. Ich ugodziły kule z pistoletów AK-owców, którzy chyba odruchowo nacisnęli na spusty. Rany były niegroźne, kości całe.

– Co my teraz zrobimy? – doleciało pytanie gdzieś z boku – za to sąd polowy...

– Zamknąć się, ku...wa! – Kolec wstał i spojrział przerażony, jak „Kresowiak” kończy życie. Szukał przy tym gorączkowo rozwiązania. Znalazł.

– Zbieramy się! – rzucił ostro – „Młodego” rozbroić! Możecie iść?!

– Damy radę – odpowiedzieli ranni.

– Szybko! Im już nie da się pomóc, ruszamy pod las, tam pomyślę.

Ruszyli, rozglądając się dookoła.

– A łyskuniak?

– Już go więcej nie zobaczysz.

Dotarli w milczeniu do skraju lasu i zatrzymali się. Młody znów usiadł, jakby uszło z niego powietrze. Kiwał się do przodu i do tyłu, gadając coś do siebie.

– Było tak – Słowa „Kolca” brzmiały strasznie w ciemnościach, które znów zajęły dookoła – czekaliśmy na Niemców, tamci krzyknęli coś po niemiecku i daliśmy ognia. Potem się zorientowaliśmy, że to byli nasi. Zrozumiano?!

Odpowiedziało mu wymowne milczenie. Oświetlił kolejno latarką ściągnięte smutkiem twarze. „Młodego” pominął.

– Pytam się, ku...wa, czy rozumiano?!

Gniewny pomruk potwierdził, że przyjęli do wiadomości to, co będą musieli opowiadać. Księżyc znów wychynął zza chmur.

– Jak mi się któryś wychyli, to przysięgam, że tymi rękami sam ukatrupię! – oczy dowódcy błyszczały gniewem, usta drżały, formułując ostre słowa. Rysy jego twarzy wykrzywiła wewnętrzna udręka. W myślach zaklął jeszcze raz najgorszym z przekleństw i ruszył nerwowo w stronę drogi na Wojnicz. Za nim, kuśtykając, podążyli jego ludzie.

ROZDZIAŁ II

KONSPIRACJA, czyli NIE BĘDZIE NIEMIEC PLUŁ NAM W TWARZ

Dzisiaj można się zastanawiać, jak potoczyłyby się losy II wojny światowej, gdyby w Polsce zabrakło ludzi skorych do poświęcenia swego życia w walce z Niemcami. Wbrew pozorom gmina Dębno odegrała na tym polu istotną rolę. Tutejszy ruch oporu działał bardzo sprawnie i odnosił wiele sukcesów ważnych zarówno dla naszej gminy, jak i dla całej Polski.

Początkowo działania konspiracyjne prowadzono spontanicznie, bez szczegółowych planów, ale z każdym kolejnym dniem okupacji dopracowywano strategię i sposoby walki z Niemcami. Podziemie z ogromnym poświęceniem na każdym kroku utrudniało życie najeźdźcom. Wszystkie działania i informacje dotyczące podziemia zachowane były w absolutnej tajemnicy. Zamiast nazwisk używano pseudonimów, które można było sobie dowolnie wybrać. Pomysły czerpano z różnych źródeł, młodzież sięgała po nazwiska bohaterów wywodzących się z literatury lub historii, takich jak np. Zawisza Czarny. Dziewczęta wybierały dla siebie imiona swoich najlepszych koleżanek. Starsi członkowie konspiracji pomysły na pseudonimy czerpali z niezłomnego ludzkiego charakteru, np. „Błyskawica”, „Bystry”. Inni zaś za pomocą pseudonimów deklarowali sposoby działania, jakie mieli zamiar przyjąć w przyszłości, np. „Zemsta”. Często obierano swoje własne imię czy nazwisko. Pseudonim można było w razie potrzeby dowolnie zmieniać, informując o tym przełożonych. Jeśli zdarzyłoby się, że kilka osób w danej jednostce wybrało dla siebie taki sam przydomek, komendanci bądź dowódcy dodawali do nich znaki liczbowe, np. „Dąb I” i „Dąb II”¹. Z kolei nazwy miejscowości zastępowane były kryptonimami.

¹ Wspomnienia Antoniego Jedynaka. W zbiorach własnych autora.

Każdy, kto chciał wstąpić w szeregi Armii Krajowej, musiał najpierw, trzymając dwa palce na koronce różańca, złożyć przysięgę¹, która była gwarantem, że rekrut dotrzyma tajemnicy w każdych okolicznościach, nawet za cenę życia. Zaprzysiężenia odbywały się zazwyczaj w kościołach lub w ważnych dla konspiracji miejscach.

Po złożeniu przyrzeczenia nowy członek oddziału wybierał dla siebie pseudonim. Dodatkowe zabezpieczenie stanowił fakt, że każdy działacz ugrupowania znał jedynie osobę, u której składał przysięgę i od której ewentualnie ją odbierał.

Jedną z najbardziej niebezpiecznych funkcji zbrojnego polskiego podziemia to łącznik. Ludzie, którzy ją sprawowali, byli ciągle narażeni na aresztowania lub śmierć z rąk gestapo. Zadanie łączników polegało na przekazywaniu rozkazów, prasy podziemnej, meldunków czy broni. Każdy z nich musiał zachować zimną krew. W innym wypadku swoim niepewnym zachowaniem mógł zdradzić, jaką funkcję pełni, i wpaść w ręce wroga. Łącznicy nieśli na swych barkach ogromną odpowiedzialność, nie tylko za życie swoje, ale też innych, którzy w razie ich wpadki mogli je stracić.

Wszelkie meldunki oraz rozkazy bądź innego rodzaju pocztę pisano na małych kawałkach bibułki, jedwabiu czy papieru. Jeśli w przekazywanej treści wymieniana była miejscowość bądź nazwisko, obowiązkowo pisano je sztyrem cyfrowym, jak na przykład według przedstawionego poniżej schematu:

/	1	2	3	4	5	6	7	8	9
1	s	t	u	w	x	y	z	a	b
2	t	u	w	x	y	z	a	b	c
3	a	b	c	d	e	f	g	h	i
4	n	o	p	r	s	t	u	w	x
5	i	j	k	l	ł	m	n	o	p
6	s	t	u	w	x	y	z	a	b
7	ł	m	n	o	p	r	s	t	u
8	a	b	c	d	e	f	g	h	i
9	w	x	y	z	a	b	c	d	e

¹ *W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej, kładąc rękę na ten święty krzyż, znak męki i zbawienia, przysięgam, że będę wiernie i nieugięcie stał na straży honoru Polski, a o wyzwolenie jej z niewoli walczyć będę ze wszystkimi siłami moimi, aż do ofiary mojego życia. Wszystkim rozkazom przełożonych moich będę posłuszny, a tajemnicy dochowam bez względu na to cokolwiek by mnie spotkać mogło. Tak mi dopomóż, Panie Boże.*

Każdej literze przeciwstawia się cyfrę – pierwsza pionowa, druga pozioma, np.: BATUTA – 28, 31, 21, 22, 12, 81, lub też: 82, 27, 46, 47, 78, 68¹.

Przekazywane wiadomości starano się ukrywać na różne sposoby. Jedni chowali je w oponach roweru, inni w ubraniach bądź torebkach. Łączniczki często przenosiły małe paczuski pod bielizną. Idąc na akcję, nie brano ze sobą żadnych dokumentów. Każdy miał obowiązek zadbać o to, by w razie kontroli nie zostać zdekonspirowanym.

Z obwodu Brzesko do szkoły w Sufczynie, gdzie mieściło się dowództwo placówki, w 1940 roku pocztę przewozili Stanisław Czapkiewicz „Sprężyna” i jego żona Genowefa Czapkiewicz „Juna”. W kolejnym roku byli to: Zenon Sobol „Tur”, urzędnik poczty w Brzesku, oraz Wiktoria Sobol „Ewa”. W 1942 roku funkcję tę pełnił Florian Filip „Poraj” lub Jan Kociołek „Mały Pikolo”, pracujący w restauracji Wojsa w Brzesku. W 1943 roku zreorganizowano sieć łączności inspektoratu w Tarnowie: centralę łączności, gdzie wymieniano się pocztą, urządzono w domu Henryka Rusina na granicy Dębna i Sufczyna.

Z kolei przenoszeniem poczty z placówki do obwodu oraz inspektoratu zajmowali się: Henryk Rusin z Sufczyna, Władysław Rusin „Młot” z Sufczyna, Anna Rusin, Roman Rusin, Zofia Rusin, Jan Wołek „Morwa” z Woli Dębińskiej, Jan Żółty „As” z Dębna, Jan Michałek „Atos” z Dębna, Stanisław Jedynak „Ola” z Porąbki Uszewskiej, Wiktoria Korcyl „Żak” z Porąbki Uszewskiej, Antoni Przeklasa z Sufczyna, Teofil Batko „Orzeł” i jego żona Zofia Batko.

Albert Kryszczuk w swoich wspomnieniach opisał pewne zdarzenie związane z przenoszeniem poczty. Otóż pewnego dnia Zofia Batko, niosąc prasę konspiracyjną, skrzyła nogę w polu na Zagórze. Nie chcąc się jednak zdekonspirować, nie wołała nikogo na pomoc, siedziała na miejscu, drżąc z zimna i ze strachu do godziny 12 w nocy. Na szczęście zaniepokojony mąż zaczął jej szukać i znalazłszy, zaprowadził ją do domu. Należy podkreślić, że łącznicy i łączniczki codziennie narażali swe życie, a czasem oprócz poczty przewozili także i broń, co potęgowało zagrożenie.

Podczas przewożenia meldunków do Tarnowa łącznicy prowadzili również zwiad. Jadąc drogą DK-94, która wówczas była pilnie nadzorowana przez okupantów, starali się obserwować ruch wojsk niemieckich. Należało zanotować w pamięci ilość jadących pojazdów, ustalić, czy są puste, czy może jest na nich jakiś ładunek oraz czy jadąca kolumna jest ubezpieczona. Ważne też było, aby zapamiętać oznaczenia jadących pojazdów, a były to różne rysunki znajdujące się na karoseriach samochodów, np. wizerunki zwierząt, roślin, figury czy schematy. Często zwiad prowadzono pod kamuflażem, chowano

¹ Materiały Antoniego Jedynaka. W zbiorach autora.



Od lewej: Andrzej Paryło, Stanisław Kubala, Józef Gurgul, Andrzej Kubala, Stanisław Jedynak, Władysław Boruch, Julian Grochal Józef Mleczo, Jan Wołek (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)



Wiktoria Sobol „Ewa”



Mjr Włodzimierz Bernhard „Stefa” (fot. ze zbiorów Piotra Matury)



Zenon Sobol „Tur”

się w przydrożnych krzewach i spisywano wszystko dokładnie. Po powrocie łącznik, jeśli zaobserwował coś niepokojącego, składał raport z trasy. Każdy tego typu przejazd niósł za sobą spore ryzyko. Jeśli zauważono jadącą drogą kolumnę wojskową, należało natychmiast się usunąć. Niemcy nie liczyli się bowiem z poruszającymi się krańcem drogi pieszymi lub innymi pojazdami. Kto nie ustąpił miejsca, mógł zostać rozjechany.

Kolejnym z niebezpieczeństw, czyhających na łączników w drodze do Tarnowa, był strzeżony przez Niemców most na Dunajcu, gdzie w razie kontroli wróg mógł przechwycić przewożone informacje. Aby zmniejszyć ryzyko wpadki, udawano handlarzy wiozących ze sobą małe paczki z jajkami, kawałkami masła, sera bądź wyprawionymi skórkami z królika. Przewiezione towary sprzedawano u państwa Wendów w Tarnowie, a na drogę powrotną zabierano kawałki materiału lub kilka butelek wina.

Stanisław Jedynek „Ola”, który oprócz pracy w urzędzie gminy, pełnił funkcję łącznika, przytacza kilka interesujących faktów z konspiracyjnego życia. Podczas pełnienia powierzonej funkcji przewoził pocztę mniej więcej trzy razy w tygodniu. Przez cały czas był do dyspozycji adiutanta obwodu „Buty” Jana Żółtego „Asa”, który w nagłych wypadkach telefonował do urzędu gminy i łącząc się z „Olą”, przedstawiał mu sprawę chorej ciotki – było to hasło, dzięki któremu Stanisław wiedział, że otrzyma jakieś ważne zadanie. Kontakt „Asa” z gminą ułatwiała jego siostra, Kamila Grochal, która pracowała w centrali telefonicznej na poczcie w Dębnie i była w tajemniczona w pracę konspiracyjną.

Po powrocie z każdej akcji Stanisław Jedynek jako łącznik musiał zameldować się o wyznaczonej godzinie w domu dróżnika Tadeusza Żółtego, gdzie przez długi czas mieścił się swego rodzaju „sztab” obwodu „Buty”. Jeśli łącznik nie zgłaszał się w porę, czekający na niego „As” oraz komendant „Soplica” niepokoiли się, czy nie został schwytany.

Kiedyś Stanisław Jedynek nie zjawił się w porę po zakończonej akcji. Został zagnany przez Niemców do kopania umocnień. Tak opisuje chwilę, gdy z opóźnieniem przybył do wyznaczonego punktu: *W punkcie u „Asa” zastałem pustki. „Na posterunku”, jak zresztą zwykle, zastałem „babcię”, matkę „Asa”. Poinformowała mnie, że wszyscy sądzili, że wpadłem. Dla pewności usunęli wszystko, co mogłoby stanowić dowody przeciw mnie. „Babci” zostawili wiadomość, gdzie należy ich szukać, gdy wrócę sam (...)* Po „Asa”, swego syna, posłała małego wnuczka¹.

¹ A. Kryszczuk, *Rys historyczny Ruchu Oporu na terenie powiatu brzeskiego w latach 1939-1945*. Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie, sygn. Arch. 05 III nr 517.



Kamila Grochal „Szarotka” (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Rodzina Rusinów z Sufczyzna (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Michał Kotas „Świder” stoi drugi od lewej (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)



Tadeusz Żółty (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Józef Michałek z żoną (fot. ze zbiorów autora)



Tadeusz Żółty z żoną i dziećmi (fot. ze zbiorów autora)



Julian Grochal z synem (fot. ze zbiorów rodzinnych)

Łącznicy mieli szczególną szansę wykazania się odwagą, gdy brali udział w bardzo niebezpiecznych zadaniach, jakimi były transporty broni i amunicji. Takie akcje przeprowadzono m.in. w październiku 1943 roku, kiedy Jan Żółty „As”, Jan Michałek „Atos”, Stanisław Jedynak „Ola” oraz dwóch innych ochotników udali się do Zgłobic po odbiór granatów. Wszyscy poruszali się rowerami, droga była niebezpieczna, prowadziła przez rynek w Wojniczu oraz przez strzeżony most na Dunajcu, gdzie kręciło się wielu Niemców. Po dotarciu na miejsce, każdy z nich zabrał dwie puszkę po marmoladzie, z zalutowanymi wieczkami, wewnątrz ukryte były granaty. Jedną puszkę schowali do plecaka, a drugą na bagażnik roweru. Rowerzyści jadący w grupie wzbudzali podejrzenia wśród Niemców, wybierano więc na przejazd takie godziny, w których na ulicy był duży tłok, na przykład gdy z fabryki w Mościcach do domów wracało mnóstwo pracowników na rowerach. W takich momentach czujność strażników była mniejsza i łatwiej można było przedostać się bez zwracania uwagi.

Jak już wspomniano, placówka Dębno najpierw nosiła kryptonim „Danuta”, a później „Dawid”. Początkowo jej słabą stroną było wyposażenie wojskowe. W 1944 roku partyzanci dysponowali jedynie 36 karabinami, 2 rkm-ami, 1 ckm-em, garścią rewolwerów, 80 granatami i kilkoma butelkami z płynem zapalającym.

Wiosną 1944 r. wpłynął rozkaz, aby wysłać ludzi po odbiór broni, którą zrzucono w okolicach Dołęgi. Z Sufczyzna wyjechało pięciu żołnierzy AK uzbrojonych na wszelki wypadek w rewolwery, pod dowództwem zastępcy komendanta obwodu. Partyzanci rozlokowani byli na dwóch wozach. Jednym jechał Franciszek Michałek z Sufczyzna, a drugim Józef Michałek „Atos” z Dębna. Ubezpieczenie akcji stanowili Jan Kawa, Henryk Rusin oraz Jan Żółty. Spotkanie z członkami obwodu Dąbrowa Tarnowska nastąpiło niedaleko dworu w Dołędze. Aby odebrać broń, niezbędną była wymiana hasel. Chłopaki z Sufczyzna mieli powiedzieć – *Chcemy kupić dwa metry żyta*. W odpowiedzi powinni usłyszeć – *My mamy tylko groch*. Wszystko poszło gładko i można było przystąpić do przeładunku. Do Sufczyzna przywieziono wtedy cztery pistolety maszynowe i 4000 sztuk amunicji, które zdeponowano u Jana Kawy, skąd wysyłano uzbrojenie do drużyn partyzanckich.

Łącznicy wybierani byli wśród najlepszych i najbardziej pewnych ludzi. Trzeba zauważyć, że odnotowano tylko jeden przypadek aresztowania przez gestapo gońców ruchu oporu, a mianowicie Antoniego Kowalskiego, Leszka Drozda i Zbigniewa Sikorskiego, którzy przynosili

pocztę konspiracyjną z Wojnicza do Sufczyzna. Partyzanci wpadli w Sufczynie w sierpniu 1944 roku, gdy zostali zatrzymani przez żandarmów stacjonujących w szkole. Antoni Kowalski, wiedząc, co ich czeka, szybko wyrzucił pocztę pod nogi, a później ją przydeptał. Na ich nieszczęście Niemcy zauważyli to. Zatrzymanych odesłano do obozu koncentracyjnego. Dzisiaj nie wiemy, czy żandarmi zdołali odnaleźć pocztę, którą Kowalski usiłował wdeptać w błoto¹. Całą sytuację bezsilnie obserwował z okien szkoły Albert Kryszczuk.

Każdy działający w interesie Ojczyzny członek organizacji niepodległościowych miał pełne ręce roboty. Spośród wielu podstawowych zadań komórek podziemia najbardziej lubiane było testowanie broni i amunicji, którą można było znaleźć w biadolińskim lesie. Partyzanci zabierali znajduwaną broń, przestrzelali ją i rozprowadzali wśród swoich. Często zdarzały się też wypadki do mleczarni, z których zabierano mleko i wylewano je na polach. Konfiskowano również sery i masło, aby tylko Niemcy nie zdołali wysłać żywności swoim żołnierzom na front².

Dowódcy placówek AK sprawowali najbardziej odpowiedzialną funkcję. Musieli każdego miesiąca odsyłać do obwodu raport, w którym zamieszczano informacje na temat liczby podległych żołnierzy i stanu posiadanej broni. Redagowali także meldunki z wywiadu wojskowego oraz relacje z każdego ważniejszego zdarzenia na terenie placówki. Oprócz tego prowadzili szkolenia wojskowe, organizowali kursy podoficerskie, rozprowadzali prasę podziemną, prowadzili wywiad, kontrwywiad oraz opiekowali się członkami AK, którzy zmuszeni byli się ukrywać. Usilnie poszukiwali broni wśród ludności cywilnej, a także próbowali odebrać ją Niemcom. Rozmawiali również z ludźmi, którzy mieli wiedzę o działaniach wojskowych, w celu rozpoznania, kogo można by zaangażować do pracy konspiracyjnej.

Przykładem takiego dowódcy, człowieka pełnego ofiarności i dyscyplinowania, był Jan Kawa „Kresowiak” z Sufczyzna, który stał na czele placówki Dębno. Wkładał on wiele wysiłku w przygotowanie swoich ludzi do zadań, jakie mogły na nich czekać w razie wybuchu powstania. W tych planach trzy plutony partyzantów miały opanować budynek starostwa (Kreismatu) w Tarnowie. Aby zapewnić akcji powodzenie, „Kresowiak”

¹ A. Kryszczuk, *Rys historyczny Ruchu Oporu na terenie powiatu brzeskiego w latach 1939-1945*. Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie, sygn. arch. 05 III nr 517.

² *Wspomnienia wojenne Heleny Gurgul*, w zbiorach autora.



Kościół w Dębnie. Wewnątrz świątyni lub przed nią przysięgę składali członkowie AK z Dębna i Sufczyzna (fot. ze zbiorów autora).

musiał opracować wszystkie szczegóły oraz plan walki. Do akcji tej jednak nie doszło z powodu odwołania jej przez Komendę Główną AK.

Wielu mieszkańców, nawet niezakonspirowanych, miało w swoich zabudowaniach dobrze ukrytą broń lub amunicję. Bardzo często chowano ją pod progami domów, tak jak robił to na przykład Jan Kawa „Kresowiak”, który dodatkowo konstruował butelki zapalające. Niektóre kryjówki mieściły się pod piecem, tak jak u Jana Rocznika „Sokoła”, który właśnie tam przechowywał cztery karabiny oraz dużą ilość amunicji. Z kolei Józef Dadej zakopał sztucery myśliwskie w Maszkienicach przy brzegu rzeki. Kryjówka okazała się słaba, ponieważ woda podmyła zakopaną broń i znalazły ją dzieci, które później oddały ją sołtysowi¹. Pozostałe skrytki mieściły się w tzw. fałszywych filarach bądź pod konstrukcją dachu oraz w wielu innych miejscach, o których być może nie wiemy do dzisiaj.

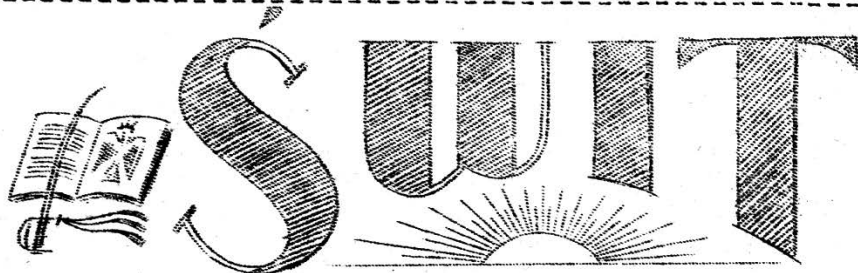
Konspiratorzy wkładali również wiele wysiłku w dystrybucję prasy podziemnej, która krzepiła ducha wśród młodzieży i starszych. Szczególne zasługi w tego typu działaniach możemy przypisać osobom, które kierowały propagandą. Warto wymienić kilka z nich. Od 1942 roku Teofil Batko „Orzeł” z Sufczyzna odbierał prasę z punktu w rejonie Dunajca, a później rozpowszechniał ją w powiecie. Gdy Teofil zginął w 1944 roku z rąk gestapo, jego miejsce zajął Józef Michałek „Atos” z Dębna. Forma przekazu informacji ewoluowała wraz z kolejnymi latami okupacji niemieckiej. Protoplastą gazetek były krótkie maszynopisy, na których zapisywano audycje radiowe zasłyszane w domach osób, które potajemnie przechowywały radioodbiorniki. W takiej formie, przepisywanego maszynopisu, rozchodziły się one w bardzo wąskim i zaufanym gronie. Dopiero w późniejszym czasie docierały dalej, przekazywane z rąk do rąk, oczywiście w ogromnej tajemnicy. Z biegiem czasu zwiększono nakład wydawanych gazetek, dzięki czemu poszerzono krąg osób, które mogły przeczytać pisma patriotyczne. Gazetki szczególnie chętnie czytane były przez żołnierzy AK. Niestety po zapoznaniu się z takim pismem często palono je w piecu bądź zakopywano w ziemi, dlatego do dzisiaj przetrwało bardzo niewiele egzemplarzy. Na następnej stronie okładka jednego z nich.

Na terenie gminy krążyło wiele gazet podziemnych, m.in. ukazujący się co kilka dni od 1940 do 1941 r. „Odwet”. Z kolei w latach 1943-1944 wydawano czasopismo „Ku wolności”. Gazeta „Świt”, redagowana w Czchowie, ukazywała się co 10 dni, aż do 15 stycznia 1945 r. Poza tym do naszej gminy docierała też prasa redagowana w Warszawie i Krakowie, taka jak: „Biuletyn

¹ *Wspomnienia wojenne Janiny Dadej*, w zbiorach autora.

Czekają nas jeszcze dni ciężkich prób i ofiar. W tym okresie zachować musimy : jedność, karność , wiarę w własne siły, wiarę w słuszność sprawy i wiarę w naszą świetlaną przyszłość . -

- Z deklaracji R.J.M. -



Nr. 19 /51/

30 czerwca 1944 r.

Rok V.

R o z k a z N r. 173

.S.Z. w Kr. - 5.VI.44 r.

W wyniku dojrzenia w szeregach N.S.Z. zrozumienia konieczności scalenia wszystkich wysiłków wojskowych w Kraju, został dnia 7 III.44 r. podpisany układ o podporządkowaniu i wcieleniu N.S.Z. do A.K. W międzyczasie jednak wewnętrzne tarcia w kierownictwie NSZ doprowadziły do tego, że dotychczas nie został dokonany żaden praktyczny krok w kierunku realizacji tego układu. Wskutek tego akcja wojskowa NSZ, mimo formalnego podporządkowania nie była i nie jest przez A.K. ani kierowana ani kontrolowana.

Nie mogę dłużej tolerować tego stanu szkodliwego dla całości wysiłku wojennego. Nie czekając na wykrystalizowanie się stosunków w kierownictwie NSZ zarządzam zaczęcie wcielania ich oddziałów do A.K. i w tym celu wyznaczam spośród oficerów NSZ p.o. komendanta, któremu polecam przeprowadzenie scalenia.

Wzywam oddziały NSZ do karnego podporządkowania się wyznaczonemu przeze mnie komendantowi.

Komendant Sił Zbr. w Kraju

/ - / Bór.

Informacyjny”, „Żołnierz Polski”, „Żywią i bronią” (organ ROCH-a), „Walka” (organ NOW), „Głos Ludu” (organ BCh), „Wolność”, „Jedność”, „Służba Kobiet”, „Insurekcja” oraz „Rzeczpospolita”.

Na naszym terenie ulokowano kilka punktów, w których znajdowały się skrzynki pocztowe oraz kryjówki dla członków konspiracji poszukiwanych przez gestapo. W takich właśnie punktach odbywały się zebrania konspiracyjne. Przechowywano w nich również różnego rodzaju dokumenty ważne dla ruchu oporu. Takim miejscem był dom Stanisława Jedynaka w Porąbce Uszewskiej, w którym znajdowała się skrzynka pocztowa oraz kryjówka dla ludzi „spalonych”, wśród których należy wymienić Józefa Wendę z Tarnowa, Edwarda Baję „Orlika” oraz strąconego lotnika, Włodzimierza Bernhardta „Stefa”¹.

¹ *Wspomnienia wojenne Antoniego Jedynaka*, w zbiorach autora.

C – Charlie

Andrzej Chodacki

Terkot, który wstrząsnął aksamitem nieboskłonu wywabił chłopców ze stodoły. Byli tak zaaferowani przedziwnymi odgłosami, że Antek Jedynak, jasnowłosy piętnastolatek, zapomniał ukryć zdobyczną raketnicę i trzymał teraz w ręku pistolet sygnałowy, wypatrując w górze źródła hałasu. Usiane gwiazdami niebo milczało jeszcze przez chwilę, ale już zaczęli wyławiać coś z ciszy rozlewającej się po wsi. Najpierw ledwie słyszalne buczenie, aż wreszcie od Rogala dostrzegli jaśniejszy punkt nieba, przed którym niósł się w nocnym powietrzu rosnący w siłę odgłos samolotowych silników.

Kolega Jedynaka, Antoni Toboła, starszy tęgi młodzieniec, trącił go w rękę i dopiero wtedy Antek schował raketnicę za paskiem spodni pod koszulą. Schował w porę, bo ze swych domów wyszli Mleczki i Bodziochy, zaalarmowani tajemniczymi odgłosami. Po chwili wszyscy zobaczyli to. Płonący samolot ledwie minął wzgórze i szedł teraz w ostrym skręcie w kierunku Łysej Góry. Warkocz iskier sypał się za nim i doprawdy niezwykle to było zjawisko, tak że nikt ani myślał stracić go z oczu. Już mieli go nad głowami, dosłownie, jakby chciał o wyższe drzewa zahaczyć, niezdrowy rumor pracujących silników wdarł się w spokój wsi i wzbudził dookoła wycie psów w okolicznych zagrodach. Iskry znaczyły drogę uszkodzonej maszyny, wkrótce przetoczyła się nad nimi i zniknęła za wzniesieniem Godowa.

– Antek, do domu! – krzyk z oddali wyrwał chłopców z odrętwienia.

– Widziałeś?! – oczy chłopaka płonęły od emocji – widziałeś?!

– Spadnie – skwitował jego starszy kolega.

– Chłopaki nie uwierzą! – Antek zacisnął powieki, jakby chciał przechować obraz płonącej maszyny pod powiekami jak jakiś wielki skarb.

– Jutro tam trzeba iść, może co znajdziemy? – Tobole przypomniała się raketnica Antka, na którą spoglądał z zazdrością, też by taką chciał mieć.

– Jak im powiem, nie uwierzą!

Proboszcz długo nie mógł dojść do siebie. Z kościoła wrócił późno, po kilku litaniach i godzinnym klęczeniu przed Chrystusem. Ledwie się z tych klęczek podniósł. Na plebanii kolacja nie smakowała mu, lecz żeby nie sprawić przykrości gosposi, wciśnął w siebie kilka kęsów, tłumacząc się niestrawnością.

– Może po doktora posłać?

– A Boże broń – odsunął dłonią niewidzialną sugestie kobiety – samo przejdzie, dziękuję.

Gosposia zwlekała z pójściem do domu, jeszcze trzy razy pukała do pokoju księdza i pytała, jak ten się czuje. Zmusił się w końcu do szerokiego uśmiechu.

– Już mi lepiej, naprawdę.

Kobieta dała za wygraną i kapłan mógł wreszcie pogрузić się w rozmyślaniach. Odprowadził wzrokiem jej kiwającą się na boki przysadzistą postać, dopóki nie wsią-
kła w mrok, po czym otworzył szeroko okno.

Noc już prawie – pomyślał – świat taki spokojny, a w ludzkich sercach takie straszne toczą się boje. Ta spowiedź. Dawno takiej nie przeżył. Jakże ten biedak nieszczęśliwy! Czy doznał ulgi w cierpieniu? Tylko Bóg wie. Straszny wojenny czas ciążył zewsząd jak dusząca mgła. Dotąd spowiadali się, że zabili kapusia albo Niemca, ale coś takiego? Boże, co to za okropny czas.

Kapłan zamknął twarz w dłoniach pachnących jeszcze kadzidłem, jakby na chwilę chciał odciąć się od złych myśli.

Tak nie można – tłumaczył sobie w myślach – Bóg ponad tym wszystkim, ponad wojną i śmiercią.

Postanowił zmówić różaniec. Sięgnął do stolika po modlitewny sznur i stanął przed oknem. W miarę przesuwania koralików różańca spokój powoli ogarniał sko-
łatane kapłańskie serce. Ale gdy kończył nabożeństwo, cień znów nasuwał się, więc zaczynał od nowa. Wreszcie ścierpły mu nogi, przysunął więc sobie krzesło i konty-
nuował modlitwę, oddychając rześkim, sierpniowym powietrzem.

Wieś uśpiona, spojrzał na zegarek, grubo po północy. Uświadomił sobie, że różaniec odmówił już kilka razy, a wcale nie był zmęczony. Z oddali doleciało szczekanie psa, a potem z góry zaklekotały kołatki, jak w Wielki Piątek. Jakieś buczenie wsączy-
ło się w powietrze, aż proboszcz obejrzał się, czy to nie gdzieś z wnętrza plebani. Ale nie! Wyraźnie słychać było ten niepokojący odgłos zawieszony w górze, jakby nadlatywał samolot. Nagle odgłos zmienił barwę na niższą, a ksiądz aż wychylił się z okna, bo to, co zobaczył, było zupełnie nierealne. W stronę Łysej Góry, jak kometa nad Betlejem, leciał płonący samolot, a za nim ciągnęła się wstęga ognia. Kapłan zacisnął rękę na różańcu, serce uderzyło mocniej w piersi.

– Boże przenajświętszy – wyszeptał, gdy snop iskier zgasł za ciemnym wybrzu-
szeniem wzgórze – Boże, nie porzucaj ich...

Zaczął znów przesuwac koraliki, od czasu do czasu ocierając łzy, które łaskotały go w policzki. Przeszło mu przez myśl, że gdyby był pokorny, Bóg może pochyliłby się nad jego błaganiami, i chociaż jednego z tych biedaków by ocalił. Wtem do jego uszu doleciał odległy, głuchy grzmot. Nie wytrzymał. Napięcie ciężkiego dnia nadszarpe-
nęło jego równowagę duchową, a teraz to niebywałe przeżycie przelało wreszcie szalę. Wybuchnął bezsilnym płaczem i powtarzał tylko, łykając łzy: – Boże, ulituj się nad nimi...

Szedł nocą. Tak kazał dowódca, a Zenek słuchał mądrych ludzi. Szedł więc nocą, a nad ranem, gdy szarości nadciągały od wschodu, rozglądał się za schronieniem.

Nie kradł. W górach tego nauczył go ojciec, że człowiek raz tylko może stracić swój honor i nigdy go już nie odzyska. Na polach sierpniowych dobrobyt. Jabłka, dynie, aronia, wszystkiego w bród, ale Zenek mijał sady i ogrody obojętnie. Gdy

nad ranem wypatrzył jakąś chatę, długo obserwował, czy nie kwaterują tam Niemcy. Potem otwarcie prosił gospodarza, by pozwolił mu się przespać w stodole. Zawsze też dla zmęczonego żołnierza znalazł się kawałek chleba i garnuszek mleka. Więcej Zenek nie potrzebował. Odplącał się opowieściami o wrześniowych walkach.

Tego dnia szesnastego sierpnia uciekinier z niemieckiego transportu śmierci znalazł schronienie w Porąbce Uszewskiej, skąd do domu zostało mu jakieś czterdzieści kilometrów. Tak przynajmniej obliczał w pamięci, więc jak nie będzie mocno lało, w pięć, sześć nocy dotrze w rodzinne strony. Gospodarz nazywał się Stanisław Mleczek, wysoki, żonę miał Hankę i pięcioro dzieci. Naprawdę przyjemni ludzie. Ostrzegli Zenka, żeby przed północą nosa nie wystawiał, bo żandarmi dostali spraczkę i kogoś po wsi szukają.

Zenek słuchał porządnych ludzi. Odczekał, aż się dobrze ściemni i około północy podziękował Mleczkowi za gościnę.

– Wiadomo, góra z górą...

– Ano, może kiedyś? Idź koło groty do góry, potem w dół na Łysą Górę, tam o drogę na Melsztyn zapytasz.

Tam też Polacy – pomyślał Zenek i mocno uściśnął dłoń gospodarza na pożegnanie.

– Z Bogiem!

– Z Bogiem!

Ruszył dalej, pokrzepiony wiarą w człowieka oraz przeświadczeniem, że jak Bóg dopomoże, to zdoła wrócić w rodzinne strony cały i zdrowy.

Trzymać się ścieżki i nie zdradzać się światłem latarki, takie mu postawiono zadania. Zenek był dobrym żołnierzem i wiedział, co to karność.

– Grotę* poznasz z daleka – przypominał sobie słowa Mleczi. – Potem do góry będziesz szedł, aż po lewej stronie zobaczysz kapliczkę. To już przed Kamionką.

Księżyc świecił mocno, więc oszczędzał baterię latarki. Czasem tylko oświetlił drogę, żeby nie zgubić właściwego kierunku. Wreszcie dotarł do Groty. Obszedł bramę z prawej strony, bo krata na schodach była zamknięta.

Wejdę, podziękuję Najświętszej Pani – pomyślał i skierował swe kroki ku sylwetce krzyża odciętej przez księżycowe światło na tle czerni nieba. Gdy klękał przed kratą zamykającą wejście do kaplicy, gdzieś z lewej wysoko dał się słyszeć odgłos pracy samolotowych silników i przetoczyła się po niebie seria z karabinu maszynowego. Wytrawny żołnierz reagował szybko. Podskoczył do muru i wbił wzrok w rozgwieżdżony na północnym zachodzie firmament. Stamtąd spodziewał się kłopotów. Szybko analizował sytuację. Skąd samoloty w tym rejonie? Mogą to być tylko niemieckie myśliwce, ale z kim walczą w powietrzu? Może coś się zmieniło w sytuacji na froncie, w końcu był już miesiąc poza swoim oddziałem AK.

Zobaczył go wreszcie. Odgłos pracy silników narastał, choć płonąca maszyna była jeszcze daleko. Pewnie pilot próbuje wyprowadzić samolot, który traci wysokość. Z tej odległości Zenek widział wyraźnie języki ognia migające za skrzydłami.

Rąbnie gdzieś niedaleko – pomyślał, śledząc ze zgrozą, jak maszyna obniża

* Grota Matki Bożej z Lourdes w Porąbce Uszewskiej.

lot i w chwili, gdy przeszła, krwawiąc płomieniami nad jego głową, wiedział już, że to wielki bombowiec. Dziś nie pójdzie na Łysą Górę. Tam będzie pełno Szwabów, zaraz obstawią cały teren. Mężczyzna odczekał jeszcze kilka minut. Skrzywił się, gdy dotarł do jego uszu daleki odgłos wybuchu.

– Biedne chłopaki – powiedział cicho i podszedł do krat kaplicy. Przeżegnał się i zaczął modlitwę za tych, którzy zginęli. Z takiej wysokości nie otworzy się spadochron, nawet, gdyby wyskoczyli z płonącej maszyny. Jego usta już szeptały słowa modlitwy, a w głowie układał mu się nowy plan. Trzeba będzie zostać u Mleczków jeszcze ze dwa dni. Kiełbasę mieli jutro robić, może poczęstują?

C-Charlie przechylony na lewe skrzydło sypał iskrami w drodze ku zagładzie. Wyrwany z dwudziestotonowego brzucha halifaksa lotnik runął w dół i zawisł na gałęziach wysokiego drzewa*. Przeżył skok tylko dlatego, że złamał regulamin Królewskich Sił Lotniczych. Ot – polska natura. Anglik w podobnej sytuacji nie miałby szans. Odczekałby przepisowe trzy sekundy i roztrzaskałby się o ziemię, bo spadochron nie mógł się otworzyć na tak niskim pułapie. Polak przeżył. I dożył 98 lat.

* Włodzimierz Bernhardt urodził się 30 sierpnia 1915 r. w Warszawie. W chwili zestrzelenia lotnik w stopniu podporucznika wracał z lotu bojowego przeprowadzonego na pomoc walczącym w Powstaniu Warszawskim przez polską załogę angielskiego bombowca Halifax. Uratowany przez partyzantów AK został ukryty i zdołał wydostać się z okupowanej Polski do Anglii. Po wojnie awansowany na stopień majora dożył 98 lat. Zmarł 29 września 2013 r.

Gdy nie było konieczności ukrywania ludzi, przechowywano w tych miejscach różnego rodzaju towary. W domu Jedynaków komenda obwodu zdeponowała 30 kręgów sera i kilkadziesiąt par zdobytych niemieckich butów wojskowych. Towary te zabrano latem 1944 roku i oddano oddziałowi partyzanckiemu „Błyskawicy”. Kolejnym takim punktem był dom sekretarza gminy Dębno, Juliana Grochala, który mieścił się w Dębnie, w ówczesnym budynku pocztowym przy szosie Kraków–Tarnów. Ulokowano tam kancelarię komendy obwodu, w której odbywały się zebrania i narady członków ruchu oporu oraz odprawy dowódców placówek. Z kolei w domu dróżnika Tadeusza Żółtego, znajdującym się również przy szosie, utworzono kolejny z punktów sztabu. Oprócz miejsca spotkań była to także kryjówka dla Józefa Rogoża z Borzęcina. Ten punkt był dodatkowo chroniony przez dzieci Tadeusza: Basię i Kazia, które, bawiąc się na podwórku, obserwowały bacznie otoczenie. Kiedy dostrzegły podjeżdżający samochód z umundurowanymi Niemcami, natychmiast biegnęły do domu, informując wszystkich o przybyłych „gościach”. W Maszkienicach, u Stanisława Dadeja „Sulmy”, odbywały się zebrania i narady konspiracyjne. Rozchodziła się stamtąd także prasa redagowana przez „Rocha”.

Z całą pewnością można stwierdzić, że wszelkiego rodzaju praca konspiracyjna nie miałaby sensu i takiego rozmachu, gdyby nie zwykli ludzie, którzy mimo tego, że nie zostali zaprzysiężeni przez żadną organizację niepodległościową, z całego serca pragnęli obudzić się znowu w wolnej Polsce. To właśnie w większości ci ludzie wspierali ruch oporu, trzymając w najgłębszej tajemnicy posiadane informacje. Bardzo często użyczali miejsca w swoich domach, by ukryć ludzi ściganych przez gestapo. Udzielali także partyzantom pomocy materialnej. Mimo że sami często przymierali głodem, zawsze znaleźli coś, co mogli oddać na potrzeby walczących o wolność Polski. Do takich ludzi należeli Jadwiga i Julian Kolarzowscy, którzy w swoim domu dawali schronienie potrzebującym oraz dostarczali żywność plutonom partyzanckim. Z kolei rządcą dworu w Dębnie, Tomasik, zatrudniał zdekonspirowanych członków AK oraz sprzedawał żywność po zaniżonych cenach, a w 1944 roku przekazał AK 30 litrów oleju rzepakowego. Ksiądz Rogoż, prałat z Porąbki Uszewskiej, wspomagał chlebem pluton „Błyskawicy”. Wacław Rudnicki, właściciel młyna w Sufczynie, bardzo aktywnie pomagał członkom ruchu oporu. Wielu ludzi przed śmiercią uratował również Józef Węgrzyn, który w swoim domu w Sufczynie dawał schronienie „spalonym”. To tylko kilka z licznych przykładów bohaterskich postaw zwykłych ludzi, bez pomocy których podziemie nie osiągnęłoby tylu sukcesów.



Dom dróżnika Tadeusza Żółtego, w którym znajdował się jeden z punktów sztabu, stan obecny (fot. ze zbiorów autora)



Dom dróżnika Tadeusza Żółtego, Anna Żółta, matka „Asa” (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Jan Żółty „As” i rower, który wypożyczył na akcje „Ola”

Kiedy Niemcy wprowadzili w Generalnym Gubernatorstwie obowiązek posiadania kenkart, czyli dokumentów pełniących funkcję dowodów tożsamości, wzrosło niebezpieczeństwo prowadzenia działań konspiracyjnych. Dokumenty Polaków miały kolor zielony, a Żydów były żółte i dodatkowo znajdowała się na nich litera „J”. Na kenkartach, oprócz zdjęcia i danych personalnych, znajdowały się też informacje o wykonywanym zawodzie czy wyznaniu oraz odciski palców obu rąk. Ale i taki problem udało się obejść dzięki temu, że w urzędach dokumenty wyrabiali głównie Polacy, którzy mieli duże pole do popisu w robieniu fałszywek na potrzeby konspiracyjne. Dzięki temu członkowie podziemia mogli działać pod fałszywymi nazwiskami. W gminie Dębno także wyrabiano fałszywe dokumenty, a zajmowali się tym m.in. Julian Grochal „Kamień”, Stanisław Jedynak „Ola”, Stanisław Kubala „Młot”. Pomocą służył również wójt Andrzej Kubala oraz ówczesny proboszcz parafii Dębno, Wincenty Prokopek. Po analizie źródeł można oszacować, że na terenie naszej gminy wydano 40 fałszywych kenkart.

Warto również poświęcić kilka słów zagadnieniu edukacji w czasie II wojny światowej w gminie Dębno. Wielu rozumiało, że zaniechanie edukacji może prowadzić do utraty ducha polskości wśród młodzieży. Zaczęto więc prowadzić lekcje w domach, krzewiono wśród młodzieży szeroko pojęty patriotyzm. Śmiało można stwierdzić, że nauczyciele odegrali ogromną rolę w działaniach ruchu oporu. Z narażeniem życia prowadzili podjętą przez siebie misję. Zasady okupanta były bardzo proste: podejmiesz nielegalne nauczanie – liczyć się z więzieniem i obozem koncentracyjnym. Surowe kary zmuszały do działań w ścisłej konspiracji. Proces edukacyjny napotykał więc wiele przeszkód. Uczono zazwyczaj bez podręczników czy innych pomocy naukowych, zimą często w nieogrzewanych pomieszczeniach, nocami jedynie przy słabym świetle lamp naftowych. Nie ograniczano się do nauczania przedmiotów zakazanych przez Niemców. Podjęto także działania przygotowujące młode pokolenie do nowych zadań, jakie czekały ich zarówno w życiu pod okupacją, jak i w wolnej ojczyźnie, bo przecież wszyscy mieli nadzieję, że taki moment w końcu nadejdzie. W naszej gminie ogromne zasługi w tej dziedzinie mieli Albert Kryszczuk „Skała”, Franciszek Mleczek „Ruta” z Łysej Góry, Jerzy Pastuszyn, Ferdynand Gągola, Józef Wańdyga, Jan Żurek „Stal” z Porąbki Uszewskiej, Jan Smoleń z Łysej Góry oraz inż. Nowacki. Tajne nauczanie prowadzone było w zakresie szkoły podstawowej oraz średniej. Kilku uczniów przystąpiło nawet do konspiracyjnej matury.

Ta codzienna, edukacyjna praca była prowadzona zawsze pod groźbą dekonspiracji, która wiązała się z ryzykiem kary śmierci lub posłania do obozu koncentracyjnego. Mimo zagrożenia ze strony okupanta tak strasznymi karami nie brakowało w naszej gminie chętnych do nauczania dzieci i młodzieży.

ROZDZIAŁ III

MOŻNA ZAJĄĆ ICH KRAJ, ALE NIE DA SIĘ ZŁAMAĆ OPORU POLAKÓW

Wstąpienie w szeregi konspiracji było deklaracją walki z okupantem. Różne mogły być formy tej walki: tajne nauczanie, roznoszenie gazetek, pomoc ukrywającym się czy też dostarczanie żywności partyzantom. Wszystkie te działania były jednakże tylko wstępem do przyszłej walki zbrojnej. Planowane powstanie miało być ukoronowaniem przygotowań prowadzonych w czasie okupacji.

Działalność AK to nie była zabawa z Niemcami w chowanego, tylko twarda, bezwzględna gra, której stawką często było ludzkie życie. Na siłę odpowiadano siłą, na krew – krwią. W placówce „Dawid” po okresie organizacyjnym rozpoczęto odważniejszą walkę z okupantem. Za przeciwników partyzanci mieli jednostki frontowe, żandarmów oraz granatową policję. W okresie okupacji nasza gmina dwukrotnie była zajęta przez jednostki Wehrmachtu. Pierwszy raz, w okresie od III do VII 1941 roku, w czasie przygotowań i w pierwszej fazie działań zbrojnych przeciwko Rosji. Po raz drugi, od X 1944 roku do I 1945 roku, gdy front wschodni ustabilizował się na linii Dunajca i Sanu, czyniąc z naszych terenów zaplecze dla walczących. W tym czasie w Dębnie, Sufczyźnie, Maszkienicach, Jastwi, Woli Dębińskiej Niemcy stacjonowali dosłownie „w każdym domu”.

Na co dzień przeciwnikami AK byli brzescy żandarmi, którzy przemierzali się patrolami liczącymi od pięciu do ośmiu osób. Mogli oni w każdej chwili liczyć na wsparcie oddziałów gestapo z Brzeska czy Tarnowa. Wszyscy działający na terenie naszej gminy żandarmi byli okrutnymi, fanatycznymi zwyrodnialcami, można powiedzieć kwintesencją nazizmu obleczonej w ludzką skórę, ale z człowiekiem mającą niewiele wspólnego.

Postacie Artura Schielberga z Bydgoszczy, Roberta Johna z Radomia, Otto Lapscha i Willego Stoscha ze Śląska kojarzą się z terrorem, morderstwami i prześladowaniem Polaków. Wszyscy oni byli volksdeutscheami i świetnie mówili po polsku, co bezwzględnie wykorzystywali w swojej bandyckiej działalności przeciwko narodowi polskiemu.

Wstęp do walki zbrojnej przypadł na lata 1940-1943. Partyzanci ograniczali się do przestrzeliwania broni, magazynowania jej oraz do akcji wysypywania specjalnych gwoździ na drodze między Dębniem a Sufczyńnem, którą to akcję zorganizował Jan Kawa „Kresowiak”. Mimo że dwie niemieckie ciężarówki musiały zmieniać koła, akcji nie powtórzono z obawy przed represjami wobec ludności cywilnej. Ponadto partyzanci dokonywali aktów dywersji na linii kolejowej na trasie Tarnów–Kraków, niszcząc linie telefoniczne czy też uszkodzając wagony towarowe. Na rozkaz Komendy Głównej AK podjęto próbę zorganizowania dywersji w niemieckich fabrykach zbrojeniowych. Do akcji zgłosił się na ochotnika Michał Roczniak, który dobrowolnie pojechał na roboty do Niemiec. Tam sabotował pracę w fabryce zbrojeniowej produkującej amunicję, za co został wywieziony do obozu w Mauthausen. Wojnę przeżył.

Sytuacja zmieniła się w marcu 1943 roku, kiedy to rozkazem ppłk. Stefana Musiała – Łowickiego „Dobrogasta”, komendanta obwodu Tarnów, kryptonim „Tama”, powołano w powiecie brzeskim plutony dywersyjne oraz zorganizowano dla nich szkolenie sabotażowo-dywersyjne. Jak już wspomniano, dowódcą dywersji obwodu „Buty” został Adam Bartosz „Kmicic”, a dowództwo oddziału dywersji placówki „Dawid” powierzono Teofilowi Hebdzie „Błyskawicy” z Porąbki Uszewskiej. W skład tego oddziału wchodził: Stanisław Michałek „Dzwon”, Józef Michałek „Atos”, Kazimierz Rusin „Brzytwa” – wszyscy z Sufczyzna, Józef Rogóż „Pałasz” z Borzęcina (ukrywał się w domu Żółtych w Dębnie), Jan Roczniak „Sokół” z Dębna, Klemens Góral „Piorun” z Porąbki Uszewskiej oraz Jan Bodura „Zamek” z Dołów. Wszyscy byli doświadczonymi, doskonale przeszkolonymi, zdecydowanymi żołnierzami, frontowcami, którzy walczyli z Niemcami podczas kampanii wrześniowej.

Pluton miał stanowić siły szybkiego reagowania. Jego zadanie polegało na zbrojnej ochronie ludności gminy i powiatu. Dywersją, sabotażem, otwartą walką z Niemcami uzmysławiali narodowi, że państwo polskie wciąż istnieje. Pluton wykonywał również zadania policyjne, polegające na utrzymywaniu dyscypliny wśród mieszkańców, karaniu zdrajców i kolaborantów, z wykonywaniem wyroków śmierci włącznie.



Klemens Góral „Piorun”



Jan Rocznik „Sokół”



Teofil Hebda „Błyskawica”



Zdzisław Straszyski „Meteor”



Stanisław Michałek „Młot”



„Meteor”, „Błyskawica”



„Turek”, „Meteor”



Jan Bodura „Zamek”

Według źródeł historycznych, pierwszym oddziałem dywersyjnym obwo-
du był pluton NOW, działający w lasach radłowskich pod dowództwem
Józefa Wojdaka „Swobody”. Jest to informacja nieścisła. Oddział „Swobody”,
jak już wspomniano, został utworzony z ludzi „spalonych”, ukrywających
się w lesie przed aresztowaniem. Oni to jako jednostka NOW dokonali dwóch
akcji dywersyjnych w latach 1942-43. Tyle że uczynili to przed scaleniem, nie
byli więc jeszcze wtedy plutonem dywersyjnym AK obwo-
du „Buty”.

Pierwsza akcja, przeprowadzona w lecie 1943 roku, była skierowana
przeciwko volksdeutschom z Dębna i Sufczyzna. Wybito im szyby w oknach
i ukarano chłostą. Działania te objęły pięć osób, których personaliów nie
sposób dziś ustalić.

Kolejne działania miały zgoła odmienny charakter. Po raz pierwszy
uderzono na mleczarnię w Dołach, rekwirując masło i sery, które rozpro-
wadzono wśród partyzantów i potrzebujących. Mleko wylano. Akcję przepro-
wadzono tuż przed wysyłką żywności do Niemiec. To był początek walki.

Niestety druga połowa 1943 roku przyniosła pierwsze straty. 21 VII
1943 roku patrol żandarmów pod dowództwem Artura Schielberga dokonał
morderstwa Antoniego Derłagi „Junaka” z Dębna. Powód zabójstwa był ku-
riozalny. Patrol Niemców, wracając z Niedźwiedzy, zatrzymał się w karczmie
Andrzeja Roczniaka. Najprawdopodobniej wtedy pomocnik właściciela,
młody chłopiec z Perły, Henryk Koza, pociął Niemcom opony w rowerach.
Gdy odurzeni alkoholem żandarmi chcieli go zabić, właściciel wskazał
kierunek, w którym rzekomo miał udać się człowiek widziany w pobliżu
szynku. Był to oczywiście wybieg, lecz Niemcy ruszyli w tamtym kierunku
i poszukiwali sprawcy na drodze do Jastwi. Podeszli pod dom Derlagów,
gdzie Antoni Derłaga ukrywał się przed wywózką na przymusowe roboty
do Niemiec. Gdy mężczyzna zobaczył Niemców, nie wytrzymał nerwowo,
sądząc, że to po niego przyszli. Wyskoczył z okna i zaczął uciekać. Decyzja
ta okazała się tragiczna w skutkach, bo żandarmi puścili się w pogoń za Der-
lagą, a gdy go dopędzili, zaczęli go bić, po czym ciężko pobitego zastrzelili.
Schielberg zakazał proboszczowi pochować go w trumnie i rozkazał ogłosić
z ambony, że zabito polskiego bandytę. Ten akt bestialstwa wywołał odzew
AK. Lista „zasług” Artura Schielberga w powiecie i gminie zdecydowała
o wydaniu rozkazu likwidacji żandarma. Nie ma wątpliwości, że rozkaz
komendy obwo-
du miał wykonać pluton dywersji „Błyskawicy”. Niestety
nie znamy składu oddziału likwidacyjnego ani szczegółów tej nie do końca
udanej akcji. 19 X 1943 roku na drodze w okolicach Czchowa Schielberg
został postrzelony. Dosięgły go aż trzy kule, ale żadna nie okazała się

śmiertelna. Został szybko odtransportowany do Czchowa, a stamtąd do Tarnowa. Operacja uratowała mu życie, ale był niezdolny do dalszej służby wojskowej i odesłano go do Niemiec. Nie wiadomo, dlaczego akcja się nie udała. Najprawdopodobniej polskich partyzantów zaskoczył jakiś inny patrol niemiecki lub kolumna wojskowa, dysponująca samochodem, która bardzo szybko przewiozła rannego Schielberga do szpitala.



Oddział „Meteor” w czasie „Burzy”



Stanisław Stach „Turek” (fot. Biblioteka w Porąbce Uszewskiej)



„Turek”

Samotny chłopiec

Andrzej Chodacki

Niektóre Anioły mają naprawdę niełatwe zadanie. A Anioł małego Heńka Kozy miał ze swym podopiecznym kłopoty od samego początku. Ledwie dzieciak podrósł, a już „zaległy mu się w tyłku robaki”, tak że Promienisty musiał ciągle osłaniać go od urazów, odciągać od gorących przedmiotów, wybijać mu z głowy chowanie się w sieczkarni i tym podobne fanaberie. Anioł wykonywał te czynności z miłością i uśmiechem, bo przecież takie właśnie było jego zadanie i za takie zadanie dziękował codziennie Bogu. Bezsprzecznie chłopak był jednak wyjątkowy. Gdy Promienisty prowadził go w niedzielę do kościoła, już dzieciak dostrzegł czyjs rower lub, co gorsza motocykl i dalej kręcić gałkami, pociągać dźwignie, naciskać guziki, dopóki właściciel nie przegonił go na cztery wiatry. Wszędzie chłopaka było pełno. We wnętrzu świątyni także trudno było zapanować nad temperamentem Henia. Święty Andrzej, patron kościoła w Porąbce Uszewskiej, patrzył pobłaźliwie z witraża i kiwał ze zrozumieniem głową.

– Ano, nie masz ty łatwo, mój święty przyjacielu – mawiał czasem do Promienistego – ale musisz go zrozumieć, jest bardzo samotny i tylko ty mu pozostałeś.

Antek Derłaga nie poszedł do spowiedzi. Uduślił faszystę gołymi rękami, to fakt i nikt temu nie zaprzeczał. Ale w tym faszyście też kolebała się zalękniona dusza. Nie był to demon obleczony skórą, jak tysiące niemieckich najeźdźców. Zgrzeszył więc Antek ciężko, bo zabił. Choć dla ratunku swego, choć z lęku wielkiego, jednak zabił człowieka. A do spowiedzi nie poszedł. Gdybyż on księdza jakiegoś o tę spowiedź poprosił. Przecież w stodole Jana Kluski ukrywał się naprawdę długi czas. Jego koledzy z Armii Krajowej bez trudu mogli wikarego z Dębna w nocy podwieźć, by wypowiadał nieszczęśnika. Ale Antek o tym nie pomyślał. Właściwie w ogóle nie miał żadnego pomysłu na przyszłość. Od kiedy uciekł z niemieckiego transportu, przemieszczał się pomiędzy swoim domem a stodołą Kluski, ciągle jak goniony zwierz, z oczami dookoła głowy. Do lasu pójść? Owszem, lipiec, pora dobra, ale co potem, jak jesień i zima nadejdą? Koledzy z oddziału wspominali coś o przeniesieniu, nowych papierach, jednak rozkazu wciąż nie było, a Antek stawał się coraz bardziej nerwowy. Trudno się dziwić. Z grzechem strasznym przyklejonym do duszy, bez spowiedzi był dla demonów niczym świecąca w ciemnościach pochodnia. Przed ludźmi mógł się kryć do końca wojny, ale tego dnia, dwudziestego pierwszego lipca czterdziestego trzeciego roku do sklepu Roczniaka nie przyjechali ludzie. Dziesięciu odmieńców, co przed wiekami wypowiedzieli służbę Bogu. Dziesięciu bezwzględnych zabójców tropiących zranione grzechem, broczące sumienia. Dziesięciu spragnionych ludzkiej krwi.

Miejsce, które ludzie wybrali do życia dla małego chłopca, szczególnie nie podobało się Promienistemu. Nie miał jednak wpływu na ludzkie decyzje, naznaczone piętnem wolnej woli.

Och, gdyby ludzie słuchali głosu Boga w swoich sercach – myślał czasem Anioł, patrząc na alkoholików, którzy staniali się na nogach, wychodząc z roczniakowej izby sklepowej.

Zrozumiałe jest więc i nikogo nie dziwi fakt, że to samo miejsce wybrały na swoje leże demony, które przybyły do Porąbki Uszewskiej wraz z niemieckim wojskiem. Było ich dziesięciu. Najgorszym wśród nich rzeźnikiem ludzkich dusz był Aerazel*, który zaraz po wojnie opanował ciało i duszę człowieka nieszczęśliwego zwanego niegdyś Artur Schielberg. On i jego przekłęci towarzysze ubrani byli w niemieckie mundury i z wierzchu wyglądali na ludzi, choć z ludźmi nie mieli wiele wspólnego. Owszem, postugiwali się ludzką mową, ludzkimi rękami i nogami. Uwielbiali też alkohol i w tym względzie chyba najsilniej przypominali ludzi. A po wypiciu większej ilości mocnego trunku byli już nie do odróżnienia od tych, którzy codziennie kompletnie pijani opuszczali nocą knajpę.

Tak więc demony czuły się tu jak w domu. Miejsce przekłete, skażone wielopokoleniowym nieszczęściem rozbitych przez alkohol rodzin. Tylko trzy promieniste istoty psuły im ciągle makabrycznie dobry humor. Szczególnie zaś nienawidzili świetlistego stróża tego Kozy. Dawno ukręciliby chłopcu jego ruchliwy czerep, gdyby nie jego opiekun, który zjawiał się nie wiadomo skąd i psuł całą zabawę. Niestety. Nawet w dziesięciu mieli kłopoty, by przemóc jasność tego Anioła. Zadanie dostał trudne, więc i łaski od Boga więcej. Czekali spokojnie na okazję i pewnego lipcowego popołudnia doczekali się wreszcie. Promienisty śpiewał właśnie pieśń chwały z najznakomitszymi psalmistami wśród Cherubinów, gdy zauważył nieobecność małego Henia. Rzucił się na poszukiwania i w ostatniej chwili dostrzegł kłapiące nad chłopcem zapijaczone mordy bestii. Natychmiast wrócił do stojącego w piwniczce Andrzeja Rocznika, poszarpał go za poły fartucha, a ten, niechętnie odrywając się od procesu destylacji, niby przynaglany nieświadomioną potrzebą, wyszedł na podwórko sklepu. Tam z przerażeniem zauważył, że pijani Niemcy mierzą z karabinów do stojącego pod ścianą chłopca.

– Halt! – krzyknął i stanął na linii ognia. Aerazel spojrzął na niego przez przyrządy celownicze.

A może od razu i tego sprzątnąć? Nie, jest przydatny, podaje nam wódkę – zrodziło się w paskudnym łbie demona.

– Odsuń się, Rocznik – wycharczał do gospodarza – ten pętał zniszczył nam rowery.

– To nie on! – krzyknął Rocznik, a po sekundzie zaczął się zastanawiać, skąd mu to przyszło do głowy, przecież teraz padnie pytanie „To kto?”. Anioł stojący za jego plecami zadbał jednak o wszystko.

– To kto?!

– Heniek był cały czas ze mną – tłumaczył gospodarz, podczas gdy bestie z niesmakiem dostrzegły gromadkę ludzi gapiących się na nich od drogi. Obrzuciły Anioła nienawistnym spojrzeniem. Znów się gówniarzowi upieczę.

* Aerazel – z hebrajskiego „ten, który się oddalił”, upadły anioł występujący zarówno w mitologii hebrajskiej, jak i muzułmańskiej.

– Widziałem człowieka – szybko dorzucił Rocznik, zadowolony ze swej przemyślności. – Tam pobiegł, jego szukajcie.

Ślepie kreatur powędrowały za palcem Rocznika, który odruchowo wskazał drogę na Jastew. Złorzeczając, ruszyli w tamtym kierunku. Ktoś musi dziś umrzeć. Zmasakrować, okaleczyć, upodlić i w końcu zabić. Nakarmić się lękiem i ludzkim cierpieniem. Tylko to prowadziło ich teraz w kierunku chaty Derlagów. Z wściekłą satysfakcją dostrzegli przy płocie mężczyznę. Paskudne oblicza rozciągnęły się nieważnością. Dzień kończy się wspaniale. Była wódka, teraz będzie zabijanie.

W małym pokoiku drewnianej plebani dębińskiego kościoła płakał młody ksiądz. Gospodyni zatroskana poszła po proboszcza, a ten pospieszył, by zbadać sprawę. Gdy wszedł do pokoju, wikary leżał krzyżem. Co chwila spazm żalu wstrząsał jego ciałem.

– Co się stało? – proboszcz aż przystanął w progu z przejęciem.

Młody ksiądz powoli podniósł się i obtarł zapłakaną twarz.

– Niemcy zabili Antka Derlagę – wyszeptał łamiącym się głosem.

– Boże ukochany – proboszcz załamał ręce, po czym usiadł ciężko obok młodzieńca. Ten znów zaczął płakać, więc ścisnął go po ojcowsku.

– Codziennie ktoś ginie – pocieszał go smutno. – Nie mogłeś go uratować.

– A mnie serce mówi – wybrzmiało przez łzy – że mogłem...

Nie ma pewności, czy ta akcja wpłynęła na dalsze tragiczne wydarzenia w naszej gminie, ale można się pokusić o próbę powiązania z nią okoliczności późniejszych.

Jeszcze w tym samym roku, 25 XII zginął zamordowany w domu rodzinnym Jan Rocznik „Sokół”. Akcja Niemców u Rocznika wyglądała na zaplanowaną, gdyż doskonale wiedzieli, po kogo przyszli, a czas świąteczny pozwalał im przypuszczać, że poszukiwanego zastaną w domu. Żandarmi urządzający zasadzkę na „Sokoła” ciężko go pobili, a potem zastrzelili w polu. Nie dokonali szczegółowej rewizji i nie znaleźli broni ukrytej w piecu. Siostra Jana, która uciekła przez okno podczas „prześluchania” brata, także nie była ścigana. Wszystko wskazuje na to, że celem Niemców było zabicie Jana Rocznika. Połączenie tych wydarzeń z zamachem na Schielberga jest, z braku dowodów źródłowych, tylko bardzo prawdopodobną hipotezą. Niemiecki żandarm, polski volksdeutsch, mógł w czasie zamachu kogoś rozpoznać, usłyszeć jakieś nieopatrnie powiedziane słowo, na przykład udając zmarłego. Służył na terenie naszej gminy już trzeci rok, znał ludzi i z pewnością miał swoich informatorów. Oczywiście taka interpretacja pozostanie tylko hipotezą do czasu odkrycia nowych materiałów źródłowych.

Również w 1943 roku, najprawdopodobniej późną jesienią (niestety źródła są w tym punkcie rozbieżne), w Borzęcinie zginął Stanisław Rogóż „Pałasz”. Wydaje się to początkiem zakrojonej na większą skalę akcji przeciwko podziemiu w naszej gminie. Niemcy przeszukiwali konkretne domy, w których mieszkali lub z których pochodzili partyzanci. Podobna sytuacja dotyczyła domu Henryka Rusina „Strzały”. Gestapo niespodziewanie w nocy otoczyło dom. Niemcy mieli ze sobą jego zdjęcie z kenkarty i wyrzuciwszy domowników, rozpoczęli rewizję. Gestapowcy sprawdzili wszystkie łóżka, szafy i ubrania. Przeszukali cały dom, stodołę oraz strych. Tam w sianie leżał ukryty Henryk Rusin. Niemiec bagnetem przebijał warstwy siana. Jak wspomina „Strzała”, w pewnym momencie bagnet znalazł się kilka milimetrów od jego ramienia. Na szczęście nie został odkryty i wyszedł z tego bez szwanku¹. Jednak fakt, że okupanci mieli zdjęcie „Strzały”, świadczy ewidentnie o tym, że prowadzili śledztwo przeciw polskiemu podziemiu i byli na tropie partyzantów.

W zimie na przełomie lat 1943/1944 pluton dywersyjny dokonywał likwidacji bimbrowni oraz strzygł kobiety, które „zadawały się” z okupantem.

¹ H. Rusin, *Niezapomniany dzień konspiracji – wizyta gestapo*, Bytom 21.12.1969. Relacja w zbiorach autora.



Oddział „Meteora” (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)



Siedzą od lewej- Zdzisław Straszynski,
Włodzimierz Bernhardt, Teofil Hebda (fot.
gminna biblioteka publiczna w Porąbce
Uszewskiej)



Partyzant z oddziału „Meteora”

W styczniu, na skutek fali aresztowań w Bielczy i Borzecinie, AK wydało kolejny rozkaz likwidacji. Okazało się bowiem, że aresztowania to wynik donosicielskiej działalności akuszerki z Borzęcina, niejkiej Kobyłeckiej. Do wykonania wyroku przystąpili Teofil Hebda „Błyskawica”, Stanisław Michałek „Dzwon” oraz prawdopodobnie Klemens Góral „Piorun” i Kazimierz Rusin „Brzytwa”. 15 II 1944 roku na ganek konfidentki w Borzecinie wszedł z odbezpieczonym pistoletem „Dzwon”. Partyzanci nie wiedzieli jednak, że w środku zatrzymali się na noc Niemcy, z żandarmem Stoschem na czele. W chwili, gdy „Dzwon” chciał wejść do domu, rzucił się na niego pies. Stanisław Michałek, nie namyślając się długo, zastrzelił zwierzę, ale wtedy z wnętrza mieszkania padły strzały. Partyzanci ostrzeliwali się kilka minut. Niestety, w wyniku strzelaniny „Dzwon” zginął, a „Błyskawica” został ranny w rękę. Oddział partyzancki musiał się wycofać. Nadal niewyjaśniona pozostaje kwestia, skąd Niemcy znali personalia Stanisława Michałka, o czym świadczy fakt, że na miejsce zbrodni sprowadzili jego siostrę Helenę „Alę”, która miała rozpoznać zwłoki. Podczas „wizji lokalnej” dziewczyna twierdziła oczywiście, że nie zna zamordowanego. Niemcy nie dali jej jednak wiary. „Ala” została aresztowana, przewieziona do tarnowskiego więzienia i tam w brutalny sposób przesłuchiwana. Mimo bicia „bykowcami” Niemcy niczego się od Heleny Michałek nie dowiedzieli. Dziewczyna wytrzymała tortury. Jej brata zakopano w rowie bez pogrzebu.



Wiosna 1944 r. Kadra placówki AK w Czchowie. Od lewej: Stanisław Skrzelowski, Marian Gutowski, Tadeusz Ratajczak, Tadeusz Skwarło, Tadeusz Grzymek, Michał Kotas, Marian Kostecki, Eugeniusz Biłyk, Mikołaj Biłyk, Stefan Sady.

Michałek

Andrzej Chodacki

Trzask wystrzału poderwał na nogi cały posterunek. Martin, pełniący wartę tej nocy, wpadł do izby sypialnej.

– Bandyci!!! – krzyknął do przebudzonych nagle kolegów, którzy już gorączkowo wciągali spodnie.

Drzwi drugiej izby rozwarły się z hukiem, gdy forsował je Paul Stosh w drodze do szafy z karabinami. Był wściekły, a kiedy był wściekły, milczał złowieszczo, i tego milczenia zawsze bali się jego koledzy z posterunku. Za żandarmem wyrzała jakaś nie całkiem ubrana wiejska dziewczucha, ale widząc całe to zamieszanie, szybko cofnęła się do wnętrza.

Niemcy byli dobrze wyszkoleni i zorganizowani. Już po niecałej minucie ubrani i uzbrojeni w karabiny wypadali na zewnątrz przed budynek. Zaraz też od drogi zostali przywitani salwą, po której aż schowali głowy w ramiona. Trzech żandarmów natychmiast padło za ośnieżoną stertę drewna, Stosh stał dalej na swoim miejscu, oceniając sytuację. Widoczność tej nocy była nadzwyczaj dobra, jasny księżyc rozsiewał po polach zimną, srebrzystą poświatę. I w tym ostrym, mroźnym powietrzu żandarm wypatrywał przeciwnika. W pewnym momencie zogniskował wzrok na ciemnej sylwetce podnoszącej się z rowu kilkadziesiąt metrów od budynku posterunku. Spokojnie podniósł do policzka mauzera model 98 i wyrównał oddech. Potem płynnie i lekko nacisnął spust. Karabin szarpnął niecierpliwie i przeskakująca przez drogę postać padła, ścięta śmiertelnym podmuchem. Znów kanonada z tamtego punktu prześlizgnęła się z rykoszetami nad stertą drewna, zza której żandarmi odpowiedzieli natychmiast ogniem z trzech luf. Stosh przeładował i złożył się do kolejnego strzału, ale gdy dostrzegł ruchome sylwetki niknące z pola widzenia na tle ciemnej zastony lasu, opuścił broń. Potyczka skończona.

Żandarmi podnieśli się na nogi i otrzepywali mundury z śniegu. Stosh ruszył w tamtym kierunku a reszta podążyła ostrożnie za nim. Zmrożony śnieg chrzęścił pod ich okutymi żelazem butami. Włączyli lampki, by lepiej oświetlić sobie drogę, i zaraz natrafili na zwłoki ogromnego psa. Bez słów domyślili się, że zginął od kuli partyzanta i to ten pierwszy wystrzał dał im szansę na szybką reakcję. Trzydzieści kroków dalej na drodze leżał człowiek. Żył jeszcze, trzymał się rękami za szyję, z której wypływała krew wyglądająca w świetle latarek jak czarna posoka. Trójka żandarmów spojrzała z podziwem na swojego kolegę. Trafił przy takiej widoczności!

Partyzant dyszał ciężko, charczał coś, kula pewnie zgruchotała mu krtań. Stosh podszedł do leżącego i stanął nad nim okrakiem.

– Świeć tu! – zgromił pozostałych, gdy zobaczył, że przeczesują żółtym światłem lampki drogę ucieczki partyzantów w stronę lasu. Cisza zapadła jakaś martwa, złowieszcza. Sylwetka Paula Stosha położyła trupie cienie na drogę i rów, gdy drżące światło oświetliło ją z boku. Jego twarz wykrzywiła się w złym uśmiechu. Żandarm spokojnie podniósł karabin i wymierzył potężne uderzenie kolbą w głowę leżącego

człowieka. Makabryczny chrzest miażdżonych kości i ostatnie jęknięcie umierającego wdarły się w tę ciszę tak, że aż zadygotało światło latarki. Stosh rzucił nienawistne spojrzenie na kolegów, wtedy Martin, ten, który trzymał lampkę, złapał lewą ręką prawą dłoń, by uspokoić trzęsienie. Światło ustabilizowało się znowu i oprawca przystąpił do dzieła zniszczenia. Raz za razem podnosił odwrócony do góry lufą karabin i walił kolbą w podrygujące w przedśmiertnym spazmie ciało.

Trach! Rozlegał się mrozący duszę trzask łamanych kości, a wraz z nim podrygiwała lampka trzymana w zaciśniętych kurczowo dłoniach niemieckiego żandarma. Wokół głowy masakrowanego człowieka ciemniała na śniegu coraz szerzej plama krwi. Ciosy straciły stopniowo swoją pierwotną wściekłość. Stosh się zmęczył, dyszał teraz ciężko.

– Sołtysa wezwać! – Niemiec rzucił osłupiałym towarzyszom – obszukać, broń zabezpieczyć, a potem ścierwo do piwnicy!

Nie zdążyli odpowiedzieć, bo żandarm ruszył już w stronę posterunku. Martin, wciąż nie mogąc dojść do siebie, stał niezdecydowany. On przecież był tu zdobywcą, on był panem życia i śmierci na powierzonym mu przez Rzeszę terenie, ale żeby coś takiego?! Oświecił plecy odchodzącego faszysty, a gdy ten odwrócił się, opuścił szybko lampkę, bo zdawało mu się, że dostrzegł zwierzęce, dzikie błyski w tamtych oczach.

Niemcy zaczęli powoli otrząsać się z odrętwienia wywołanego makabryczną sceną. Karl z obrzydzeniem pochylił się nad parującymi ciągle zwłokami i podniósł przyprószony śniegiem pistolet. Pokazał broń pozostałym, jakby chciał powiedzieć: „Popatrzcie, chciał nas zabić”.

Stosh szedł tymczasem w stronę budynku posterunku i gdy był o kilka kroków od drzwi, ze środka wyrzała przestraszona kobieta.

– To po ciebie przysli – rzucił jej zaczepnie, a ona natychmiast cofnęła się do środka. Nie wiadomo, czy przestraszona słowami Niemca, czy jego wyglądem. Teraz dopiero w żółtym świetle padającym z otwartych drzwi mężczyzna dostrzegł na swoich rękach brunatne plamy. W kącikach ust wyczuł też słodkawy, metaliczny smak. Pomyślał, że pewnie wygląda jak upiór, i uśmiechnął się na tę myśl szeroko, szczerze. Na zegarze była trzecia dwadzieścia, wspaniała noc, czuł, że rozpiera go niewyobrażalna i groźna siła. Otrzeptał buty i wszedł do środka.

– Jeść przygotuj! – rzucił w twarz przerażonej kobiecie. – Zgłodniałem!

Furmanka ciągnięta przez konia powoli toczyła się po ubitym śniegu zalegającym drogę. Derka, którą przykryty był koń, parowała z lekka, koła skrzypiały na mrozie. Droga, pola, rowy, wszystko było równo przykryte jasnym płaszczem zimy, tylko ten kawałek ziemi, który już z daleka przykuł wzrok woźnicy, odcinał się czarnym wyrzutem na czystej zimowej szacie. Wóz przejechał jeszcze kilkanaście metrów i gospodarz, pomimo solidnego mrozu, zdjął futrzaną czapkę. Wstał z siedziska, po czym spojrzał umęczonym wzrokiem na mogiłę, świeżo usypaną w przydrożnym rowie.

– Nie trap się, Stasiek – pociągnął nosem i wytarł go rękawem kożucha – psu-braty pogonimy, a tobie pogrzeb się urządzi.

Szeptał tak do siebie, a może do duszy Stanisława Michałka, która bez pogrzebu, bez przyzywania wstawiennictwa Aniołów, mogła błąkać się teraz zagubiona, zatrzymana w pół drogi do Nieba obiecanego męczennikom.

Wóz przejechał dalej, gospodarz założył futrzaną czapę na głowę i obtarł spływającą po policzku łzę. Spojrzał w drugą stronę, gdzie stał dom Kobyłeckiej. Splunął z pogardą i pognął konia, by nie oglądać więcej tego widoku. Położnej nie było już w Borzęcinie, Niemcy przenieśli gadzinę, by ochronić ją od ludzkiego gniewu.

Ale od sprawiedliwości Boga jeszcze się nikt nie ochronił. Przyjdzie ona na Niemców i na Kobyłecką – tu gospodarz wykonał znak krzyża – przyjdzie jak amen w pacierzu.

Kraków zawrócił w głowie młodemu Niemcowi. Rodzima opera, teatr, a wieczorem wspaniałe bankiety, na których można było spotkać niemieckie dziewczęta, a nie te polskie wywłoki, którymi musiał zadowalać się w Borzęcinie na posterunku. Paul Stosh był w głębi duszy romantykiem. Przed wojną chciał studiować rzeźbę na Preussische Akademie der Künste* i nawet już jako dorosły mężczyzna rozpoczęła przygotowania do egzaminów, ale ogłoszono mobilizację i Stosh jak tysiące innych zamiast do akademii trafił na wojnę. Zesłanie do tego barbarzyńskiego, jak nazywał Polskę, kraju było najgorszą rzeczą, jaka mogła go spotkać w życiu. Zamiast rzeźbiarskiego dłuta musiał trzymać w ręku karabin. Zamiast operowych arii musiał codziennie słuchać ludzkiego płaczu. Wściekłość pęczniała w nim i burzyła z rozpędu wszelkie bariery i blokady, jakie postawiły mu na drodze chrześcijańskie napomnienia matki. Nienawidził tego kraju szczerze i bezgranicznie całym swoim zimnym sercem rasowego nazisty i gdyby mu ktoś powiedział, że zabicie wszystkich Polaków jest sposobem na powrót do Berlina, nie zawahałby się ani chwili, by wymordować cały naród.

Jechał teraz przynębiony, bo te kilka dni urlopu dosłownie przeleciały mu przed oczami jak kolorowy pociąg. Były jak najpiękniejszy sen, który zbyt wcześnie się skończył. Mężczyzna zwlekał z wyjazdem do ostatniej chwili, ale czas biegł nieubłaganie, a kolega z posterunku w Nowym Brzesku marudził już od południa, więc chcąc nie chcąc, Stosh wyruszył z Krakowa około godziny siedemnastej, w zupełnych już ciemnościach.

Droga była ciężka, konwój złożony z trzech samochodów przebijał się przez zaspę i padający gęsto śnieg. W Nowym Brzesku odłączył się jeden samochód, potem w Koszycach Stosh skręcił w prawo, a towarzysze pojechali dalej na północny wschód. Żandarm orientował się dobrze, że z Koszyc do Borzęcina zostało mu jeszcze pół godziny jazdy, wiedzieli o tym też jego przeżożeni i choć niechętnie zgadzano się, by samochód z niemieckim żandarmem podróżował bez obstawy, tym razem zrobiono wyjątek.

* Słynna Pruska Akademia Sztuki w Berlinie.

Na siedzeniu wozu z przodu na prawej ręce leżał spokojnie gotowy do strzału karabin mauser, z którym żandarm nie rozstawał się nigdy na dłuższy czas. Broń dodawała mu pewności, nikt też nie znał trasy jego powrotu na posterunek, i nawet, gdyby partyzanci szykowali zasadzkę, to na pewno nie spodziewali się, że Stosh wjedzie do Borzęcina od północy. Uśmiechnął się do tej myśli, po czym zwolnił na długim zakręcie kończącym zalesiony teren. Przypominał sobie szczegóły trasy. Teraz długa prosta, a potem mostek na Wiśle. Mijał właśnie z lewej strony skupisko drzew, gdy zawieja sypnęła mu śniegiem w szybę tak mocno, że przez moment nie wiedział, gdzie jest droga. Ta chwila nieuwagi wystarczyła, by samochód zaczął tańczyć na pozbawionych przyczepności kołach. Mężczyzna próbował jeszcze odkręcić kierownicę, ale to tylko pogorszyło sprawę. Staranował zaspę śnieżną i z impetem zjechał z drogi w prawo w dół, po czym, pomimo wciskania pedału hamulca w podłogę, najechał na pokryty lodem i śniegiem ziemny wał oddzielający pole od rzeki. Gdyby ten wał był wyższy, może by go zatrzymał, ale energia, jakiej nabrał, pędząc w dół, podbiła przód maszyny w górę i wygasła dopiero wtedy, gdy auto runęło przodem w zamarnięte płytkie dno rzeki. Mężczyzna nie zdążył nawet zasłonić oczu, by uchronić się od potężnego uderzenia w przednią szybę. Natychmiast stracił przytomność.

Skąd się wziął?! Ten diabeł, który tańczy tam z przodu? Siedzi tam i śmieje się ze mnie! Poczekaj, ty parszywa świnio!!!

Stosh podniósł głowę z zimnej, strzaskanej szyby. Próbował skupić uwagę na dziwnym świetle, ale coś zalewało mu oczy. Niezdarnie przetarł dłońią ciepłą maź i aż syknął, gdy natrafił na rozerwaną skórę na czole. Zapach... smak... tak, to była krew. Jego krew.

Czemu nie mogę dźwignąć się z tej cholernej szyby?

Teraz dopiero dotarło do niego, że nadal siedzi w samochodzie. Coś próbowało wypełznąć z kazamatów jego pamięci. Starał się to wyłowić spośród migających obrazów pod zaciśniętymi boleśnie powiekami. Wygląda na to, że miał wypadek. Samochód chyba wypadł z drogi.

Znów ten szatan tam tańczy! Czekaj, ścierwo, zaraz...!!!

Odwrócił głowę w prawo, gdzie spodziewał się dostrzec swój karabin. Leżał tak jak on, na przedniej szybie. Coś zimnego ciekło mu po plecach, ale zignorował to. Teraz najważniejsze było zabić diabła, który naśmiewał się z niego. Smród, ale co to za smród? Mieszało mu się w głowie po wstrząsie, jakiego doznał.

Strzelać jeszcze potrafię, nie będzie się śmiała świnia!

Z wielkim trudem Niemiec sięgnął po broń. Była załadowana, to pamiętał dobrze. Ujął kolbę i przyciągnął do siebie. Dostrzegł dziurę w szybie, przez którą migają płatki śniegu, więc niezdarnie wsunął tam koniec lufy. Mauser wystawał teraz z samochodu na kilkanaście centymetrów. Przez pęknięcia szyby dostrzegł znów ten płomyk, który błędził po masce, jakby w silniku coś iskrzyło.

Ty, ścierwo, nie będziesz się śmiał!

Nacisnął spust. Huk, ogień z zamka oparzył mu boleśnie twarz. Zaraz potem potężna eksplozja płomieni objęła całą szoferkę. To cieknące po plecach Niemca paliwo z bagażnika zapaliło się od wadliwego naboju. Próbował krzyżeć, ale nabrał tylko ognia w płuca i to, co wydostało się z poparzonych ust, zabrzmiało, jak szloch. Ogień piekielny, zżerający mu twarz i oczy, obejmujący szoferkę, trawił nieszczęśnika skręcającego się już jak przetapiany kawałek sadła.

Zaalarmowani hukiem przybiegli na brzeg dwaj wieśniacy. Jeden z nich, młody chłopak ruszył z brzegu na ratunek, ale drugi, starszy i brodaty zatrzymał go zdecydowanym ruchem ręki. Widzieli z tej odległości, jak twarz Niemca ginie w ogniu za boczną szybą, przez którą w ostatnim odruchu rozpacz próbował się wydostać.

– To faszysta – syknął brodacz – zostaw!

W maju 1944 roku w Dębnie i Porąbce Uszewskiej pojawił się nowy rewident zajmujący się kontyngentami mleka. Komenda obwodu dostała informację z Tarnowa, że jest to agent gestapo Knapp. Partyzanci długo szukali sposobności likwidacji konfidenta, aż w końcu, wykorzystując jego skłonności do zabawy, namówili go, za pośrednictwem Stanisława Jedynaka „Oli”, na poprawiny w Łysej Górze. Oczywiście do poprawin nie doszło, a wyrok na konfidentie wykonano w lesie. W akcji uczestniczył szef dywersji obwodu Adam Bartosz „Kmicic”, Teofil Hebda „Błyskawica” oraz Stanisław Jedynak „Ola”.

Poprawiny na Wielkiej Górze

Andrzej Chodacki

**Drzewo wysmukłe i piękne,
drzewo bukowe z Wielkiej Góry,
czy uniesiesz brzemień moje,
co tak cięży mi na duszy?**

**Czy wytrzymasz, gdy żalem obciążę
twoje cierpliwe ramiona?**

**Popatrzcie, jak się wystroił
Głupi Jasiek, co tak bardzo ukochał konie!
Nawet końską uprzęż
Zabrał na swoje umieranie.**

Bernadka tak pięknie się uśmiechała. Przychodziła do kościoła na ranną mszę, tak samo jak Jasiek. Mężczyzna obserwował ją od wielu miesięcy, ale ciągle brakowało sposobności, by zamienić z nią słowo. Patrzył tylko na nią, na jej długi czarny warkocz, drobny, zadarty nosek. Patrzył Jasiek, siedząc zawsze w takim miejscu, by mieć możliwość obserwowania twarzy dziewczyny przez całą Eucharystię. A ile sobie przy tym dopowiadał? Że jak klęka z pochyloną głową, składając pięknie ręce, to pobożna musi być i dobra. Znowu jak od komunii idzie z rękami na piersiach, to skromna przy tym i spokojna na pewno. Zawsze jednak jego wyobrażeniom przyświecała jedna myśl nadrzędna: Bernadka to najpiękniejsza dziewczyna na świecie i on, Jasiek Migda, dałby się pokroić, żeby móc zamienić z nią choć kilka słów.

Po mszy pierwszy wychodził przed kościół i zatrzymywał się przy bramie, by dostrzec ten moment, w którym śliczna panna pojawiała się w drzwiach. Stawał trochę z boku, by nie wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń, potem patrzył... patrzył... patrzył.

Niedziela to był najwspanialszy dzień tygodnia. A gdy jeszcze zdarzyło się w tygodniu święto, Jasiek cały promieniał. Ojciec, Maciej Migda myślał, że jego syn tak Boga ukochał, bo po każdej mszy do domu wielce radosny wracał. Do seminarium późno było, trzydziesta trzecia wiosna stuknęła Jaśkowi, a i majątek zbyt lichy, żeby przyjęli. Ale przyjemnie było staremu czasem pomarzyć, jakby to było, gdyby jego własny syn w Porąbce nabożeństwo odprawiał. Nikt by już nie powiedział, że Jasiek głupi jest, bo go do wojska nie wzięli. Nikt by się nie ważył naśmiewać z chłopaka.

Jasiek tymczasem wobec swej przyszłości zgoła inne miał plany i nijak się one miały do celibatu. Bernadkę pokochał szczerze i gorąco, ale ciągle nie mógł się odważyć, by jej to wyznać. Od maleńkości nieśmiały był, teraz jeszcze to wojsko. Coś tam z jego nogami stwierdzili i komisja orzekła, że się nie nadaje. Do roboty nogi dobre, a do wojska nie.

Stał teraz przed kościołem, jak w każdą niedzielę, czekając, aż dziewczyna przejdzie obok. Wysoki, barczysty, w najlepszym ubraniu, które słabo tuszowało jego zgarbiony od ciężkiej pracy grzbiet. A gdy już dziewczyna minęła kościelną bramę, odprowadzał ją rozognionym wzrokiem, nie słysząc nawet, gdy ktoś ze znajomych chciał go o coś zapytać, nawet jeśli chodziło o konie.

Tak. Bernadkę Jasiek kochał bardziej od koni, a kto znał Jaśka, wiedział, że to wiele znaczyło. Bo nie było w Porąbce Uszewskiej piękniejszych koni jak te, którymi powoził Migdowy syn. I nie było równego Jaśkowi woźnicy. Można więc sobie wyobrazić, co poczuł ten przygaszony, milczący mężczyzna, gdy pewnej niedzieli proboszcz przeczytał zapowiedzi, w których pojawiło się nazwisko „Bernadetta Góral”. Jaśkowi witraże zawirowały przed oczami, a szum w uszach odciął go na chwilę od wszystkiego wokół. Do końca mszy nic nie słyszał, tylko te słowa księdza powtarzające się i dręczące swą okrutną treścią. Gdy dotarło do niego, że ludzie wychodzą z ławek, spróbował się podnieść, ale zachwiał się przy tym tak, że kościelny obrzucił go baczynym spojrzeniem. Zebrał się w sobie i powlókł do wyjścia, gdzie jeszcze raz z przerażeniem przeczytał na tablicy ogłoszeń treść zapowiedzi. Bernadetta Góral i Marcin Nadolnik. Znów doznał tego zamętu w głowie. Wyszedł chwiejnym krokiem przed kościół. Dobrze, że ludzie się już rozeszli, bo ktoś by mógł pomyśleć, że Jasiek nie dość, że głupi, to jeszcze napity na mszę przyszedł. On jednak w tej tragicznej chwili nie myślał o złośliwych plotkach szerzonych na jego temat. Wrócił do domu, położył się do łóżka i leżał tak w ubraniu do następnego ranka. Ojciec wszedł kilka razy do jego pokoju, ale widząc, jak leży z oczami wbitymi sztywno w sufit, postanowił poczekać. Może chłopak sam coś powie. Jasiek zapadł w dziwne odrętwienie. Na wezwania matki, by przyszedł coś zjeść, nie mrugnął nawet powieką. Rano wstał przed świtaniem i wiedział już, co robić. Ślub za trzy tygodnie, w sobotę dwudziestego.

Dla niej widać pisany ślub, a mnie zostaną poprawiny – twarz mężczyzny wykrzywiła się w ironicznym uśmiechu. Pomyślał o koniach i zaczął ściągać świąteczne ubranie. Jeszcze trzy tygodnie. Do kościoła już nie pójdzie. Chyba że na wieczór do Groty*.

– Postuchaj, Staszek – Błyskawica** połał do równa oba kieliszki i spojrzął znacząco w jasne oczy młodego mężczyzny, siedzącego przed nim – ten Knapp to straszne bydło jest, sporo napsuł tu krwi, wielu przez niego płakało, nie ma rady, trzeba gada... – tu wykonał wymowny ruch ręką przy szyi, po czym podniósł kieliszek, a wraz z nim swój podniósł także Stanisław Jedynak, jego dzisiejszy gość. Wypili.

Dziwnie smakuje bimber – pomyślał Jedynak – gdy pieczętuje się toastem czyjąś śmierć.

– Ten sukinsyn już nam się raz wyrwał – kontynuował gospodarz spotkania, gdy złagodniały mu rysy wykrzywionej od bimbru twarzy. – Po piętnastym ma tu węszyć za zbożem. Będzie musiał się odkryć. Ty pracujesz w gminie, może o pomoc się zwróci, łatwiej go będzie można podejść. Trzeba zrobić poprawiny.

* Grota Matki Boskiej z Lourdes w Porąbce Uszewskiej.

** Teofil Hebda, dowódca plutonu dywersyjnego Armii Krajowej.

Kieliszki znów zostały napełnione. Młodemu mężczyźnie zrobiło się gorąco, i to nie od bimbrow. Dowódca zleca mu zadanie uczestnictwa w likwidacji niemieckiego szpicla, a to oznacza, że może nawet sam będzie musiał pociągnąć za spust. Wychylił szybko na drugą nogę, by odgonić złe myśli. Błyskawica mógl dostrzec drzenie jego ręki.

– Nie trap się, ty go nam tylko wystawisz, reszta to nasza rzecz – Hebda poklepał młodzieńca po ramieniu i polał szczerze – No!

Wypili szybko. Samogon wchodził gładko i bez oporów. Problemy, jeszcze przed chwilą zacierające obraz przyszłości, zmałyły i rozpierzchły się jak poranna mgła.

Jest wojna – Jedynek podsumował w myśli – czasem trzeba robić rzeczy, które nie są łatwe ani miłe, ale przecież do cholery jest wojna!

Mężczyzna wiedział, że ten wieczór nie skończy się na jednej butelce.

Miejsce wydało mu się odpowiednie. Ojciec wysłał go do Łysej Góry z intencją. W połowie drogi, przy Wielkiej Górze zatrzymał konia, zsiadł z wozu i stanął przy drzewie. Buk taki piękny, mocny, poklepał go jak przyjaciela. Wokół trochę grabowych młodziaków, cisza, ptaki kwilią w gałęziach. Znów spojrzął na drzewo.

Jakże o tobie będą gadać potem, biedaku – pomyślał gorzko – powiedzą, to ten buk, co się na nim Jasiek...

Żał urwał tę myśl, ścisnęło go w zapadniętej piersi. Zapalił, po czym wyciągnął zza pazuchy rzemień końskiej uprzęży. Znów myślał, obracając rzemień w chropowatych, spracowanych palcach. Odchrząknął, by przeczyścić sobie zaschnięte gardło. Ból trwania przy życiu, sączący się w jego duszę jak trujący gaz, stopniowo przesłaniał mu świat. Jedną rzecz tylko nabrała wśród tej powodzi rozpaczy realnych kształtów.

Gniadosz choruje – pomyślał i przyjrzał się uprzęży. Schował ją na powrót pod kapotę. Jeszcze nie dziś. Jeszcze nie...

Znów poklepał drzewo, jedyne powiernika swojego nieszczęścia. Czasem lepiej pogadać z drzewem lub koniem. Koń cię nigdy nie zdradzi, drzewo nie wygada innym, nie wyśmieje. Bo z ludźmi... Przypomniał sobie, jak z niego kpili, jak pokazywali palcami, gdy się odwracał. Z ludźmi nie warto już gadać. Nie ma o czym.

Rozejrzał się po okolicy, by zapamiętać miejsce.

Za tydzień ślub Bernadki. Za tydzień tu wróci i dokończy, co postanowił. A dziś do gniadego trzeba wracać, bo nikt inny go nie wyleczy. Ojciec sobie nie da rady. Jeszcze nie dziś.

Gdy Knapp wszedł do Gurgulowej restauracji w Porąbce Uszewskiej, gwar typowy dla tego miejsca wyraźnie przycichł. Mężczyźni spojrzeli nieufnie na przysadzistą postać stojącą w drzwiach. Szmer rozmów zmienił charakter, ludzie zbliżali do siebie twarze bez uśmiechów. Tylko pani Zuza, bufetowa, przywitała gościa z ponurą obojętnością, bo klient to klient i obsłużyć trzeba.

Henryk Knapp rozejrzał się po sali. Sprawne oko wychwyciło wśród ukradkowych spojrzeń tylko te przepełnione lękiem i niechęcią. Wybrał więc stolik przy drzwiach, starym zwyczajem rasowego szpicla, po czym wzniesioną ręką dał znak, że chciałby

zamówić. Nie jest jednak honorem dla bufetowej, by gnała na złamanie karku, kiedy klient co dopiero wszedł. Kobieta dokończyła więc wycieranie kufli, wystudiowanym ruchem przetarła ladę, choć ta lśniła jak lustro, po czym skierowała swe kroki w stronę stolika przy drzwiach. Knapp bez zbędnej żenady przebiegł spojrzeniem po jej kobiecościach i, co nie wydaje się dziwne, zatrzymał wzrok dłużej w miejscu, które w tej chwili interesowało go najbardziej, czyli na wybujałym, wylewającym się z przyciasnej bluzki biuście. Przerwał obserwację, dopiero gdy kobieta zatrzymała się przed nim.

– Co ma być? – ton głosu bufetowej był równie obojętny jak cały jej stosunek do tego miejsca.

– Piwko i flaczki, jeśli kierownicza łaskawa – wysapał tęgi mężczyzna. – Na wesele się wybieram, może kierownicza na tańce zechce?

Nawet cień uśmiechu nie nawiedził twarzy bufetowej, która dobrze znała życie. Ostatni taki, co jej małżeństwo obiecywał, też najpierw na tańce zabierał, a jak dostał to, o co mu chodziło, to już go więcej nie zobaczyła. Poza tym zbyt długo tu pracowała, by brać do siebie takie karesy. Mężczyzna niezrażony odprowadził wzrokiem jej solidne biodra, po czym wrócił do dyskretnej obserwacji sali.

Teren obcy – analizował w myśli – trzeba uważać.

Żadna z twarzy mężczyzn pijących piwo przy stolikach nie wydała mu się znajoma. Wtedy drzwi restauracji otworzyły się znowu i wszedł do środka młody szczupły mężczyzna. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ubrany był typowo, w jasną dwurzędową marynarkę i brązowe, szerokie spodnie. Omiótł obojętnym spojrzeniem wnętrze i zbliżył się do stolika Knappa.

– Można? – zwrócił się do grubasa, a ten, stwierdzając niechętnie, że przy innych stolikach nie ma już miejsc, skinął głową na zgodę.

Wybujałe piersi znów podskakiwały w takt kroków pani Zuzy, która już po chwili stawiała przed Knappem piwo i pełny talerz.

– Dla mnie to samo – młody chłopak wskazał zestaw palcem i uśmiechnął się.

– Czy my się nie znamy? – Knapp sięgnął po kufel. – Chyba widziałem pana w gminie?

– Poznają – chłopak zaczął z ostrożną uprzejmością – widywałem pana, pewnie z powiatu?

– Henryk Knapp – grubas zabierał się do kufła piwa. Podwyższenie rangi administracyjnych szczebli jego kariery pochlebiło mu nieco. – Zawsze to milej jeść w towarzystwie.

– Stanisław Jedynak – chłopak odczuł, że rozmowa toczy się według planu. – Też tak myślę.

Obaj odwrócili głowy, by ocenić, czy biust pani Zuzy stracił coś od ostatniego razu, kiedy bujał się nad ich stolikiem. Obleśnymi uśmiechami i wymianą niedwuznacznych spojrzeń potwierdzili zgodnie, że nie.

– Dziękuję pani Zuzi – rzucił młodzieniec jakby z opóźnieniem. Kobieta nawet się nie obejrzała. Ostatnie spojrzenie na jej kształtne biodra i chłopak zabrał się do jedzenia. Siorbanie obok było wyraźnym znakiem, że i Knapp nie próżnuje.

– Nieźle – grubas pokazał łyżką talerz – a ja na poprawiny idę, do Łysej Góry.

– To przy Grocie trzeba w górę, a dalej prosta droga.

Zna drogę – pomyślał Knapp – w gminie pracuje, chyba można mu zaufać.

– Znajomy syna żeni, wczoraj nie mogłem, robota, ale dziś ... – znów siorbane, chyba flaki przypadły grubasowi do gustu. Tylko dlaczego musi o tym wiedzieć cała restauracja?

Pewnie na krzywy ryj się pcha – pomyślał Jedynek – kto by taką świnię zaprosił, sługusa faszystów, cała wieś by gospodarza pokazywała palcami.

– Pora dobra, pewnie dopiero goście się zbierają. – Młodzieniec zaczął się niepokoić, czy ryba złapie haczyk. Taka okazja może się nigdy nie powtórzyć.

– To może razem się wybierzemy – na te słowa mało serce nie wyskoczyło z piersi młodzieńca – gospodarz swój chłop, pohulamy, wypijemy?

Staszek nie odpowiedział od razu. Przynęta chwycona, teraz trzeba to dobrze rozegrać, bo się ryba zerwie z haczyka.

– Niby miałem do dziewczyny... – zaczął, jakby chciał się wymówić.

– Jak kocha to poczeka – przerwał mu Knapp, nieświadomy, że właśnie pcha się w śmiertelną pułapkę – zapraszam!

– Niby prawda – młodzieniec nadal grał swoją rolę, choć sprawne oko wychwytyłoby drżenie kącików jego ust. – Pójdę jutro, a dziś coś się wymyśli, żeby nie fuczała.

– To mi się podoba – grubas kończył właśnie flaki i obtarł rękawem usta. – A co, nie smakują? – wskazał palcem nietknięty talerz stojący przed Jedynekim. Chłopak wziął się szybko do jedzenia. Emocje mogły pokrzyżować całą misternie przygotowaną zasadzkę. Trzeba jeść, mimo że chłopak czuł, jakby żołądek przylgnął mu do kręgosłupa. Jakiś czas temu miał jeszcze nieuświadomioną nadzieję, że Knapp nie złapie przynęty i dywersja kropnie go przy innej okazji, ale teraz...

– No to co? – grubas podniósł się niezgrabnie i brzuchem podrzucił stół. Trochę piwa wylało się kraciatą ceratę.

Młodzieniec spojrzał na zegarek.

– Czwartą – rzucił, wstając. – Pan zaprasza, to ja zapłacę i kupię flaszeczkę, bo z pustymi rękami iść nie bardzo.

– Dobra – Knapp odpałał właśnie papierosa – poczekam na drodze.

Gdy szpicel zniknął za drzwiami, Jedynek szybkim krokiem podszedł do stolika przy bufecie i szarpnął za ramię jednego z siedzących tam mężczyzn.

– Sprawa jest! – rzucił krótko w zdziwione twarze. I już po chwili obaj zamykali za sobą drzwi tylnego wyjścia z lokalu.

– Słuchaj, Józek! – Jedynek rozejrzał się jeszcze, sprawdzając, czy na pewno są sami. – Knapp idzie ze mną do Łysej Góry, polecisz teraz migiem do Błyskawicy i powiesz mu, że za godzinę będziemy przechodzić pod Wielką Górą. Niech czekają przy drodze w lesie, za bukami, zrozumiałeś?!

– Idę! – potwierdził przejęty chłopak.

– Pamiętaj! Za godzinę w lesie pod Wielką Górą, będę spowalniał, żeby zdążyli.

Józek wypruł na zewnątrz i już po chwili słyszał było skrzypienie nienaoliwionego mechanizmu jego roweru. Jedynek wrócił do bufetu, zapłacił należność za jedzenie i alkohol, po czym poprosił o flaszeczkę na wynos. Ręce mu się trzęsły.

Pani Zuza z ulgą przyjęła informację, że dwójka trzeźwych mężczyzn opuszcza lokal. Nawet delikatnie uśmiechnęła się na tę okoliczność, bo to niecodzienny widok. Tę bandę przy bufecie pewnie trzeba będzie znowu wyganiać szczotką. Kobieta nie zdawała sobie sprawy, że Henryka Knappa widzi żywego po raz ostatni.

Jedynak wyszedł na zewnątrz. Próbował opanować emocje, przywrócić na rozdręganą twarz coś na kształt uśmiechu.

– Teraz możemy iść – pokazał grubasowi butelkę samogonu – kultura musi być.

Knapp roześmiał się w chmurę papierosowego dymu. Odczekali, aż przejedzie furmanka na Doły, i ruszyli za nią spokojnym krokiem. Obu przed siebie gnały inne emocje.

Niedziela Wniebowstąpienia Pańskiego była bardzo przyjemna. Wiosna dojrzała pełnią kolorów i zapachów, że aż kręciło się w głowie. Mężczyźni szli wolno w stronę Groty pustą o tej porze drogą. Tylko jeden człowiek na rowerze minął ich przez ten czas.

To dobrze – pomyślał Jedynak – im mniej ludzi mnie zobaczy z Knappem, tym lepiej.

A grubas cały czas gadał. A to, że dziewczyny na weselu łatwiejsze po wódce, to znowu, że ciasta weselnego dawno nie próbował, bo kiedyś, to były ciasta...

Jedynak starał się słuchać tych opowieści, ale do rozmowy włączał się rzadko. Zastanawiał się, gdzie jest teraz Błyskawica? Czy już zbliżają się do Wielkiej Góry? Czy będzie słychać huk wystrzałów? Myśli, które odsuwał od siebie przez kilka ostatnich dni, opanowały teraz jego umysł z całą mocą.

– Tu, koło Migdy będzie szybciej – młodzieniec wskazał ręką ostro pnącą się w górę ścieżkę.

Knapp spojrział na swoje lakierki. Musiał jednak ocenić, że nie zabrudzi ich mocno, bo bez sprzeciwu skrzył we wskazanym kierunku. Dalej gadał jak najęty. Zaczęło to już działać na nerwy jego przewodnikowi, ale ten postanowił jakoś to zdzierżyć. Trzeba doprowadzić sprawę do końca. Jeszcze pół godziny i Wielka Góra. Potem ta gruba świnia zamknie jadaczkę na wieki.

Szli teraz obok gruszkowego sadu, cały czas pod górę, drogą, którą w dni powszednie tłukły się furmanki z sianem. Pola trwały zanurzone w popołudniowej ciszy, ustawicznie mąconej monologiem Knappa. Jedynak zadawał czasem pytania tonem dyskretnej, pozornie obojętnej ciekawości, ale przez większość czasu oddawał inicjatywę „mleczarskiemu inspektorowi”, jak czasem nazywano w gminie niemieckiego szpicla. Nisko stojące słońce malowało przed nimi coraz dłuższe cienie. Knapp gadał, jak nie palił, a potem palił i znów gadał. Minęli kolejne wzgórze i Wielka Góra ukazała się w oddali. Jedynak przystanął, jakby chciał chwilę odpocząć. Potem spojrzął do tyłu na panoramę Porąbki Uszewskiej. Lekki wiatr wzdychał wśród grabiny, liście szeleściły kojąco. Chłopak na moment zagubił się gdzieś we własnych wspomnieniach, gdy dotarło do niego pytanie grubasa:

– Daleko do drogi na Łysą?

– Tylko przejdziemy pod górą i będzie widać drogę.

W bystrych oczach szpicla pojawił się błysk nieufności.

– A coś ty taki niewyraźny?

Jedynak starał się uśmiechem zatuszować narastające napięcie. Czuł, że kończą mu się pomysły na granie swojej roli i wtedy nagle dostrzegł szansę na odwrócenie uwagi.

– Coś tam wisi! – pokazał na obły ciemny kształt kotłujący się przy pniu potężnego buka.

– Gdzie? – Knapp zrobił parę kroków w tamtą stronę.

– O Boże! Wisielec! – młodzieniec już biegł w tamtym kierunku, zrzucając z siebie marynarkę. Zwinnie wskoczył na pień drzewa i zaczął wspinać się, by sięgnąć człowieka.

– Żyje? – usłyszał pytanie z dołu, które z miejsca uznał za durne. Gdy postawił stopę na pierwszej solidnie wyglądającej gałęzi, mógł już spojrzeć w twarz wisielca.

– Toż to Jasiek! – wyrwało mu się. Wolną ręką wysuwał z kieszeni szczyryk, po czym balansując ciałem, sięgnął do skórzanego paska powyżej szyi wisielca. Przeciął pasek wyglądający na końskie lejce, a następnie złapał ciało przez pierś.

– Trzymaj go tam na dole! – Już szukał stopą gałęzi, na której wspierał wcześniej nogę, ale okazało się, że dla dwóch ludzi jest zbyt cienka. Wsparł więc stopę na grubszym konarze i zaczął zsuwać Jaśka w dół.

– Dawaj go! – Asekuracja ze strony Knappa nie wyszła zbyt dobrze, bo ciało gruchnęło bezwładnie o ziemię. Jedynak zeskoczył na dół i obrzucił przerażonym spojrzeniem nieruchomego Jaśka Migdę. Mężczyzna był ubrany w niedzielny garnitur, białą koszulę pod krawatem i wyglancowane, skórzane buty. Jakby przed chwilą z pasterki wyszedł. Twarz miał fioletową. Na szyi sina bruzda odcinała się złowieszczo. Głowa odchylona dziwnie na bok wskazywała, że mógł mieć złamany kark.

– Trup – skwitował Knapp i usiadł na trawie, dysząc ciężko. Jedynak dopadł do Jaśka i rozdarł na nim koszulę. Przyłożył ucho do nieruchomej piersi, ale odsunął się zawiedziony.

– Jasny szlag! – zaklął i wyjął z leżącej obok marynarki flaszkę bimbru. Wychylił ze złością potężny łyk.

– Znałeś go? – Knapp przyjął od niego flaszkę i pociągnął także. Zakrzusił się przy tym.

– No – mruknął młodzieniec i odebrał butelkę, po czym wypił kolejny raz.

– Trzeba wołać kogoś – Knapp wyrównał oddech, wstał i rozejrzał się dookoła.

Sytuacja zaskoczyła Jedynaka tak bardzo, że na chwilę zapomniał o swojej misji. Teraz, gdy sobie przypomniał, po co właściwie tu przyszedł, dotarło do niego, że może przeznaczenie na razie odroczyło wyrok na niemieckim szpiclu. Gdy jednak podniósł się i spojrzął w kierunku wskazanym przez grubasa, zrozumiał, że się pomylił. Drogą od strony lasu szli Błyskawica* i Kmicic**. Szli pewnie i spokojnie, bez zbędnego pośpiechu. Z tej odległości rozpoznali już stojących przy drzewie mężczyzn.

* Teofil Hebda, dowódca plutonu dywersyjnego Armii Krajowej.

** Adam Bartosz, nauczyciel z Biadolin, żołnierz Armii Krajowej.

A więc będą poprawiny – gorzko pomyślał Jedynek i podparł się pod boki, czekając na nadchodzących żołnierzy. Jego rola zakończona, na scenę wkracza dywersja.

– Jasiek Migda się powiesił! – zawołał do nich, gdy byli kilkanaście kroków od drzewa.

– Znasz ich? – Knapp nagle zmienił ton. Chyba zrozumiał. Zbyt późno. Jedynek tylko spojrział na niego ciężkim wzrokiem i nie odpowiedział nic. W grobowej ciszy, która powstała, doleciały ich charakterystyczne odgłosy kukułki. Młodzieniec odruchowo doliczył do dziesięciu. Znów spojrział na Knappa, jakby chciał mu powiedzieć, że to nie była wróżba przeznaczona dla niego.

Tymczasem zbliżająca się linia frontu spowodowała, że AK zintensyfikowało przygotowania do planowanego powstania. Dowódcy szukali sposobności do zgromadzenia zapasów żywności oraz zdobycia środków finansowych. Pluton dywersyjny przeprowadził akcje na mleczarnie w Dołach, w Szczurowej, Zakliczynie i Sterkowcu. Zniszczono urządzenia, zabrano sery i masło. Mleko przeznaczone dla Niemców wylano.

Takie działania pozwalały podziemiemu polepszyć aprowizację oddziałów zbrojnych, ale nie zaspokajały wszystkich potrzeb przyszłej mobilizacji, dlatego zaplanowano dwa inne, spektakularne przedsięwzięcia.

W czerwcu 1944 roku w samo południe Adam Bartosz „Kmicic” i Teofil Hebda „Błyskawica” uderzyli na kasę terenową w Zakliczynie, mieszczącą się w ratuszu. „Kmicic” i „Błyskawica” przeprawili się przez Dunajec łódką, przygotowaną przez Kazimierza Styrnę „Sławomira” o godz. 9 rano. Następnie udali się na rynek w Zakliczynie, gdzie wśród tłumu ludzi znajdowali się również obstawiający akcję Klemens Góral „Piorun” oraz nieznanymi z nazwiska partyzant. „Kmicic” wraz z „Błyskawicą” przeprowadzili rozpoznanie. Weszli do ratusza. Stwierdzili niewielki ruch w urzędzie oraz brak Niemców w pobliżu. Zdecydowali się kontynuować akcję. Dalsze wydarzenia wyglądały jak scenariusz dobrego filmu sensacyjnego. „Kmicic” i „Błyskawica” wyciągnęli rewolwery, rozkazując wszystkim obecnym paść na ziemię. Kasjerce polecieli otworzyć kasę i wyciągnąć pieniądze. Następnie całą gotówkę spokojnie wpakowali do teczek, nakazując, żeby leżący na ziemi ludzie nie ruszali się z miejsca przez dziesięć minut, po czym szybko opuścili budynek. „Kmicic” z teczką odszedł na miejsce zbiórki, a „Błyskawica” po dwóch minutach wrócił do budynku, oznajmiając przestraszonym pracownikom, że sprawdza, czy posłuchali rozkazu. Dopiero potem spokojnie ruszył w kierunku przeprawy na Dunajcu. Nikt nie wszczął alarmu. Obaj partyzanci dotarli nad Dunajec, gdzie czekał na nich przewoźnik. W wyniku akcji organizacja wzbogaciła się o kilkanaście tysięcy złotych, które łącznik Stanisław Jedynak „Ola” zawiózł potem do Brzeska.

Podobną akcję przeprowadził też drugi pluton dywersyjny obwodu, przed scaleniem oddział NOW pod dowództwem Józefa Wojdaka „Swobody” z Bielczy. Wyznaczył on patrol, który w połowie czerwca 1944 roku dokonał napadu na wóz pocztowy w Brzezowcu koło Brzeska. Patrol w składzie: Józef Wojdak „Swoboda”, Józef Kądziołka „Olek”, Władysław Pilch „Szary”, Józef Siudut „Kostek”, Władysław Pudełko „Skiba”, zorganizował zasadzkę na skraju lasu przy torach kolejowych z Brzeska na Słotwinę. Gdy nadjechał konny wóz pocztowy, partyzanci wyszli z ukrycia, obezwładnili

obstawę i wyciągnęli kasę. Ta okazała się za ciężka, by ją zabrać. Na szczęście otworzyła się, gdy została rzucona na twardy grunt. Partyzanci zarekwirowali pieniądze. Żandarmi, którzy nadjechali na rowerach, zostali ostrzelani i zaprzestali pościgu. Patrol dywersyjny uciekł. Niestety, w zarządzoną przez Niemców obławę wpadł potem niczego nieświadomy Czesław Goos „Gordon” z Brzeska, który w czasie próby ucieczki został zastrzelony. Partyzanci z Bielczy dowiedzieli się o tym później. Tymczasem cieszyli się z sukcesu: zdobyli 80 tys. złotych i 20 tys. marek niemieckich. Przekazano je do komendy obwodu w Brzesku.

Te zdarzenia nie uruchomiły prześladowań ludności cywilnej w obwodzie, niemniej Niemcy wzmogli działalność antypartyzancką.

W lipcu i sierpniu 1944 roku nastąpiła aktywizacja AK, która przygotowywała się – w ramach akcji „Burza” – do przeprowadzenia mobilizacji przed przyszłym powstaniem. Dowódca placówki „Dawid”, ppor. Stefan Stankiewicz „Niedźwiedź” pisał w jednym z rozkazów: *Podać mi pseudo tego, który ma kb i nie chce oddać broni, oddaję go pod sąd specjalny. Jeśli to nie należący, to podać mi nazwisko*¹. Poza gromadzeniem broni dowódca obwodu zdecydował się na akcję dywersyjną, która miała zapoczątkować koncentrację oddziałów. Zaplanowano atak na pociąg z żołnierzami niemieckimi udającymi się na front wschodni. Dowodzący tą akcją Albert Kryszczuk „Skała” wspominał: *Gdzieś w połowie lipca 1944 roku Komenda Obwodu otrzymała rozkaz z Krakowa, aby na zakręcie obok stacji Sterkowiec na linii Kraków–Tarnów wysadzić pospieszny wojskowy pociąg niemiecki. Pociąg ten nie był uwidoczniiony w rozkładzie jazdy, przejeżdżał przez stację Sterkowiec około godziny 22-giej. Przed nim na kilkanaście minut szedł normalny pociąg osobowy z Krakowa do Przemyśla, jeśli pociąg osobowy miał spóźnienie, to zatrzymywano go w Słotwinie i puszczano przed nim pociąg niemiecki pospieszny. Do przygotowania i przeprowadzenia tej akcji Komendant obwodu wyznaczył swojego zastępcę, czyli mnie. Mieliśmy trzy dni czasu, trzeba było opracować plan akcji, przygotować materiał wybuchowy i patrol saperski oraz ściągnąć pluton partyzancki „Janina” z lasów radłowskich. Dowódca patrolu saperskiego, podchorąży Edward Mamica „Żuk” ze Szczepanowa, razem ze swoimi ludźmi przygotował w oznaczonym dniu materiał wybuchowy i zapalniki. Zbliżał się wieczór. Saperzy czekali już w lesie koło toru na rozkaz „Skały” i „Żuka”, na skraju lasu omawiali jeszcze szczegóły akcji, rozpatrywali wszystkie możliwości i zagrożenia. Chodziło też o to, żeby dowiedzieć się, czy pociąg osobowy nie ma spóźnienia, bo wtedy*

¹ Rozkaz odręczny. Archiwum Jedyńka, dz. cyt., sygn. T.-6.

idzie on drugi i można pomylić się i zamiast niemieckiego wysadzić pociąg osobowy, w którym większość jedzie ludności polskiej. Następnie należało zabezpieczyć się od patroli niemieckich pilnujących toru kolejowego. Zadanie to miał wykonać pluton partyzancki, a następnie według rozkazu komendanta obwodu Franciszka Bloka „Soplicy” pluton ten po wysadzeniu pociągu, liczący 30 słabo jednak uzbrojonych żołnierzy pod dowództwem ppor. Jana Gomoły „Jawora”, z okrzykiem „hura” i używając rosyjskiego języka uderzyć na wykolejony pociąg i likwidując Niemców odbierać im broń. Zbliża się godzina 21, robi się ciemno, nadchodzi gwiazdzista letnia noc. Czekałem z niepokojem na nadejście plutonu, nareszcie na 20 minut przed nadejściem pociągu melduje się ppor. „Jawor” ze swoim plutonem, żołnierze zmęczeni i spoceni, czekali na zmierzch, by przejść polem 12 kilometrów. Czeka ich teraz ciężkie zadanie, ta garstka odważnych ma uderzyć na pociąg, w którym ma jechać 300-400 niemieckich żołnierzy. Czas nagli, „Jawor” i „Żuk” czekają na rozkaz rozpoczęcia akcji. „Skala” milczy, tocząc walkę ze sobą: czy wykonać rozkaz bez informacji z rozpoznania, która nie nadeszła, czy odłożyć akcję do następnego wieczoru. Po głębokim namyśle wydają rozkaz odwołania akcji i przełożenia jej na dzień następny, by nie narażać niewinnych ludzi w pociągu pasażerskim. Na drugi dzień, gdy już wszystko było gotowe do akcji, do Szczepanowa, gdzie oddział przygotowywał się do wymarszu, przyjeżdża oficer łącznikowy obwodu: Henryk Rusin „Strzała” i przywozi rozkaz odwołania całej akcji¹.

Nie znamy niestety wszystkich uczestników tej akcji, ale biorąc pod uwagę nazwisko Jana Gomoły „Jawora”, należy przypuszczać, że byli to żołnierze z Bielczy i Biadolina, wchodzący poprzednio w skład plutonu dywersyjnego Jan Wojdaka „Swobody”.

Wkrótce potem, pod koniec lipca 1944 roku, po wydanym rozkazie o koncentracji, powstały pierwsze bojowe oddziały partyzanckie. W placówce „Dawid” w gminie Dębno, w lasach w Jastwi, zorganizował się pluton partyzancki liczący około 30 żołnierzy. Dowódcą został Teofil Hebda „Błyskawica”. Oddział ten, jak i inne w powiecie brzeskim, napotykał niespotykaną aktywność wojsk niemieckich. Od wschodu nieubłagane nadciągał front, przez co tereny powiatu stały się bezpośrednim zapleczem działań bojowych. Nasycenie powiatu oddziałami niemieckimi skutkuje rozwiązaniem plutonu „Błyskawicy”. Następną próbą koncentracji partyzantów

¹ A. Kryszczuk, *Rys historyczny Ruchu Oporu na terenie powiatu brzeskiego w latach 1939-1945*. Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie, sygn. Arch. 05 III nr 517.



Helena Gurgul „Ala” (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Antoni Derlaga „Junak”



Partyzanci „Meteora”



Tadeusz Żółty w drodze do Kamili na pocztę

z placówki „Dawid” nastąpiła w sierpniu 1944 roku. Żołnierze AK z naszej gminy weszli w skład plutonu Tadeusza Straszynskiego „Meteora” – cicho-ciemnego zrzuconego do Polski wiosną tego roku. Jego zastępcą został Teofil Hebda „Błyskawica”. Oddział – przyporządkowany rozkazem do 16 Pułku Piechoty AK – działał na terenie lasów Jastwi i Okocimia.

Tymczasem jeszcze w lipcu – 25 VII 1944 roku – pluton ppor. Jana Gomoły „Jawora” wziął udział w osłonie operacji „Most III”. Była to udana próba lądowania na przygotowanym polowym lotnisku w Jadownikach Mokrych angielskiego samolotu, który zabrał ze sobą kilku emisariuszy oraz elementy zdobytej przez AK niemieckiej broni raketowej V-2. Po wykonaniu zadania oddział ten wyruszył w rejon koncentracji batalionu „Barbara” 16 Pułku Piechoty AK w rejon Jamnej, gdzie utworzył V kompanię tego batalionu, zachowując dowództwo ppor. Jana Gomoły „Jawora”.

25 VIII 1944 roku, w meldunku do obwodu Stefan Stankiewicz „Niedźwiedź”, dowódca placówki „Dawid” informował: *Część oddziałów pułku w polu (w lesie) przeprowadza działania partyzanckie i dywersyjne, gros sił w pogotowiu do akcji przewidzianej*¹.

Oczywiście nie wszystko szło zgodnie z planem. Oddziały partyzanckie nie składały się tylko z weteranów. Niektórzy młodzi chłopcy nie wytrzymywali trudów życia w lesie. W cytowanym meldunku „Niedźwiedź” pisał: *Został wykonany wyrok śmierci na strzelcu „Wierzba” z naszego Obwodu za dezercję z plutonu partyzanckiego – pozostawienie kb. bez opieki oraz tchórzostwo wobec nieprzyjaciela*².

Od 4 IX 1944 roku wszystkie cztery plutony z obwodu „Buty”, tworzące kompanię pod dowództwem ppor. Pawła Chwały „Skorego”, zaczęły koncentrować się w lasach Woli Stróskiej. Oddział „Meteora”, w skład którego weszli partyzanci z gminy Dębno, utworzył pluton składający się z 58 żołnierzy. Partyzanci przystąpili do szkolenia, budowy ziemianek i rozpoczęli patrole bojowe. Niestety nieznane są nazwiska członków AK z naszej gminy, walczących w tym oddziale. W źródłach wymieniony jest jedynie Teofil Hebda „Błyskawica”, który został zastępcą „Meteora”. To on właśnie dowodził jednym z patroli, który w Milówce zlikwidował bandę napadającą na gospodarstwa we wsiach Grabno, Niedźwiedza, Milówka i podającą się za oddział Armii Krajowej.

Tymczasem 25 IX 1944 roku żołnierze z V kompanii 16 Pułku Piechoty AK Jana Gomoły „Jawora” rozpoczęli bój pod Jamną.

¹ *Rozkaz odręczny*. Archiwum Jedynka, dz. cyt., sygn. T.-6.

² Tamże.

W ciężkich walkach, w których brało udział około 5 tysięcy Niemców¹, żołnierze z naszej gminy odznaczyli się walecznością i męstwem. Już 26 VIII w czasie koncentracji oddziałów w Rzepienniku Strzyżewskim, partyzanci zaatakowali konwój Niemców, zabijając sześciu wrogów, a sami tracąc jednego żołnierza². W czasie walk, już we wrześniu, V kompania odparła ataki wroga z kierunku Paleśnicy, biorąc udział w zdobyciu niemieckich moździerzy. Były to chwalebne przykłady wojennego poświęcenia, jakim wykazali się żołnierze z naszych okolic. Znamy nazwiska tylko kilku z tych, którzy walczyli pod Jamną. Byli to: Bronisław Wójtowicz „Wańko” z Bielczy, Kazimierz Malec „Korsarz” z Biadolin, Kazimierz Oćwieja „Sęk” z Biadolin, Zdzisław Szkodny „Longin”, z Biadolin, Rudolf Bodzioch „Śliwa” z Biadolin czy Józef Pater „Zawieja” również z Biadolin. Kazimierz Malec „Korsarz” został odznaczony po tej bitwie Krzyżem Walecznych³.

Niecałe dwa tygodnie później, 5 X 1944 roku, plutony partyzanckie zgrupowane w Woli Stróskiej również stoczyły walkę z wrogiem. Ponieważ wśród miejscowych badaczy historii bitwa ta wywołuje pewne spory odnośnie do jej przebiegu, pozwolę sobie oddać głos Stanisławowi Jędynakowi, który pisał: (...) szosą Paleśnica–Zakliczyn podjechały oddziały niemieckiej żandarmerii w sile około 300 ludzi. Niemcy zatrzymali się pod wzniesieniem „Mogiła” i zaraz rozpoczęli oczyszczanie terenu. Pierwsze ich oddziały natknęły się niespodziewanie na szpitalik polowy zlokalizowany na wzgórzu. Był to drewniany domek drwali leśnych. Panowała gęsta mgła i siąpił drobny deszcz. Niemcy prowadzeni przez miejscowego gajowego zaskoczyli czujkę stojącą na czacie i podeszli pod sam domek, w którym leżeli chorzy i przy nich był lekarz Władysław Mossoczy. Niemcy ostrzelali budyneczek, zabijając 4 chorych i ciężko raniąc lekarza. Wywiązała się walka trwająca z przerwami kilka godzin. Niemcy próbowali kilkakrotnie przełamać obronę obozu, ale ich ataki załamały się i w rezultacie przy zapadającym zmroku wycofali się i odjechali. Niemcy stracili 15 zabitych i nieznaną liczbę rannych, a kompania „Skorego” 10 zabitych i kilku lekko rannych⁴.

Po bitwie plutony AK wycofały się w rejon Wojakowej, gdzie 15 X 1944 roku na rozkaz komendy nastąpiła demobilizacja oddziału. Pozostawiono dwa oddziały liczące około 40 ludzi, dowodzone przez Stanisława Stacha „Turka” oraz Tadeusza Straszyńskiego „Meteora”. Należeli do nich

¹ E. Borowski, *Bój pod Jamną*, Tarnów 1996, s. 41.

² S. Derus, *Szli partyzanci*, Lubaszowa 1996, str.152.

³ Tamże, s. 155-160.

⁴ *Wspomnienia Stanisława Jędynaka*. W zbiorach autora

najbardziej zaprawieni w walkach frontowcy i ludzie „spaleni”, poszukiwani przez gestapo.

Oddziały te działały na przełomie lat 1944/1945 na terenie naszej gminy. W październiku Franciszek Cięciwa i Jan Pieszczyński z oddziału „Turka” weszli do domu sołtysa w Sufczyźnie, rozbrajając dwóch stacjonujących tam Niemców, i mimo pościgu uciekli ze zdobyczną bronią do oddziału.

Również w połowie października 1944 roku aktywny był oddział „Meteora”. Najpierw w ciągu dwóch dni rozbroił czterech Niemców w Porąbce Uszewskiej i trzech w Jaworsku, a potem stoczył w Porąbce Uszewskiej zwycięską potyczkę z 12-osobowym oddziałem Niemców, zabijając dwóch z nich. Straty własne – jeden ranny.

16 listopada 1944 roku patrol partyzancki pod dowództwem „Błyskawicy” rozbroił dwóch niemieckich żołnierzy w Łoniowej, a 22 tegoż miesiąca dwóch innych żołnierzy Wehrmachtu w Dołach. Pod koniec miesiąca partyzanci uczestniczyli w ostatniej akcji, przechwytyjąc niedaleko Zakliczyna transport masła z mleczarni do niemieckich magazynów wojskowych.

22 XII 1944 roku oficjalnie wszystkie oddziały zbrojnego podziemia na terenie naszej gminy zostały rozwiązane. Ci z żołnierzy, którzy nie mieli dokąd się udać, 5 I 1945 roku wraz z „Meteorem” i „Błyskawicą” zakwaterowali się w Porąbce Uszewskiej na tzw. Godowie – w rodzinnych stronach „Błyskawicy”. Dwa tygodnie później w granice naszej gminy weszły wojska Armii Czerwonej.

Epopeja partyzancka się skończyła, ale bohaterowie wcale nie witali nowej rzeczywistości z uśmiechem. Przeciwnie, czekało ich upokorzenie i walka o godność. Okupacja i czas wojenny to dla wielu z nich była próba charakterów, gdyż wojna zawsze budzi w ludziach najgorsze instynkty i zachowania. Ocena tamtych zdarzeń bez zrozumienia codzienności okupacyjnej napotyka na wiele trudności, zwłaszcza że nowa władza rozpoczęła akcję propagandową, deprecjonującą AK. O ile oskarżenia o to, że przez większą część wojny AK stała z bronią u nogi, nie walcząc z Niemcami, można złożyć na karb braku znajomości realiów militarnych, o tyle oskarżenia o zdradę trudno ścierpieć. Niestety, tuż po wojnie żołnierze podziemia nie mogli się bronić. Część z nich zginęła, część siedziała w więzieniu, jeszcze inni ukrywali swą działalność okupacyjną.

Najwięcej kontrowersji wzbudzał niewątpliwie pluton dywersji, któremu komuniści po wojnie zarzucili m.in. strzelanie „do swoich”. Czy tak rzeczywiście było? Kim byli ci „swoi”? Otóż była to np. akuszerka z Warysia, przez którą zginął „Dzwon” a kilkadziesiąt osób z Bielczy i Borzęcina

trafiło do Oświęcimia na skutek jej donosów. „Swoim” był także Knapp – konfident gestapo, który w powiecie brzeskim spowodował aresztowanie kilkunastu osób. „Swoje” były kobiety strzyżone przez partyzantów za kontakty z Niemcami. Jedna z nich w XI 1944 roku rozpoznała w Brzesku w Janie Bodurze „Zamku” swego „prześladowcę” i szybko doniosła na gestapo. „Zamek”, który wypełniał wtedy zadanie polegające na przejęciu i ukryciu w nowej melinie rodziny zdekonspirowanego przez Niemców granatowego policjanta współpracującego z AK, został aresztowany i przy próbie ucieczki postrzelony, a następnie wywieziony do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen, gdzie zmarł.

To z takimi „swoimi” musieli się zmierzyć partyzanci. Czy było ich dużo? Na to pytanie trudno szukać odpowiedzi. Ale pytać warto. Jak to się stało, że Niemcy trafili na Żydów ukrywających się w Dębnie? Jak to możliwe, że zainteresowali się domem Jana Rocznika „Sokoła”? Skąd mieli zdjęcie Henryka Rusina, przychodząc do niego na rewizję? Do dziś w Archiwum Bernackiego, przechowywanym w Publicznej Bibliotece w Brzesku, znajduje się podpisany z nazwiska (!) list obywatela naszej gminy do gestapo, oskarżający sąsiada o sprzyjanie partyzantom. Ile takich listów przechwyliła na poczcie Kamila Grochal?

Wojna niestety nie jest czarno-biała. Świadczy o tym przykład „fiśniętej Anki” z Łoniowej. Przypadkiem zobaczyła, jak partyzanci ukrywają broń, i w swej naiwnej, chorobliwej radości głośno krzyczała o tym, a we wsi pełno było Niemców. Cóż mieli zrobić partyzanci? Czy wyrok śmierci na „fiśniętej Ance” to zbrodnia, czy też okrutna cena za uniknięcie pacyfikacji wsi?

Przed takimi dylematami moralnymi partyzanci stawali na co dzień. Dzięki ich decyzjom wsie gminy Dębno ominęły łapanki, pacyfikacje, publiczne egzekucje. Czy było warto? „Dzwon”, „Sokół”, „Zamek”, „Pałasz”, „Orzeł” wątpliwości nie mieli.

Głupia umrzeć musi...

Andrzej Chodacki

Krwawym pąsem wstydu okryła się bukowina plebańskiego lasu.

Zadrzał dzwon na wieży strzelistego kościoła.

Z lasu wyszli i nie wrócą, póki nie dadzą dzwonowi powodu, by żałobnie zapłakał.

Z lasu wyszli i nie masz nikogo, kto by za młodym życiem wstawić się odważył.

**Bo wyrok zapadł, a głupia umrzeć musi, choć ona sama nigdy się nie dowie,
czym zawiniła światu.**

Anka nie miała nic swojego. Tylko wytartą sukienczynę na grzbiecie, połatana, że aż żal. Inne dziewczynki miały choć gałganki, które przy odrobinie wyobraźni można było ubierać i bawić się nimi, jakby to były prawdziwe lalki. A Anka nie miała nic. Bardzo ją to bolało, choć przed kim miała by się wyżalić, skoro każdy odpychał ją, a dzieci wołały za nią „fiśnięta”. Wstawiała więc codziennie rano do roboty w polu i uśmiechała się do wszystkich, wtedy kiedy było trzeba i wtedy, kiedy nie wypadało, tak więc przykleiła się do niej ta „fiśnięta” i nikt już inaczej o niej nie mówił.

Dziewczyna bardzo chciała mieć coś na własność. Coś, czego nie zabiorą jej, tak jak tych dwóch kurczaków, których doglądała w stodole. Długo płakała po tym, jak straciła ukochane ptaszki. Chciała je wykarmić, by gdy wyrosną, uciec ze wsi na ich skrzydłach. Nie udało się. Zabrali je i jeszcze zwyzywali, że głupia, gdy tłumaczyła swoje motywy. Właśnie dlatego dziewczyna zaczęła unikać ludzi, a wieczorami przychodziła pod wielki stóg siana na końcu wsi, by tu, w samotności spokojnie sobie popłakać. Stojący za stodołą ostatniego domu we wsi stóg wydawał jej się wielki i tajemniczy jak góra. Tego wieczoru też tam stała, gdy usłyszała głosy zbliżających się ludzi. Rozejrzała się wystraszona. Nie było jeszcze całkiem ciemno, jeśli ruszy teraz biegiem do domu, odkryją jej obecność i nie będzie już mogła tu więcej przychodzić. Głosy słyhać było coraz wyraźniej.

– Nie zdradzi nas? – ujawnił się pierwszy głos, zasapany, jakby człowiek wypo-
wiadający te słowa biegał za kurczakami, by je zagnać na grzędę.

– To swój człowiek, dawaj, tu chowamy – drugi głos był ciemny, jak ze studni. Anka wzdrygnęła się, wystraszyła tego głosu. Skojarzył jej się z pomrukiem wielkiego psa przed tym, zanim kłapnie uzbrojoną o ostre zęby szczęką. Skuliła się pod stogiem i nawet oddychać starała się ciszej. Serce rozszalało się w jej piersi, brudne palce kurczowo zacisnęły na podartej sukience. Dobięł ją szelest odgarnianego siana, potem jakby coś ciężkiego ciągnęli po ziemi i znów szelest.

– Dobrze przykryłeś? – znów zapytał ten zdyszany, jakby się czegoś bał.

– Koniec wsi, nikt tu nie zachodzi – uspokajał go jego towarzysz.

– Dobra, idziemy do niego, musi wiedzieć, co i jak – głosy zaczęły się oddalać i w końcu złąły się z niesionym przez wiatr szumem, przedwieczornym poszczeki-
waniem psów, nawoływaniem przez matki zaabsorbowanych zabawą dzieci. Dziewczyna wstała z kucków i wyrzała zza stogu. Dwóch roślących mężczyzn odda-
łało się w stronę wsi. Obeszła stóg, szybko rozpoznała miejsce, gdzie rozgarniane

było siano. Bała się, ale mimo to powoli wsadziła tam rękę. Długo nie napotykała żadnej przeszkody wśród szorstkich źdźbeł, aż wreszcie dotknęła czegoś twardego. Pomacała ostrożnie i doszła do wniosku, że mężczyźni ukryli w stogu jakąś skrzynię. Zanotowała ten fakt w pamięci, po czym pobiegła w stronę swojego domu. Bobik, owczarek, który pilnował zagrody, ucieszył się na jej widok, bo bardzo lubił dziewczynę, a ona przytuliła zwierzaka i szepnęła mu do ucha, żeby się nie martwił. Że to tylko partyzanty i że już sobie poszli. Bo kto by skrzynię z lasu włókł i w stogu siana chował? To wiedziała nawet ona, fiśnięta Anka. Ludzie boją się partyzantów, bo mają pistolety. Partyzanci boją się Niemców, bo mają karabiny. Tych kilka przemyśleń wystarczyło, by w głowie dziewczyny ukształtował się gotowy plan. Teraz już wiedziała, gdzie schować swoje kurczaki, żeby wyrosły na wielkie i piękne ptaki. Ludzie boją się partyzantów, więc nikt nie pójdzie szukać jej ptaków do tego stogu siana. Partyzanci boją się Niemców, więc, gdyby chcieli jej odebrać ptaki, narobi rabanu i Niemcy przegonią partyzantów.

Jej ptaki urosną spokojnie a ona na ich skrzydłach opuści kiedyś wioskę. Poczochrała raz jeszcze skołtunioną szyję Bobika i wpadła do domu przejęta. Wszystko wydawało się teraz dziewczynie proste i jasne.

Ranek był czysty, rzeński, twardy jak szkło. Na polu Kluski prace trwały już od chwili, gdy słońce podniosło się znad gęstego lasu. Ludzie zatrzymali się dopiero wtedy, gdy dostrzegli dwóch partyzantów. Mężczyźni wyszli spomiędzy upstrzonego brzoza zagajnika, a gromada robotników zaraz zbiła się w kupę, jak kury, gdy zawiśnie nad nimi cień jastrzębia.

– Po co oni...? – szeptały między sobą baby, nie odrywając wzroku od zbliżających się sylwetek. – Zły to znak, jak oni z lasu wyłazą.

Dwóch rosnących mężczyzn w wełnianych kurtkach koloru czarnego, jak dwa kruki, zbliżali się do wystraszonej ciżby. Gdy byli o dziesięć kroków od robotników, zatrzymali się, taksując wzrokiem gromadę. Dostrzegli Fiśniętą, jak kryła się za kobietami gdzieś z tyłu.

– Wiecie, po co my przyszli?! – zawołał jeden z nich. Głos jego był ciemny, jak ze studni.

Na czoło wysunął się Ignac, starszy mężczyzna, przygarbiony, z ciągle łzawiącymi, małymi oczami. Stał z zaciśniętymi pięściami, ale gdy nie udało mu się opanować ich drżenia, schował ręce do kieszeni powycieranej kurtki.

– Ale ludzie... – zaczął i obejrzał się, choć w wystraszonych oczach kobiet nie znalazł pocieszenia – zobaczcie, to dziecko jeszcze, co wy chcecie...

– Rozkazy mamy, nie może być inaczej – uciął twardo drugi partyzant.

– Czy ty Boga w sercu nie masz? Na rozkaz głupią będziesz mordował?! – Ignac znał od dziecka tego, który zaśniał się rozkazami, szurnął więc do niego twardo, zdecydowanie.

– Zamknij mordę, stary!! – tubalny głos drugiego partyzanta sprawił, że chłop schował głowę w ramionach. Tamci już ruszyli w kierunku gromady. Wyciągnęli

też ręce z kieszeni, a każdy miał w ręku pistolet. Ominęli Ignaca, którego broda trzęsa się z tłumionej rozpacz. Anka Baca śpiewała coś niewyraźnie. Śpiewała, gdy zwiastujące śmierć kruki przeszły przez milczący szpaler utkwionych w nich, zalęknionych oczu. Śpiewała, gdy wzięli ją za ręce i poprowadzili do odległego o trzydzieści kroków brzoźowego zagajnika. Padł strzał. Fiśnięta przestała śpiewać.

Z okna restauracji dudnił męski głos. Niósł się po cichej wsi pogrążonej w czujnym śnie tak, że psy zaczęły szczekać i w niektórych oknach zapaliły się migotliwe światła. Chłopak, który pilnował budynku, wracał właśnie z właścicielem restauracji, gdy doleciały do nich piski bufetowej i głośne krzyki:

– Rozkaz! Kruca fiks! Rozkaz!! Konfidenta stuknąć? Rozkaz! Żandarmom mordę obić? Rozkaz! Dziecko zabić? Rozkaz, kruca fiks!!

– Pan schowa pistolet – lamentowała bufetowa, ale tamten nie odpuszczał. Kim był agresywny osobnik i jak znalazł się o tak późnej porze w gospodzie Rocznika? Dlaczego nie wyszedł, gdy zamykano za ostatnimi gośćmi? Dość, że diabeł w niego wstąpił i dziewczyna nijak nie mogła go uspokoić. Na szczęście właściciel był już na miejscu, wpadł jak burza do sali i dał znak bufetowej, by nie wychylała się zza baru.

– Co ty, ku...wa robisz?! – Rocznik krzyknął w kierunku pijanego mężczyzny. Musieli się znać. Inaczej właściciel nie stanąłby tak zdecydowanie o parę kroków od drżącej w pijackiej dłoni lufy pistoletu.

– Ty mi też będziesz rozkazywał? – delikwent złapał się za ławę, by nie upaść do tyłu. Zza pleców Rocznika wyjrzały ostrożnie dwie głowy, ale tylko właściciel odważył się mówić dalej.

– Oddaj broń, żandarmów mi tu sprowadzisz! Nieszczęście na nas wszystkich!

– Niech przyjdą, sukinsyny! – tamten pokazał drzwi pistoletem. – Ja się nie boję.

– A Boga się boisz?! – Rocznik wyciągnął rękę do przodu. – Chcesz mieć nas na sumieniu?

– Jasiek, ty wiesz, co mi kazali zrobić? – głos mężczyzny złagodniał, jego bystre oczy, dziko płonące wcześniej, zatrzymały się na chwilę w niemym boju z gniewnym spojrzeniem gospodarza.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć – uciął ostro Rocznik. – Oddaj broń i wynoś mi się z mojej gospody, a jak jutro wytrzeźwiejesz, to pogadamy.

Uzbrojona ręka opadła na ławę. Mężczyzna usiadł ciężko i położył pistolet obok talerza z zimnym żurkiem. Właściciel natychmiast dopadł do stołu i zgarnął broń. Sprawnym ruchem odłączył magazynek. Sprawdził, czy w komorze jest nabój, po czym zabezpieczył i schował pistolet z tyłu za pasek spodni. A z siedzącego przy stole człowieka schodziło powoli powietrze.

– Szybko! – rzucił Rocznik za siebie. Podeszło dwóch ludzi i złapali wiotczącego awanturnika pod ręce.

– Jasiek, dziecko mi kazali...

– Zamknij się! – Rocznik zgromił go. – Pijany jesteś, głupot tu nie wygaduj!

– Rozkaz – wybełkotał wleczony w kierunku drzwi mężczyzna i nim tam dotarł, zwisał im na rękach bezwładnie.

– Ale się zaprawił – skwitował któryś z pomocników właściciela. Powoli ruszyli z nieprzytomnym w kierunku wyjścia. Trzeba go gdzieś zadekować do rana, żeby nie narobił jeszcze większej biedy.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – szept wyrwał księdza z drzemki.

– Na wieki wieków – proboszcz odpowiedział odruchowo w kierunku kratki konfesjonatu. Trochę było mu wstyd, że zasnął. Nie zdążył zastanowić się nad tym, w jaki sposób klęczący obok mężczyzna przeszedł bezszelestnie przez cały pusty kościół, bo doleciał go zdławiony zgrzyotą głos.

– Księżę proboszczu, zabiłem człowieka.

Zna mnie! Zabił człowieka! – w jednej sekundzie wykwitły w umyśle kapłana targane lękami spostrzeżenia. Wytężył wzrok, lecz nikłe światło wpadające do świątyni przez małe okna nie pozwoliło na identyfikację twarzy mężczyzny. Serce księdza zaczęło łomotać w piersi.

Kościół pusty, a obok klęczy zabójca! Trzeba rozwagi i spokoju. Przyszedł przecież do spowiedzi. A więc żałuje.

– Zabójstwo to straszna rzecz przed Bogiem – zaczął ostrożnie proboszcz – ale jest wojna, może jest coś, co tłumaczy twój czyn. Czy to był Niemiec?

– To było dziecko – kolejny cios. Księdzu aż zeszytniał kark.

– Jestem żołnierzem – nieznajomy podjął po chwili – dostałem rozkaz... Kazano mi zabić dziecko.

Zrobiło się nieswojo. Ksiądz tęsknie spojrzął w kierunku drzwi kościoła.

– Ale... – zająknął się – dziecko?

– Dziewczynka zdradziła nas Niemcom – głos zza kratki umilkł, potem coś jakby szloch doleciał stamtąd.

Boże ukochany, co robić? – kapłan spojrzął przerażonym wzrokiem na tłącą się przy tabernakulum czerwoną lampkę. Zaczęło mu się rozjaśniać w głowie. Oto nieszczęśnik klęczy przed Bogiem. Trzeba mu pomóc.

– Czy mogłeś odmówić? – ksiądz ścisnął mocno różaniec, bo wyczuł, że to kluczowy moment spowiedzi.

– Wtedy zginąłbym sam – usłyszał po chwili.

– Jesteś z AK?

– Tak.

– Czy żałujesz tego, coś zrobić?

Znów cisza, taka ciężka, głucha, potem płacz przejmujący, że aż skóra ścierpła kapłanowi na plecach.

– Bodajbym się nigdy nie urodził!!! – mężczyzna z łoskotem poderwał się na nogi i ruszył w kierunku drzwi. Ksiądz już podnosił rękę. Modlitwa kapłańska, modlitwa rozgrzeszenia ruszyła za potykającym się żołnierzem i dopadła go przy drzwiach, gdy przystanął na chwilę z ręką uczeponą klamki. Wtedy dłoń proboszcza

opadła, a usta wypowiedziały ostatnie sakramentalne słowa. Ksiądz zdecydował. A na kapłańskie błaganie zdecydował też i Bóg. Spowiedź skończona.

– Co, umierać będziesz, Ignac? – stary przygarbiony mężczyzna usiadł na brzegu łóżka przy swoim kompanie, który złożony chorobą nie podnosił się od kilku tygodni. Leżał wychudzony i blady, a jego twarz miała niewiele zdrowszy kolor od siwego z brudu prześcieradła. Kto by zresztą wymieniał pościel na nową? Gdzie to teraz prać w ziemie?

– Umrzeć każdy musi – odpowiedział chory słabym głosem – ale mnie nie o to, Zenuś, się rozchodzi.

Garbaty staruch przez uszanowanie zmilczał, pewnie Ignac powie coś jeszcze. A jak nie, to pytać nie wypada. Każdy tam coś ma na sumieniu, co pod koniec życia szczególnym brzemieniem mu ciąży. Pewnie i on, Ignac, ma teraz o czym myśleć. Zenkowi przyszła do głowy pewna myśl.

– Ale ksiądz z olejami u ciebie był? – ożywił się – toż ci pewnie lżej?

– Ano lżej – chory z trudem zwrócił ku niemu głowę – ale nie wszystko Bóg darować może.

Chwilę trwali w milczeniu. Małe, szare oczy leżącego zasłyły dziwną mgłą, tak, jakby wracał pamięcią do bardzo odległych wydarzeń. Walczył tak z demonami przeszłości, a jego policzki drgały z wysiłku, wreszcie na poranej upływem czasu twarzy zapadła rezygnacja. Jeszcze na chwilę wrócił spojrzeniem do żywych.

– Zenuś – zaczął i podniósł rękę, a przyjaciel ujął ją w ciepłym geście – człowiek żyje tyle lat... a na koniec dowiaduje się, po co żył.

Siedzący na łóżku starzec przygarbił się jeszcze bardziej.

Może Ignacowi w głowie się miesza? – pomyślał.

– Pamiętasz Ankę, Zenuś? – chory znów zwrócił zmęczone oczy na przyjaciela.

– Jaką Ankę? – szukał w pamięci, przesuwając oczami po zaniedbanych meblach.

– Fiśniętą.

– No jakże, co ją partyzanty zabili? – stary spojrzął i zaraz pożałował swoich słów. Ignac płakał teraz, oczy mu się rozplęwały, usta sklepiła mu gęsta ślina.

– Ignac, co tobie? – Zenek rozejrzał się nerwowo za córką chorego. Przed chwilą była na podwórku.

– Nie obroniłem jej, Zenuś – wyniszczonym ciałem chorego wstrząsnął bezradny szloch. Zenek podniósł się i wyrztał przez okno.

– Czekaj, Ignac – poklepał płaczącego po ramieniu – zaraz zawołam...

– Nie obroniłem jej – biedak płakał jeszcze mocniej, ostatnie słowa wypowiadając przez przetykane w gardle łzy. – Niech mi Bóg daruje... nie obroniłem...

ROZDZIAŁ IV

WOJNA WOJNĄ, ALE LUDZIE MUSZĄ PRZECIEŻ JAKOŚ ŻYĆ

Koncentrując się na opisach działań konspiracyjnych partyzantów, odnosi się złudne wrażenie, że podczas okupacji głównym zadaniem Polaków była walka zbrojna. W rzeczywistości dla większości ciemiężonych przez okupantów ludzi najważniejszą rzeczą było przetrwanie. Na co dzień towarzyszył im bowiem strach przed śmiercią, potęgowany przez działalność hitlerowców.

Zaraz po zakończeniu kampanii wrześniowej Niemcy przystąpili do reorganizacji administracji okupowanej Polski. Najważniejszą zmianą, która dotknęła Polaków, było utworzenie na terenach okupowanych w październiku 1939 roku tzw. Generalnego Gubernatorstwa¹ (popularnie: Generalna Gubernia). Ten twór administracyjny składał się z tzw. dystryktów, w jednym z nich – krakowskim – znalazła się gmina Dębno. Niemcy nie byli jednak w stanie obsadzić wszystkich stanowisk w administracji publicznej, dlatego nie mogli pozwolić sobie na likwidację struktur powiatowych i gminnych. Przedwojennych urzędników zostawiono na stanowiskach. 16 X 1939 roku w Tarnowie odbyła się odprawa wójtów, sołtysów i sekretarzy gminnych, w której określono nowe zasady funkcjonowania władz administracyjnych. Za niepodjęcie pracy w administracji groziła kara śmierci.

Urząd gminy Dębno znajdował się na wprost kościoła parafialnego, na piętrze tzw. kamienicy, która wówczas była własnością inwalidy wojennego Jana Ciemięgi. W tym samym budynku na parterze, ulokowano również

¹ Wbrew powszechnemu dziś przekonaniu, stolicą GG był Kraków, a Warszawę uczyniono miastem prowincjonalnym (przyp. red.).

posterunek policji granatowej. Właścicielowi pozostawiono jedynie trzy pokoje – dwa mieszkalne i jeden, w którym prowadził sklepik¹. W piwnicy znajdowało się pomieszczenie z zakratowanym oknem przeznaczone na więzienie.

W czasie okupacji skład zarządu gminy Dębno niewiele się zmieniał. Należeli do niego: wójt – Andrzej Kubala z Woli Dębińskiej, sekretarz – Julian Grochal z Dębna, urzędnik targowy – Stanisław Jedynek z Porąbki Uszewskiej, inkasent – Andrzej Paryło z Dębna, inkasent – Stanisław Kubala z Woli Dębińskiej, tłumacz – Józef Gurgul z Porąbki Uszewskiej, kierownik kancelarii – Józef Mleczek z Porąbki Uszewskiej, woźny – Jan Wołek z Woli Dębińskiej. Podczas wojny pojawiło się jeszcze trzech pracowników: instruktor rolny – Julian Kocur, egzekutor podatkowy – Władysław Ryś z Brzeska oraz pracownik skupu zwierząt – Władysław Boruch.

Niemcy nie zrezygnowali też z przedwojennej polskiej policji, nakazując jej funkcjonariuszom dalej pełnić swoje obowiązki w Generalnym Gubernatorstwie. Głównym zadaniem tej formacji były patrole prewencyjno-interwencyjne, mające na celu utrzymanie porządku wśród ludności cywilnej. W patrolu, oprócz policjantów granatowych, zawsze znajdował się co najmniej jeden żandarm niemiecki. Komendantem posterunku policji w Dębnie był niejaki Plichta. Polska policja granatowa współpracowała na terenie powiatu brzeskiego – jak i również naszej gminy – z partyzantami. Jednakże szczegółów tej współpracy, poza faktem jej istnienia, nie sposób dziś ustalić.

Żandarmeria niemiecka znalazła w naszej gminie siedzibę w zamku Jastrzębskich w Dębnie. Ulubionym miejscem przebywania niektórych żandarmów była również karczma Rocznika w Porąbce Uszewskiej.

W Sufczyźnie naprzeciw młyna, w budynku dzisiejszej wulkanizacji opon, zorganizowano w 1944 roku posterunek SS².

Kolejną instytucją, którą Niemcy adaptowali dla swoich potrzeb, była Poczta Polska, przemianowana na Niemiecką Poczta Wschód (Deutsche Post Osten). Budynek agencji pocztowej mieścił się w Dębnie, po północnej stronie szosy, obok piekarni, w miejscu funkcjonującego dziś sklepu spożywczego. Agencja pocztowa znajdowała się również w budynku gromadzkim w Porąbce Uszewskiej. Funkcję kierowniczkę poczty w Dębnie

¹ A. Kryszczuk, *Rys historyczny Ruchu Oporu na terenie powiatu brzeskiego w latach 1939-1945*. Fundacja Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego w Krakowie, sygn. Arch. 05 III nr 517.

² *Wspomnienia wojenne Józefa Migdała*, w zbiorach autora.

pełniła Kamila Grochal, którą kontrolował niemiecki urzędnik pocztowy z Brzeska.

W czasie okupacji szkoły ludowe – podstawowe, miały być otwarte. Uczono wyłącznie gramatyki języka polskiego na nielicznych przykładach z literatury, a także podstaw matematyki, przyrody, geografii fizycznej i religii. Zezwolono również na roboty ręczne, rysunki i gimnastykę. Do dyspozycji uczniów, poza podręcznikami, oddano miesięcznik „Ster”, czasopismo proniemieckie, drukowane dla wszystkich szkół powszechnych.

• KRAKÓW • LISTOPAD • 1940 • NR. • 3 •

STER

• ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY •



W rzeczywistości jednak szkoły w Jastwi, Maszkienicach, Perle, Woli Dębińskiej, Dębnie, Porąbce Uszewskiej i Łysej Górze nie pełniły swoich właściwych funkcji. Niemcy wykorzystywali je jako pomieszczenia dla wojska. *Pamiętam, że gdy w szkole w Sufczyźnie kwaterowali Niemcy, palili wtedy ławki szkolne, żeby ugotować sobie jedzenie*¹ – wspomina Józef Migdał.

Przy dębińskiej szkole utworzono nawet lecznicę dla zwierząt, gdzie przywożono z frontu wschodniego i leczono ranne lub chore konie. Z pobliskich zabudowań utworzono wtedy stajnie. Ostatecznie więc okazało się, że pomimo zezwolenia Niemców na prowadzenie edukacji, placówki oświatowe w gminie były niedostępne dla uczniów.

Jedyną instytucją, którą okupanci tolerowali w naszej gminie bez zastrzeżeń, była straż pożarna, która miała obowiązek funkcjonować na podobnych jak przed wojną zasadach.

Działalność okupanta w wyżej wymienionych kwestiach można uznać za pozorne ustępstwa, bo przecież Niemcy narzucili mieszkańcom wiele nowych, bolesnych restrykcji. Najbardziej uciążliwym obowiązkiem była kontrybucja płacona w żywności oraz w zwierzętach.

W ustalonych punktach (np. w Maszkienicach był to plac obok kościoła parafialnego) mieszkańcy musieli oddawać Niemcom podatek w postaci: mleka, zboża, krów oraz świń. Głównym żywicielem rodzin była wtedy krowa, a jej strata oznaczała głód i ubóstwo. Posiadanie tego zwierzęcia dawało nadzieję na przetrwanie. *Pamiętam dzień, w którym moja mama musiała oddać krowę, wzięła wtedy mnie i dwójkę rodzeństwa ze sobą i poszliśmy razem do punktu zbornego. Mama błagała, by zostawili nam tę krowę, bo wszyscy umrzemy z głodu. Niemiec popatrzył na nas i powiedział: „Weg”. Zostawili nam krowę. To było jak ulaskawienie od wyroku śmierci*². Systematyczne oddawanie kontyngentu Niemcy często nagradzali wódką i była to planowa polityka zmierzająca do rozpicia i degradacji mieszkańców podbitych ziem, działanie często powtarzające się w historii napaści jednych narodów na drugie. Z kolei ci, którzy nie mogli lub nie chcieli oddać swoich plonów, musieli liczyć się z surową karą wysiedlenia (czego doświadczył niejaki Paryło z Dębna), obozu koncentracyjnego lub nawet śmierci.

Oddawane zwierzęta Niemcy zabijali na miejscu, w zorganizowanych w tym celu polowych rzeźniach wojskowych. W Dębnie, w domu państwa Migdałów ulokowana była jedna z takich rzeźni. Niemcy wyrabiali tam z przywożonego bydła wędliny i konserwy. Gotowe produkty wysyłano

¹ Tamże.

² Tamże...



Zarząd gminy Dębno –1942 r.. Od lewej: Andrzej Paryło, Stanisław Kubala, Józef Gurgul, Andrzej Kubala, Stanisław Jedynek, Władysław Boruch, Julian Grochal Józef Mleczeko, Jan Wołek (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)



Zakamuflowane żarna (fot. ze zbiorów autora)



Ciężarówka przed domem dróżnika Tadeusza Żółtego (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Niemieccy żołnierze w okupowanej Polsce (fot. ze zbiorów autora)

do jednostek wojskowych. *Pamiętam, jak u nas była ta rzeźnia, co to przywozili bydło, które brali dla frontu, to wtedy spalili nam całe drewno, które mieliśmy na zimę, jak robili kiełbasy. Czasem, jak chcieli, to zamieniali ludziom krowy – jak się oddało cielę, było im wszystko jedno, czy na froncie będą jedli krowy czy cielęta¹.*

Niemiecka kontrybucja wzrastała wraz z potrzebami gospodarki nadwerżonej wojną. Szacuje się, że w pierwszym roku trwania okupacji w samym powiecie brzeskim Niemcy skonfiskowali około 3 tys. sztuk bydła².

Bilans strat materialnych polskich rodzin pogłębiali jeszcze stacjonujący w ich domach żołnierze Wehrmachtu. Trzeba przyznać, że choć frontowców niemieckich wspomina się w gminie w miarę pozytywnie: (...) *ogólnie o frontowcach nic złego powiedzieć nie mogę. Jeden z tych, co u nas mieszkali, był Ślązakiem, wróżył sobie codziennie, wieszając na sznurku obrączkę i przesuwał ją nad zdjęciem swojej rodziny, inny znowu, jak nikt z Niemców nie słyszał, mówił nam: „Hitler kaput” (...)*³, to jednak stanowili oni dodatkowe obciążenie dla mieszkańców, którzy z dnia na dzień popadali w coraz większą biedę. Wspomnienia z tamtych lat pokazują wręcz kuriozalne przypadki, w których to żołnierze Wehrmachtu dzielą się żywnością z Polakami! *W lutym Niemcy przyjechali polować na zające, wszyscy chłopcy ze szkoły musieli iść i robić za obławę i naganiać zwierzęta, ja wtedy miałem kontuzję nogi. Niemcy nastrzelali wtedy całą furmankę, ze 40 sztuk, dostałem wtedy od jednego z nich jabłko, wtedy, w lutym był to rarytas⁴.*

Czasem żołnierze niemieccy dzielili się nie tylko jabłkiem. *Jeden z Niemców, który mieszkał u sąsiada, bardzo lubił dzieci, przychodził do mnie i mówił: „Chodź, nauczę cię strzelać”. Powiesił kartkę na drzewie i strzelaliśmy do niej, może z raz trafiłem, dał mi radę: „Trzymaj karabin mocno na barku, bo inaczej wyrwie ci ramię”. Nie trafiłem w kartkę, a chybione kule leciały aż do sąsiedniej wsi. Przyjechało trzech Niemców, ja uciekłem, ci Niemcy wścikli mówili: „Kto tu strzela?! U nas kule gwizdzą! Jednemu kula przeleciała przy samej głowie!”. Ale odjechali w końcu. Na drugi dzień poszedłem z tym Niemcem polować na zające. Niemiec przykucnął i powiedział: „Musimy poczekać, aż zając stanie i podniesie uszy, wtedy strzelę”. On miał cel bardzo dobry, trafił wtedy dwa zające, jednego dał mnie, a drugiego wziął ze sobą⁵.*

¹ Wspomnienia wojenne Józefy Nosał, w zbiorach autora.

² Władysław Myśliński, dz. cyt., str. 244.

³ Wspomnienia wojenne Jana Migdała, w zbiorach autora.

⁴ Tamże.

⁵ Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika, w zbiorach autora.



Żołnierz niemiecki z dziewczyną w okupowanej Małopolsce (fot. ze zbiorów autora)



Kamila Grochal przed budynkiem poczty w Dębnie (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Kamila Grochal i Tadeusz Żółty przed budynkiem poczty w Dębnie (fot. ze zbiorów rodzinnych)

W podobnym tonie wypowiada się o niemieckich żołnierzach Wehrmachtu inny świadek tamtych dni: *Obok naszego domu mieszkał kowal z Wehrmachtu, dawał nam słodycze i pierścionki, które robił dla nas z drutu. Podczas rozmowy z moim tatą kowal płakał, opowiadał, że zostawił w domu swoje małe dzieci i nie wie, czy je jeszcze zobaczy. Umówił się z moim tatą, że jak dotrze do domu, to na pewno napisze do nas list, ale list nigdy do nas nie dotarł¹.*

Jednakże przypadkowa pozorną troską kilku żołnierzy Wehrmachtu nie poprawiła bytu mieszkańców i nie uchroniła ich od dalszych przesiedowań. Całkiem nowym zjawiskiem, z którym musieli zmierzyć się Polacy, był napływ wysiedleńców. Do naszej gminy, prawie do każdej wioski, zostało przydzielonych kilka lub kilkanaście rodzin wysiedlonych z ziem zachodnich zagarniętych przez III Rzeszę. Przybywali całymi rodzinami, choć więcej było kobiet z małymi dziećmi i starców. Dowożono ich na stację kolejową w Słotwinie, skąd rozwożono ich furmankami po wsiach, gdzie czekały kwatery przygotowane przez sołtysów na polecenie władz gminy. Tam, gdzie nie znalazło się miejsce w domu, lokowano ich na strychach domów lub w stodołach. Początkowo sołtysi organizowali zbiórkę żywności dla przesiedleńców.

Niestety rodzima ludność też cierpiała niedostatek, więc po kilkunastu tygodniach każdy musiał radzić sobie sam. Wielu pracowało u miejscowych rzemieślników, inni trudnili się krawiectwem na wypożyczonych maszynach do szycia, jeszcze inni wyrabiali miotły i kołyski², reszta po prostu pracowała w polu.

Materiały źródłowe pozwalają nam dziś wymienić jedynie kilka rodzin przesiedleńczych, które przybyły do naszej gminy. W Porąbce Uszewskiej znaleźli schronienie: Krzeszowscy u Piotra Mleczo, Srokowscy u Władysława Pacha, Michał Piotrowski z córką Lusią u Józefa Wójtowicza, Wojciechowski z dwoma synami u Franciszka Pabjana, Rybczyńscy/ Hybczyńscy u Jana Mleczi, Olejniczakowie z dwojgiem dzieci, Irena i Franciszek Łyżwowie wraz z dwójką dzieci u Teofila Mleczi, Sawiccy u Stanisława Potępy, Cholewscy u Jana Jedyńaka, Wikińscy/ Wiklinscy u Jakuba Kurala. Oprócz nich w Porąbce Uszewskiej mieszkali: Lipińscy, Wierzbiccy, Janina Bilińska, ks. Jan Teper, Tadeusz Kalinowski, Wanda Ochojska z matką i ojcem, Urbankowie. W Dębnie wysiedleńcy mieszkali u sołtysa i u Płanetów, a także, jak wspomina Józef Witek, *prawie w każdym domu mieszkali Polacy,*

¹ *Wspomnienia wojenne Józefy Budzyn*, w zbiorach autora.

² *Wspomnienia wojenne Janiny Dadej*, w zbiorach autora.

którzy zdołali uciec z kresów wschodnich¹. W Łoniowej osiedlili się Maria i Franciszek Habelowie, którzy znaleźli pracę we dworze Rudnickich jako gospodyni i furman². Z kolei w Maszkienicach, dokąd przybyło około 20 osób, część musiała mieszkać w Domu Ludowym.

Pogarszające się warunki egzystencji uruchomiły w mieszkańcach reakcje obronne. Pomysłów, by nie umrzeć z głodu, było wiele. Jednym z najprostszych był handel. Niestety nawet to zajęcie mogło się skończyć tragicznie. Mieszkańcy Maszkienic i Woli Dębińskiej jeździli pociągami, wyruszając ze stacji Sterkowiec, aby handlować w Krakowie. Oczywiście najczęściej sprzedawano mleko i jajka. Ryzyko rewizji było bardzo wysokie. Już na stacji kolejowej partole wojskowe sprawdzały podróżnych. Ponadto w centrum Krakowa można było wpaść nawet przy Bramie Floriańskiej za próbę handlu mięsem. Jedno takie zdarzenie opisuje w swych wspomnieniach pani Janina Dadej, której koleżanka złapana za „posiadanie” słoniny, została wywieziona do Oświęcimia³.

Innym popularnym szlakiem handlowym dla mieszkańców naszej gminy były bliżej nieokreślone „tereny za północnym brzegiem Wisły”. Według autorów wspomnień panowało przekonanie, że mieszkali tam zamożniejsi gospodarze, co skutkowało tym, że czasem udawało się tam kupić worek grochu czy mąki⁴. Za Wisłę na rowerze zawoziło się z kolei tytoń i spirytus.

Handel na terenie gminy w zasadzie nie funkcjonował. Otwarte były wprawdzie sklepiki (w Dębnie w budynku dzisiejszej restauracji „Pod Jesionami” działał sklep niejakiego Chrzążcza, prowadzony przez Wilhelma Bodziocha) i wyszynki (w Porąbce Uszewskiej u Andrzeja Rocznika⁵ i u Józefa Gurgula), ale ich oferta ograniczała się do podstawowych artykułów i alkoholu.

Opisane wyżej zabiegi miały na celu ratowanie się przed głodem. Mieszkańcom, mimo licznych starań, trudno było wiązać koniec z końcem. Częstą praktyką było również przywożenie z browaru w Okocimiu młóta, które później się suszyło, dodawało trochę zboża i męło na mąkę. Piekło się z tego oczywiście chleb, który za okupacji był wielkim rarytasem,

¹ *Wspomnienia wojenne Józefa Witka*, w zbiorach autora.

² Rudnicka http://www.brzesko.ws/_brzesko/documents/historia/loniowa/zks_loniowa.html

³ *Wspomnienia Janiny Dadej*, w zbiorach autora.

⁴ *Wspomnienia wojenne Józefa Migdała*, w zbiorach autora.

⁵ *Wspomnienia wojenne Józefa Witka*, w zbiorach autora.



Wagon dróżniczy (fot. ze zbiorów autora)

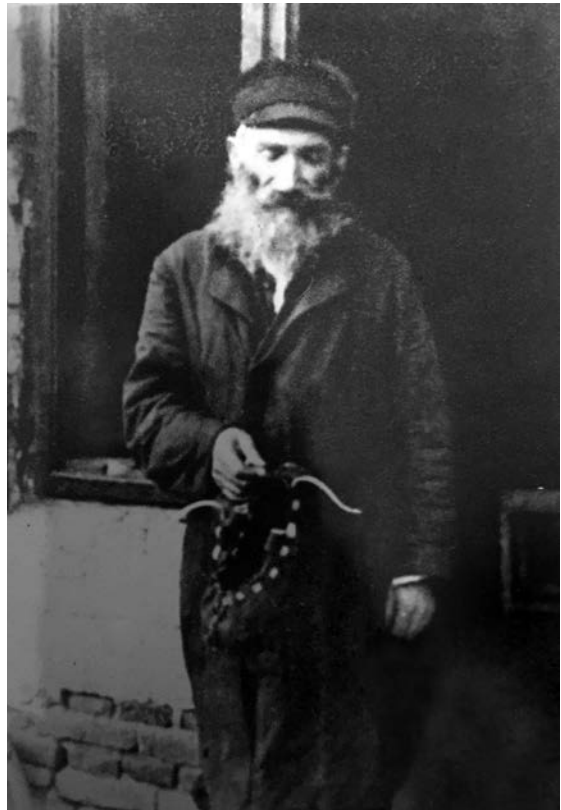


Rodzina Flądrow. Zdjęcie powojenne.
(fot. ze zbiorów rodzinnych)



Stajnie dworskie w Sufczyźnie,
w których mieścił się posterunek SS
(fot. ze zbiorów rodzinnych)

Prawdopodobnie Josek Glassner
(fot. gminna biblioteka publiczna
w Porąbce Uszewskiej)



zwłaszcza na przednówku. Niemcy w czasie rewizji zakładali plomby na wszystkie domowe żarna. Chcieli przez to zmusić mieszkańców do mielenia zbóż w młynach zarządzanych przez okupanta. W młynach tych (młyn Kolarzowskich w Łoniowej oraz młyn Rudnickich w Sufczyńie) każdy, kto przynosił zboże w celu zmielenia, musiał oddać część mąki, tzw. odsyp¹, na rzecz Rzeszy. Oczywiście tylko nieliczni mieszkańcy zawozili swoje cenne zapasy zboża do młyna. Z brakiem żaren radzono sobie na wiele sposobów. *Tatusz mój wpadł na pomysł i zrobił takie byle jakie żarna, które Niemcy zaplombowali, a te dobre schował w piwnicy. Wtedy ludzie ze wsi przychodzili do nas, żeby sobie zmilić zboża².* Do dziś ludzie, którzy przeżyli okupację, mają wielki szacunek dla chleba, całują go, gdy spadnie, znaczą krzyżem przed pokrojeniem i wspominają smak domowego bochenka, zwłaszcza z popularnym wówczas żurkiem *przyrządzanym na serwatce i ziemniakach³.*

Niedożywienie powodowało spadek odporności organizmu i było przyczyną licznych problemów zdrowotnych ludzi wycieńczonych okupacją. Ówczesną zgorą była czerwonka, na którą zapadało wiele osób. Chorzy bardzo często umierali, zanim dowieziono ich do lekarza w Brzesku. *Drogi były w opłakanym stanie, jesienią czy wczesną wiosną z Łysej Góry musiano jechać w cztery konie do Brzeska, bo inaczej grzęzło się w błocie. A do szpitala wozem z kołami bez opon nawet się nie opłacało jechać, chory często nie wytrzymał jazdy na „kocich łbach” i umierał w drodze⁴.*

Bieda skłaniała ludzi do niegodziwych zachowań. Miarą upadku obyczajów był wzrost liczby kradzieży w gminie. Łupem złodziei mogło paść dosłownie wszystko, co zostawało bez opieki przy zabudowaniach domowych, a co można było potem sprzedać. *W nocy pies zaczął szczekać, tata chciał wyjść na zewnątrz, sprawdzić, co się dzieje, patrzymy przez okno, a tam wynoszą naszą świnię, na takim długim kiju, z odciętą głową. Często kradziono krowy i inne zwierzęta. Ukradli nam raz krowę z cielęciem, ale zostawili ją pod lasem⁵.*

Wyjątkowo destrukcyjnym zarządzeniem okupanta był przymusowy udział Polaków w pracy, zarówno w Niemczech, jak i w Polsce. Do 1944 roku „na roboty” do Niemiec wyznaczano odpowiednią liczbę młodych ludzi,

¹ Wspomnienia wojenne Józefa Witka, w zbiorach autora.

² Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika, w zbiorach autora.

³ Wspomnienia wojenne Kazimiery Pach, w zbiorach autora.

⁴ Wspomnienia wojenne Józefa Migdała, w zbiorach autora.

⁵ Wspomnienia wojenne Józefy Budzyn, w zbiorach autora.

których listy w każdej wsi miał tworzyć sołtys. Dzięki staraniom Armii Krajowej (nadgorliwych sołtysów karano chłostą) szybko przyjęto standard wyznaczania młodych mężczyzn z domów, w których było minimum dwóch braci. Takie rozwiązanie nie zadowalało oczywiście wskazanych na roboty, dlatego bardzo często zdarzały się „dezercje” – ludzie wyznaczeni do wyjazdu po prostu nie zgłaszali się do punktu zbornego, ukrywając się potem przed niemieckimi żandarmami. Z dostępnych materiałów źródłowych można odtworzyć listę 34 osób wywiezionych na roboty do Rzeszy z Porąbki Uszewskiej¹. Niestety nie wiadomo, ilu ludzi wywieziono z pozostałych miejscowości. Jedną z wywiezionych na przymusowe roboty do Niemiec była babcia Andrzeja Chodackiego, jednego z autorów tej książki, Julia Zarzycka z Porąbki Uszewskiej.

Mieszkańcy, którzy chcieli uniknąć wywiezienia, mogli sami zgłosić się do pracy ważnej dla Niemców na terenie gminy. Możliwości takich nie było jednak dużo. W Dębnie można było zatrudnić się we dworze mieszczącym się w zabudowaniach zamkowych. Niemcy przejęli posiadłość od właścicieli zamku, Jastrzębskich, przekształcając ją w produkcyjne gospodarstwo rolne. Zarządcą dworu podczas okupacji był mężczyzna o nazwisku Tomasik², volksdeutsch pochodzący z Wielkopolski³. Cały kompleks ciągnął się od cmentarza parafialnego aż do drogi prowadzącej do Porąbki – do miejsca, gdzie mieści się budynek niegdysiejszej „Pulpy”. W skład zabudowań wchodziły jeszcze domy mieszkalne parobków dworskich, tzw. czworaki, stajnie, spichlerz, sady, łąki i oczywiście pola uprawne.

Hodowano tam około 40 krów i 22 konie⁴. Można więc było dostać pracę przy zwierzętach i oczywiście oprócz tego okresowo rekrutowano także do prac polowych. W gospodarstwie znajdowała się maszyna parowa służąca do młócenia zboża, tzw. lokomobil. *Pracowało się od 7 rano do zmroku na terenie dzisiejszej „Pulpy”, gdzie dowożono zboże i układało w „styrty”. Maszynę na drewno i węgiel, która w kotle wytwarzała 10 atmosfer, trzeba było rozpaścić na 7 rano, no więc w poniedziałki po niedzieli trzeba było wstać o 2 w nocy, by to zrobić. Samą młockarnię obsługiwało 15-16 dziewcząt. Zboże składowano w spichlerzu koło „końskiej stajni” – dziś naprzeciw cmentarza koło Zamku, a siano na stertach. Niemcy przyjeżdżali*

¹ Archiwum Jedynaka, dz. cyt., sygn. T. – 6.

² *Wspomnienia wojenne Anny Bodzioch*, w zbiorach autora.

³ *Wspomnienia wojenne Józefa Witka*, w zbiorach autora.

⁴ *Wspomnienia wojenne H. Sachy*, w zbiorach autora.

i zabierali zboże co jakiś czas. Po robocie ja jako maszynista już po zmroku musiałem maszynę posprawdzać, poodkręcać, posmarować¹.

Pracą „u Niemca” można było osiągnąć zapłatę wynosząca 50 kg pszenicy lub żyta bądź też 30 złotych miesięcznie². Nie to jednak było najważniejsze. Pracownicy tego gospodarstwa otrzymywali zaświadczenie, które chroniło ich przed trafieniem na listę do wyjazdu w głąb Rzeszy.

Pracy, która zwalniała od wywózki, można też było szukać u dróżników, np. Michała Chlupki³, Górala⁴ lub Tadeusza Żółtego⁵ w Dębnie. Mieli oni ważne dla okupanta zadanie: utrzymanie drożności dróg – zwłaszcza zimą. W tamtym okresie drogi były jeszcze bite, co powodowało powstawanie w nich wielu ubytków, które należało nieustannie naprawiać. Mieszkańcy przynosili do dróżnika kamienie, które układano na przyzmy, otrzymując w zamian zaświadczenie z informacją o ilości dostarczonego surowca. Taki dokument był niezbędny do otrzymania wypłaty⁶.

№ 0

6 Raportu tury drogowy w Borzesku

Miotła Wit kamieszkaty w Łoniowach
pracuje na drodze Dąbno Międzyrzecze Str. 33
od dnia 12/4 r 1942 jako stary robotnik
potrzebny jest do robot drogowych do tyłto jest
jedyny robotnik do pomocy w okoliczności Górala
do równania przełamowi i tłuścowa kamieni

AUSSENSTELLE TAL 10W
STRASSENBAUPOSTELLE KHAK&U

potwierdzenie j. r.
30/6 1942

Weseloie dni 30/6 1942
Ochłiaren

Złowicz

¹ Wspomnienia wojenne H. Sachy, w zbiorach autora.

² Wspomnienia wojenne Anny Bodzioch, w zbiorach autora.

³ Wspomnienia wojenne Stanisława Jedynaka, w zbiorach autora.

⁴ Kartka z izby pamięci Łoniowej.

⁵ Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika, w zbiorach autora.

⁶ Tamże.

Wywózki, a nawet przypadkowego aresztowania w łapance, można było również uniknąć, zatrudniając się w kuźni. Miejscowe kuźnie pracowały pełną parą i stale potrzebowały pracowników. Popyt na wszelkie prace kowalskie napędzały wojska niemieckie, których tabor i administracja okupacyjna nie do końca były zmechanizowane, jak wynikałoby z obiegowej opinii. *Byłem kowalem w kuźni Chodackiego. Majster kazał mi zrobić zdjęcie, pojechałem do Brzeska, zrobiłem zdjęcie i pojechałem furmanką z tatą do Tarnowa do komendy niemieckiej po zaświadczenie, że pracuję w kuźni dla Niemców. Furmankę zostawiliśmy przy Wielkich Schodach. Na komendzie Niemiec łamaną polszczyzną pytał, po co przyszliśmy, tato powiedział, że syn kuje konie dla Niemców. Niemiec poklepał mnie po ramieniu i powiedział: „Będziesz pracował z nami wspólnie”¹.*

Bardzo dużym obciążeniem dla mieszkańców był przymusowy udział w tzw. Baudienście. Młodzi mężczyźni w wieku przedpoborowym byli wcielani do tej, utworzonej z inicjatywy Hansa Franka w 1940 roku, Służby Budowlanej w Generalnym Gubernatorstwie (Der Baudienst im Generalgouvernement). Do Baudienstu rekrutowano młodzież na okres od trzech do sześciu miesięcy. Byli oni umundurowani i skoszarowani, podlegali też systemowi przepustek. W okresie służby wypłacano im żołd – 1 zł dziennie. Członkowie Baudienstu wykonywali prace melioracyjne, budowali drogi, linie kolejowe oraz umocnienia. Jednak gdy zaszła taka „potrzeba”, okupant wyznaczał ich np. do sprzątania zwłok, jak na przykład w Brzesku po likwidacji getta.

Punkt zborny tej organizacji w naszej gminie był przed budynkiem gminy Dębno, obok tzw. kamienicy znajdującej się naprzeciwko kościoła parafialnego. Najbliższy obóz Baudienstu, w którym służyli mężczyźni z gminy Dębno, mieścił się w Radłowie. W 1943 roku Polacy pracowali przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, bunkrów i transzei w Zgłobicach i Mikołajowicach nad Dunajcem. Okopy budowane były z drewnianych bali, które układano „na krzyż”, pokrywano blachą i zasypywano ziemią.

Młodość poborowych powodowała, że czasem tę uciążliwą służbę starano się traktować dosyć lekko. *Pamiętam* – opowiada Józef Witek – *jak po zbiórce zaczęliśmy w szeregu śpiewać: „Baudienst nęci, Baudienst kusi, do Baudienstu iść się musi” (...)* *po odśpiewaniu ruszaliśmy do pracy. Pilnowaniem zajmowali się wtedy głównie Ukraińcy, służący w niemieckiej armii jako ochotnicy*². W obozie jednak panowała surowa dyscyplina i tam

¹ Tamże.

² *Wspomnienia wojenne Józefa Witka*, w zbiorach autora.

żarty się kończyły. Codziennie rano na dziedzińcu odbywała się zbiórka i liczenie. Komendant miał obowiązek przypominać wszystkim, że w przypadku dezercji każdy zostanie zastrzelony¹.

Któregoś dnia, kiedy szliśmy na roboty, przechodziliśmy obok jednostki karnej, z której wypuszczono jakiegoś mężczyznę, zatrzymał go Niemiec. Nie obchodziło go to, że miał przepustkę, i zapędził go do pracy. Gdy byliśmy przy bramie, mężczyzna przeskoczył ogrodzenie i uciekł, jeden z Niemców zaczął go gonić, ale inny krzyczał: „Hermann Hermann!”. Nie pozwolił mu ścigać uciekiniera, zaczął strzelać².

Panująca w obozach surowa dyscyplina, niewolnicza praca i głód powodowały, że mimo groźby śmierci wiele osób decydowało się na ucieczkę. *Nocowaliśmy w Radłowie. Strażnicy grali w karty z miejscowymi dziewczynami, ktoś otworzył okno, ale pierwszy, który uciekał, zrobił hałas drewniakami i już nie można było tą drogą. Rano po liczeniu schowałem się z kolegą w szafie. Tak siedzieliśmy, gdy do pokoju wszedł sprawdzić gestapowiec, komendant obozu w Wojniczcu, był bez ręki. Powiedział: „Może ktoś ukrył się pod łóżkiem, a może w szafie”. Gdy to usłyszałem, serce podeszło mi do gardła, ale dziewczyny, śmiejąc się, stwierdziły, że chyba by musieli być bardzo mali, żeby tam się schować. O mało co się tam nie udusił, ale udało się³ – wspomina Józef Migdał.*

O ile Baudienst można uznać za służbę niebezpieczną i ciężką, to roboty przymusowe w skoszarowanych obozach były zwykłym niewolnictwem. Od 1944 roku z każdego domu ktoś musiał się zgłosić do prac fortyfikacyjnych. O ile mieszkańcy pracujący przy umocnieniach nad brzegiem Dunajca wracali co wieczór do domów, by rankiem zameldować się z powrotem na miejscu, o tyle osoby wyznaczone do budowy drugiej i trzeciej linii tranzei były skoszarowane w obozach pracy. Mieszkańcy naszej gminy zostali przydzieleni do obozów w Gnojniku i Wiśniczu. Obóz w Gnojniku założono 15 sierpnia 1944 roku. Przymusowych robotników przetrzymywano w dwóch stodołach znajdujących się na terenie folwarku. Kobiety osobno, mężczyźni osobno. Powierzchnia, na której znajdował się obóz, była ogrodzona wysoką siatką, zakończoną u góry drutem kolczastym. Kompleksu pilnowało wojsko. Pracowano przy budowie okopów, tranzei i w tartaku, który znajdował się tuż przy ogrodzeniu. Drewno służyło do budowy bunkrów i gniazd ogniowych. Jednorazowo w obozie pracowało

¹ *Wspomnienia wojenne Józefa Migdała*, w zbiorach autora.

² Tamże.

³ Tamże.

około 500 robotników przymusowych. Natomiast przez cały czas działania kompleksu przeszło przez niego około 12 000 osób¹.

Obóz w Wiśniczu był zorganizowany podobnie jak obóz koncentracyjny. Rzędem stały drewniane baraki. Wewnątrz znajdowały się okrągłe belki, między którymi rozłożono słomę do spania. Na środku pomieszczenia ustawiono żelazny piec. Cały obszar ogrodzono drutem kolczastym. W obozie, oprócz miejscowych robotników, przebywali też byli powstańcy warszawscy. Obozu pilnowało wojsko i żandarmeria. Każdego ranka więźniowie wychodzili na plac, gdzie odbywała się zbiórka i liczenie ludzi. Później odprowadzano ich do kopania umocnień.

Zdarzały się ucieczki. Niektóre były tragiczne w skutkach, jak wtedy, gdy zastrzelono dwie dziewczyny ukrywające się na dachu baraku. Jednak wiele prób ucieczki z obozu zakończyło się powodzeniem. Józefa Nosal z Dębna zdołała uciec podczas kopania okopów. Ukryta w stodole, w sianie przetrwała poszukiwania i pościg, szczęśliwie docierając do domu. Musiała się potem ukrywać, podobnie jak cała rodzina, która obawiała się z tego powodu represji. Na szczęście niepomyślna dla Niemców sytuacja na froncie spowodowała, że nie mieli czasu i środków, by skutecznie ścigać wszystkich uciekinierów².

Opisując obozy pracy, trzeba wspomnieć o jeszcze jednym miejscu, znajdującym się w Woli Dębińskiej. „Obóz” ten zlokalizowany był w zarekwirowanej państwu Bilińskim stodole na Dwojanowie i otoczony był kilkunastometrowym ogrodzeniem z drutu. Przetrzymywano tam mężczyzn – najprawdopodobniej jeńców rosyjskich, którzy pracowali na stacji kolejowej w Biadolinach oraz w lesie przy niemieckim składzie amunicji. Codziennie prowadzono ich pod eskortą wojskowych z Dwojanowa do Biadolin i z powrotem. Miejscowi starali się im pomagać. (...) *jakaś starsza babcia rzucała więźniom za ogrodzenie coś do jedzenia. Niemcy się odgrażali, ale nic jej nie robili*³. Sytuacja ta nie trwała długo, gdyż obóz zlikwidowano zimą 1944 roku.

Niepowodzenia Niemców na froncie zbiegły się w czasie z zaostreniem polityki okupanta na terenach mu podległych. Od 1944 roku na terenie gminy Dębno wzmożła się częstotliwość rewizji i tzw. łapanek. Niemcy decydowali się nawet przeprowadzać je w nocy⁴. Oczywiście poszukiwano

¹ *Hitlerowskie obozy pracy w regionie brzeskim*. Archiwum Bernackiego sygn. BR-ARKB-K001-T0009.

² *Wspomnienia wojenne Józefy Nosal*, w zbiorach autora.

³ *Wspomnienia wojenne Józefy Budzyn*, w zbiorach autora.

⁴ *Wspomnienia wojenne Józefa Witka*, w zbiorach autora.



Żołnierze niemieccy na kwaterze w polskim domu (fot. ze zbiorów autora)



Przesiedleńcy w gminie Dębno

ukrywających się robotników wyznaczonych do wyjazdu do Rzeszy lub uciekinierów z Baudienstu. W praktyce jednak zabierano często zarówno mężczyzn, jak i kobiety zdolnych do pracy fizycznej, bez względu na to, czy byli oni poszukiwani, czy też nie. *Młóciłam w żarnach, przyjechali mundurowi z witkami w rękach, powiedzieli mi, żebym szła do gminy myć okna, ale tak naprawdę chcieli mnie wywieźć do Niemiec. Weszłam do komórki, żeby niby się ubrać, otworzyłam okno, wyskoczyłam i uciekłam na Szwaby w stronę rzeki, a oni strzelali za mną¹.*

Taka polityka władz okupacyjnych wzbudzała ciągły strach i poczucie zagrożenia. Terror stał się podstawowym narzędziem polityki Niemców na zajętych terenach. *Pamiętam, jak Niemcy otoczyli Dębno i zrobili łapankę. Złapali moją siostrę, ale udało jej się uciec. Niemcy byli wściekli, powiedzieli w domu, że oni tu po nią wrócą. Żyliśmy w ciągłym strachu².*

Mieszkańcy próbowali samorzutnie organizować jakiś system ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem. (...) *jak szła łapanka, to Sacha z Dębna jechał na koniu i nas ostrzegał, trzeba było uciekać, żeby nie wywieźli do Niemiec na roboty. Niestety nie zawsze się to sprawdzało. Raz bez ostrzeżenia wojsko otoczyło wioskę. Nie miałem, gdzie uciec, więc uciekłem na strych, schować się w sianie. Na moje szczęście nie szukali na strychu – opowiada Edward Powroźnik³.*

Największą potwierdzoną źródłowo łapankę przeprowadzono w lipcu 1944 roku. Pewnego dnia o świcie nieopodal młyna Rudnickich w Sufczynie zatrzymało się kilka ciężarówek z niemieckimi żołnierzami i granatowymi policjantami. Świadkowie wspominają o około 200 żołnierzach. Okupanci zaczęli przeszukiwać dom po domu w Sufczynie. Na szczęście mieszkańcy wsi zostali uprzedzeni przez wywiad AK i w domach Niemcy zastali tylko dzieci i starców. Inni tymczasem, ostrzeżeni wcześniej, ukrywali się w lesie, w swoich kryjówkach, a nawet w zbożu. Łapanka przeszła przez Sufczyn, Łysą Górę, Jaworsko oraz Gwoździec, gdzie wojsko wsiadło do ciężarówek i odjechało w kierunku do Tarnowa⁴. Na szczęście w tym przypadku odbyło się bez ofiar.

Osobną grupą ludzi prześladowanych przez faszystów, i to w sposób szczególnie okrutny, byli wyznawcy judaizmu. Stanowili oni integralną część ludności Polski i w naszym powiecie mieszkali, pracowali i prowadzili

¹ Wspomnienia wojenne Zofii Jakubas, w zbiorach autora.

² Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika, w zbiorach autora.

³ Tamże.

⁴ A. Kryszczuk, dz. cyt., str. 12.

interesy od bardzo dawna. Dzieci żydowskie uczęszczały, podobnie jak polskie dzieci, do wiejskich szkół, a jedynie na nauki religijne chodziły do Brzeska. Okupacja niemiecka przyniosła tej społeczności prawdziwą zagładę. Stopniowa izolacja Izraelitów przerodziła się później w dotkliwe prześladowania. Wyrzucano Żydów z mieszkań, sprowadzając na ich miejsce rodziny niemieckie. Gdy okupanci rozpoczęli akcję zsyłki na roboty do Rzeszy, Żydom nakazano pracować w odizolowanych zakładach krawieckich w Brzesku oraz przy remoncie dróg na odcinku Kraków–Tarnów. Po utworzeniu getta w Brzesku wiosną 1941 roku zamknięto w nim około siedmiu tysięcy Żydów z całego powiatu.

Tylko w pierwszych miesiącach istnienia getta Żydzi mogli je opuszczać za specjalną przepustką. Później wychodzili już tylko pod eskortą, gdy prowadzeni byli w celu podjęcia niewolniczej pracy na rzecz Niemców.

Niestety nie znamy wszystkich mieszkańców wyznania mojżeszowego z naszej gminy. Źródła są niezmiernie skąpe, a te, które istnieją, często są ze sobą sprzeczne.

W Porąbce Uszewskiej, na Rędzinach pod Godowem, w starym, drewnianym domu pokrytym strzechą mieszkała czteroosobowa rodzina Joska Glassnera¹ (rodzice wraz z dwoma synami). Mieszkańcy żartobliwie przezywali Joska „Capek”, a on, nie obrażając się, uznawał to przezwisko za swoje drugie imię. Jasek posiadał krowę oraz mały zagon przy domu, ale utrzymywał siebie i swoją rodzinę z handlu. Chodząc od domu do domu, skupował wszystko to, co zbywało gospodarzom, m.in. złom, skórki z królików i krów, butelki, kopyta końskie, wełnę, świńską szczecinę, szmaty, kości, papier, zwierzęta przeznaczone do dalszego chowu lub na rzeź. Nie handlował jedynie końmi, bo jak twierdził: *Na koniach trzeba się znać, by nie stracić*. Jego przybycie zapowiadało głośno wykrzykiwane motto: *Żielazo, śmaty, skórki, szczeci!* Starsi ludzie często żartobliwie dokładali do tego słowa: *i małe dzieci*. Gdy w grę wchodziło kupno krowy, Jasek oprócz ustalonej ceny, dorzucał „pastuchowi” tzw. postronkowe. Mieszkańcy wspominali jego postać z sentymentem².

Jasek Glassner został wraz z żoną wywieziony do getta w Brzesku. Gdy jeszcze Niemcy pozwalali je opuszczać, „Capek” wrócił zaopatrzyć się w żywność. Sąsiedzi proponowali, by nie wracał do getta, lecz odmówił. Zakupiony towar (cebule, fasolę, boczek, groch, ziemniaki) przewieziono do jednego z domów graniczących z gettem. Jasek całą drogę przebył

¹ Archiwum Jedyńska, dz. cyt., sygn. T-4.

² Tamże.

furmanką, ukryty w słomie pod siedzeniem¹. Został wraz z żoną zamordowany, tak jak wielu innych Żydów z brzeskiego getta.

Istnieją poszlaki, które wskazują, że ich dwaj synowie ukrywali się u rodziny Buziaków w Dołach. Niestety, ich późniejsze losy są niejasne, przypuszczalnie zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach od kul niemieckiego żandarma latem 1943 roku².

Na granicy wsi Dębno i Porąbka Uszewska mieszkała, a w zasadzie ukrywała się, rodzina Hermana, którego we wsi nazywano „Heślą”³. Herman wymieniany jest w źródłach pod różnymi nazwiskami: Glassner⁴ lub Kreiswirt-Glassner⁵. Po wojnie zaś, na listach, które wysyłał do zaprzyjaźnionej rodziny, podpisywał się nazwiskiem Sperber.

Heśla mieszkał w jednym domu ze swoją rodziną oraz bratem i jego rodziną⁶. Liczba członków tej rodziny nie jest pewna. Istnieją wzmianki o siedmiu⁷, ośmiu a nawet szesnastu⁸ osobach! Z kolei we wspomnieniach o Janie Brzeskim, lekarzu, który był obecny przy porodzie żony Hermana – Reginy, podano informację, że była to rodzina dwunastoosobowa⁹.

Herman nie ukrywał się, z tym że odmówił przeniesienia się wraz z rodziną do getta w Brzesku i pozostał we wsi wbrew ówczesnym niemieckim rozporządzeniom. Postanowił jedynie ukryć swoich bliźkich w nowo wybudowanej stajni w Porąbce Uszewskiej¹⁰. Kryjówka została wykryta przez Niemców i 26 października 1942 roku grupa żandarmów niemieckich, pod dowództwem Johna Lapscha wraz z grupą granatowych policjantów, dokonała egzekucji całej rodziny. Sama zbrodnia jest różnie

¹ Tamże.

² Tamże.

³ *Wspomnienia wojenne pani Hebdy*, w zbiorach autora.

⁴ Tutaj możliwa pomyłka źródłowa. W ludzkiej pamięci zacierają się szczegóły, stąd dwóch różnych ludzi wymienia się pod tym samym nazwiskiem. Archiwum Jedynaka, dz. cyt., sygn. T-4.

⁵ Tamże.

⁶ *Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika*, w zbiorach autora.

⁷ Tamże.

⁸ Otóż niejaki Herman Sperber wystawił na cmentarzu w Brzesku tablicę ku wiecznej pamięci zamordowanych w Dębnie 26 X 1942 roku: Faiga Sperber, Lola Sperber jej dzieci: Maryla, Celina Sperber, Donia Sperber, Paulina Sperber jej dzieci: Maryla, Cesia Sperber, Broniek Sperber, Janek Sperber, Renia Sperber, Michał Sperber jego żona Regina, ich dzieci: Maryla, Celina Sperber, Janek Sperber.

⁹ www.sprawiedliwi.org.pl – Jan Brzeski

¹⁰ *Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika*, w zbiorach autora.



Adam Bartosz (w środku) z rodziną



Albert Kryszczuk z żoną i dziećmi
(fot. ze zbiorów rodzinnych)



Straż pożarna z Dębna 1938 rok

przedstawiana w źródłach. Według niektórych wspomnień pierwszy miał zginąć Herman, ale wykorzystując zacięcie się pistoletu dokonującego egzekucji Lapscha, poderwał się do ucieczki. Granatowi policjanci, którzy byli obecni przy egzekucji, natychmiast rzucili się w pogoń, a żandarm dokonał rozstrzelania. *Widziałem, jak wyprowadzali Żydów ze stajni, w której się ukrywali. Herman przyklęknął na prawe kolano, Niemiec szykował się do strzału, a Żyd nagle uciekł, został postrzelony w rękę. Pieszko uciekł do lasu jastewskiego. Lapsch zrobił zbiórkę na wsi, mieszkańcy chodzili przeszukiwać las raz w jedną, raz w drugą stronę¹.*

Jan Macheta, inny świadek tych zdarzeń, twierdzi, że Herman nie miał być zastrzelony jako pierwszy. Macheta wspominał, że słyszał pięć pojedynczych strzałów, chwilę ciszy i jeszcze serię wystrzałów. Na miejscu egzekucji – gdzie zaprowadzili go Niemcy, by wraz z Józefem Sachą zajął się zakopaniem zwłok – zobaczył na ziemi ciała leżące obok siebie twarzą w dół, ale między czwartym a szóstym było puste miejsce...

Trudno jest przedstawić jednoznacznie przebieg ucieczki Heśli z miejsca egzekucji. Według niektórych mieszkańców pamiętających tamto wydarzenie Herman uciekał pieszo, inni zaś twierdzą, że zbiegł, porywając konia z kuźni, która była własnością Piotra Latochy². Dalsza trasa ściganego miała wieść przez Biesiadki, Doły lub też według niektórych przez Jastew. Na końcu Heśla trafił znów do Dębna, co jest bezsprzecznie ustalone. Przez ponad dwa lata okupacji ukrywał się bowiem w kryjówce za fałszywym filarem w stodole rodziny Flądrow. Ile dramatów osobistych i rodzinnych musiało towarzyszyć tym ludziom przez lata okupacji! Zamknięty całymi dniami na strychu, Herman swobodnie czuł się tylko w nocy, kiedy czasem wychodził, a z drugiej strony gospodarz Flądro, który mimo grożącej mu kary śmierci za ukrywanie Żyda, nigdy go nie wydał! Trudnych chwil niestety nie brakowało. Prawdopodobnie Herman wraz z trzema młodymi mężczyznami wybrał się któreś nocy do zamkowych stajni, będących pod niemiecką opieką, by ukrąść świnię. Niemcy, wykorzystując psy, natrafili na trop złodziei, który doprowadziły ich do domu na Domoniach. Sprawców aresztowano i dotkliwie pobito, choć szczęśliwie Hermana nie odnaleziono i nie powiązano z tą sprawą. Ostatecznie kwestię kradzieży świni miał zatuszować sowitą łapówką Sacha, który prawdopodobnie wiedział o Heśli i bał się konsekwencji dla całego przysiółka czy nawet wsi, gdyby Niemcy znaleźli ukrywającego się Żyda.

¹ *Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika*, w zbiorach autora.

² Archiwum Jedynaka, dz. cyt., sygn. T-4.

Hermanowi udało się przetrwać okupację niemiecką. Po wyzwoleniu wyjechał do USA, gdzie ożenił się powtórnie.

Wśród wspomnień okupacyjnych, pojawia się również historia kilku kobiet wyznania mojżeszowego zamordowanych latem 1942 roku przed posterunkiem żandarmerii niemieckiej, znajdującym się w domu dróżnika Michała Chlupki w Porąbce Uszewskiej.

Po raz kolejny materiały źródłowe w tej kwestii nie są spójne. Były to więc najprawdopodobniej matka i trzy córki lub też dwie kobiety i ich dwie córki¹. Chcąc uniknąć getta, miały w Dębnie szukać swej rodziny (wydaje się, że mogła to być rodzina Hermana). Kiedy przybyły na miejsce, dowiedziały się o jej rozstrzelaniu. Zdezorientowane i załamane kobiety poszły na niemiecki posterunek, gdzie postanowiły czekać na Niemców, którzy byli w tym czasie na patrolu. Po powrocie na posterunek żandarmi natychmiast je rozstrzelali. Oprawcy nakazali sołtysowi zabrać zwłoki i pogrzebać w lesie plebańskim, gdzie znajdował się cmentarz zwierzęcy.

¹ Archiwum Jedynaka, dz. cyt., sygn. T-5.

Śmierć daj mi, Boże!

Andrzej Chodacki

**Prosiłam Boga o miłość. Ten dar największy, najcenniejszy.
Jeden był człowiek, który ten dar chciał podjąć i przeżyć wraz ze mną.
Teraz zabrała go nienawiść.
Dziś proszę więc Boga... o śmierć!**

– Panie Heńku, mówię panu, widziałem na własne oczy – kościelny ściszył głos zwyczajem ludzi pozostających w nieustannej konspiracji.

– Może tak tylko chodzi, bo ciekawy? – siwy, zmęczony życiem mężczyzna nie dopuszczał do siebie oczywistych faktów, jakby zapomniał, że sam kiedyś był młody. Miał zatroskaną twarz, bo sprawa dotyczyła jego syna, Franka.

– I wystaje godzinę dziennie pod płótem getta?

– A ta dziewczyna?

– Stoi po drugiej stronie, w takim zaułku za płótem, gdzie Niemcy nie łążą. Mówię panu, chłopak na złą drogę schodzi.

– A ja myślałem, że on codziennie chodzi na mszę, bo taki pobożny! – w głos starego zaczęła wkradać się nuta irytacji. Ostatnie słowa wyrzucił z siebie gniewnie, aż walnął ręką w stół.

– Ciszej, panie Heńku – uspokajał go kościelny i znów rozglądał się nerwowo.
– A co pan, paska u spodni nie masz?

– A mam! – oczy Henryka iskrzyły się zimnym płomieniem – mam!

Frank cały dzień myślał o niej, potem biegł na ulicę Głowackiego. Piękne były dni chłopca, piękne były też jego sny. I nawet wojna, ta ponura suka o oślizłym spojrzeniu, nie mogła zniszczyć w nim tego stanu, który sprawiał, że wszystko wokół było jasne i dobre.

Ojciec załatwił mu u Niemców oficjalne papiery potwierdzające, że roznosi gazety, więc nie obawiał się żandarmów czy patroli. Mógł swobodnie poruszać się po mieście, a że akurat wypadało na okolicę getta, nikt nie mógł mieć o to do niego pretensji. Gazety sprzedane? Sprzedane. A że przy tym codziennie mógł porozmawiać z ukochaną? Z tego nikomu się nie spowiadał.

Dziura w parkanie wystarczała, by dotknąć jej ręki, przekazać jedzenie, jakieś ubranie, zabawkę dla dzieci jej krewnej. Jesień złociła liście drzew i w siedemnastolatku dojrzywała pewna szalona myśl typowa dla jego romantycznej natury i wieku. Obmyślił sprawę bardzo dokładnie, zanim przedstawił wszystko dziewczynie.

– Myślisz, że mamy szansę? – w jej głosie usłyszał to, czego potrzeba młodemu mężczyźnie, by stanąć przeciwko całemu światu i walczyć. Młodość niesiona gorącym uczuciem to siła nie do zatrzymania.

– Wszystko zaplanowałem, pójdziemy wzdłuż Uswicy, znam takie ścieżki, że wyjdziemy daleko za miastem. Potem przez Bocheniec zejdziemy do Porąbki,

a tam już mam dla was kryjówkę – chłopak zapalał się do tej myśli, nie wiedząc nawet, że po drugiej stronie piękna czarnowłosa dziewczyna płacze. Tylu ludzi wywieźli Niemcy, tylu zabili na jej oczach. Brzesko nie wiedziało nawet, jakie straszliwe dramaty przeżywali Żydzi zamknięci w getcie. Teraz pozostała tam tylko garstka ludzi, za kilka dni może być już za późno.

– A co z innymi? – zapytała cicho. Wzruszył się. Nawet w takiej chwili myślała o innych.

– Kryjówka pomieści cztery osoby, i to nieduże – chłopak trochę przygast.

– Co ja powiem pozostałym?

– Nic! – Franek podniósł głos i rozejrzał się szybko. – O tym nikt nie może wiedzieć. Kuzynce powiesz w dzień ucieczki. Rozumiesz?

Dłoń, którą trzymał, zadrżała lekko. Potem poczuł uścisk, który uświadomił mu, że wszystko rozumiała. Łzy przeszkadzały jej mówić, jak bardzo była szczęśliwa, że pojawiła się szansa wydostania się z tego piekła. W tym przeklętym miejscu codzienna chwila rozmowy z jasnowłosym chłopcem wynagradzała jej wiele cierpień.

– Niech cię Bóg strzeże, mój kochany – wyszeptła do otworu, który łączył ich dwa światy.

– I ciebie – odpowiedział chłopak. – Jutro przyjdę jak zwykle.

Potem oddalił się w stronę Rynku Siennego, gdzie chciał sprzedać jeszcze trochę gazet.

Henryk Zaliszczyk już dawno chciał położyć kres wyprawom swego syna Franka pod getto. Nie podobało mu się, że chłopak kocha się w Żydówce. I nie mógł wybrać gorszego dnia na ukaranie swego syna, jak ta właśnie noc, w czasie której Franek planował uwolnić swoją ukochaną. Dlaczego stary tak postąpił? Przecież od kiedy żona umarła, nie karał dorastającego syna aż tak dotkliwie. Można powiedzieć, że nawet pobłażał mu w drobnych przewinieniach. Dziś jednak wrócił ze spotkania z kościelnym w wyjątkowo paskudnym nastroju, a wracając, zahaczył o knajpę i wypił kilka głębszych. Potem dotarł do swego domu położonego na północ od rzeki z gotowym planem w głowie. Odbierze synowi na tydzień pozwolenie na pracę i uziemi tym samym, by nie tracił czasu na głupie amory, z których i tak nic nie będzie. Widział kto kiedy, by Żydówka poszła za gołodupca?!

Od progu więc zażądał zwrotu papierka i czekał chwilę, chwiejąc się na nogach. Chłopak spłoszył się na początku, ale zaraz odpowiedział, co było zgodne z prawdą, że pożyczył swoje pozwolenie koledze, który chciał pilnie dorobić przy gazetach. Kolega na pewno zaraz odda i właściwie to on, Franek, zaczyna się niepokoić, dlaczego jeszcze do tej pory nie oddał.

W ojcu rozgorzał długo tłumiony gniew. Złapał zaskoczonego chłopca w pół, a że rękę miał żelazną od pracy w kuźni, syn nie zdążył mu się wyrwać i tak obezwładnionego wepchnął w czarny otwór piwniczki, po czym zaryglował klapę. Na wszelki wypadek przyduślił drzwiczki stojącą obok komodę. Ciemność ogarnęła Franka, tylko małe okienko dawało mu orientację wśród przetworów i sprzętów rozmaitego przeznaczenia. Dopadł do okienka, które jednak było zbyt małe, by mógł się przez

nie wy dostać. Dom Zaliszczyków stał na uboczu, więc harmider w piwnicy mógł co najwyżej wystraszyć ryby w pobliskiej rzece. Dodatkowo nawet ten mały kwadrat światła wkrótce zgasł, gdy ojciec przyrzucił go z zewnątrz kilkoma workami z piaskiem, szykowanymi na wypadek powodzi. Żaden z nich, ani zapijający się na umór ojciec, ani miotający najgorsze znane sobie przekleństwa syn, nie mogli wiedzieć, że w tym samym momencie Brzesko obiegła tragiczna wiadomość o wypadku przy Rynku Siennym. Wiadomość ta dotarła także do Staśka, przyjaciela Franka, który wraz z nim miał tej nocy wyswobodzić dziewczynę z getta. Chłopak natychmiast pojawił się na miejscu zdarzenia, zastał więc zwłoki leżące na ulicy oraz sporą gromadę gapiów wokół. Wszyscy powtarzali, że ciężarówka z pijanymi esesmanami zmasakrowała chłopaka. Twarze mężczyzn były poszarzałe, usta zwężone, jak wycięte diamentem. Złorzeczyli Niemcom i pokazywali parujące w zimnym powietrzu zwłoki jako dowód na kolejną zbrodnię hitlerowców.

– Rozejść się, tu się nic nie stało! – wołał w kierunku gęstniejącego tłumu granatowy policjant. – Rozejść się!

– Kto to? – Stasiek szarpał za rękaw jednego ze stojących w tłumie ludzi.

– Franek Zaliszczyk – odpowiedział mężczyzna, nawet nie odwracając wzroku od ulicy.

– Co pan mówi? – chłopak zdrętwiał, nogi ugięły się pod nim – ale skąd...?

– Jak amen, dokumenty znaleźli przy nim, trup i tyle. Te bandyty go zabiły.

Staśkowi serce skoczyło do gardła. Dziś wieczór planowali wspólną akcję. Co on teraz zrobi?

Dziewczyny po północy wyjdą przez dziurę wyciętą w parkanie, a do środka nie ma powrotu. Jeśli zostaną na ulicy, zginą od kul pierwszego napotkanego patrolu. Spojrzał w niebo, słońce już zaszło i szarówka wyrównywała cienie.

– Ktoś wie, skąd ten pętaś jest? – policjant rozejrzał się po zebranych. – Franciszek Zaliszczyk – przeczytał z dokumentu, który trzymał w rękach.

A więc to prawda – Stasiek pomyślał, patrząc przez łyż na okaleczone zwłoki.

– Ja wiem, ale muszę zobaczyć, czy to on – odważył się i wystąpił przed szereg. Ręce mu drżały, więc schował je za plecami. Policjant nogą odwrócił ciało i skrzywił się z niesmakiem. Twarz martwego chłopaka wyglądała jak krwawa miazga. Stasiek aż cofnął się do tyłu. Odeszła mu ochota na dalsze patrzenie.

– Powiadomić trzeba, rodzinę sprowadzić – policjant znów odwrócił ciało w kałużę krwi.

Stasiek już biegł w stronę rzeki. Przerażenie plątało mu nogi, łyż łaskotały za uszami, gdzie spychane były podmuchami wiatru. Czas przyspieszył wyraźnie i chłopak nagle uświadomił sobie, że noc nastaje na niego, a świat ciemnieje za każdym razem, gdy spojrzy w niebo.

Dom Zaliszczyków okazał się jednak zamknięty na głucho i nic nie dało łomotanie w drzwi. Gdyby poczekał jeszcze chwilę, usłyszałby może krzyki z piwnicy, której okienko znajdowało się po drugiej stronie domu. Ale Stasiek już gnał w stronę swej ulicy. Podjął decyzję. Nie może zostawić dziewczyny Franka bez pomocy. Wyprowadzi Żydówki z miasta i doholuje do Porąbki. A dalej się zobaczy.

Było takie miejsce w getcie brzeskim, gdzie uwięzionych Żydów od świata odziała drewniany, trzymetrowy parkan. Prawie wszędzie płot był solidny, ale tutaj, niedaleko kościoła przy ulicy Głowackiego, deski były wyraźnie gorszej jakości, pełne sęków i niedoróbek. W tym właśnie miejscu stał codziennie Franek Zaliszczyk, a ktoś obserwujący sprawę z boku doszedłby do wniosku, że stoi tam, bo mu się pracować nie chce. Nic bardziej mylnego. Chłopak był bardzo pracowity. Cały dzień latał po Brzesku z naręczem gazet, zachwalając nagłówki głośnymi okrzykami, ale na tę jedną godzinę, gdy słońce stało już nisko nad miastem, przystawał przed parkanem, zawsze w tym samym miejscu, jakby z kimś niewidzialnym chciał się tam spotkać.

Był taki moment w getcie brzeskim, gdy strażnicy zmieniali się na warcie, a stanowisko od południowej granicy getta obejmował gruby Georg. Zapomniane od wczesnych godzin rannych uśmiechy wracały na twarze wychudzonych Żydów. Getto prawie zlikwidowane, większość już wywieziona w nieznane. Pozostała tylko garstka wystraszonych ludzi w jednym baraku, ci potrzebni byli jeszcze Niemcom do porządkowania terenu. Wśród tej garstki uchowały się tylko te dzieci, za które Żydzi zapłacili strażnikom wysokie łapówki w złocie. Był dzień dwudziesty szósty października tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Więźniowie pędzeni przez esesmanów wybiegali ze swych baraków do pracy, ale pod stanowiskiem Georga przechodzili spokojnie, jakby szli ulicą na szabas do synagogi przy Głowackiego 13. Bo Niemiec miał dwie słabości. Lubił się zdrzemnąć i nie lubił przemocy. Może w czasie pokoju te dwie cechy uchodziłyby nawet za normalne, ale w niemieckiej armii postrzegane były jako powód do wstydu. Wartownik, który nie strzelał do Żydów, był co najmniej nieudacznikiem. Georg jednak nie dbał o opinię. Wędrował spokojnie na stanowisko, zdejmował karabin z ramienia i wspierał o drewnianą poręcz. Potem wyciągał zza fałdów obszernego munduru (a był naprawdę bardzo gruby) książkę i zastygał na regulaminowy czas swojej służby. Zmiennik przyjdzie grubo po północy, więc zdąży się jeszcze przespać. Tak myślał niemiecki żołnierz, gdy przewracał kartki ulubionych *Elegii Rzymskich* Goethego. Przed oczami zaczęły mu się przesuwać obrazy z rodzinnej Bawarii. Mężczyźni stukali się kufłami gęstego od piany piwa, dziewczęta zarzucały sukienkami, by ich trzewiczki mogły swobodnie wystukać taneczny rytm na deskach podestu. Tak rozmyślał strażnik, a tymczasem w baraku nieopodal trwały gorączkowe przygotowania do ucieczki.

Zapadła noc i stłoczeni na piętrowych pryczach ludzie spali już kamiennym snem, gdy dziewczyny delikatnymi muśnięciami dłoni obudziły dzieci. Jedna z nich miała zegarek. Kilka minut po północy. Gruby Georg śpi już pewnie twardo, a Franek czeka po drugiej stronie parkanu.

Żaden z współmieszkańców baraku nie dziwił się, gdy matki wyprowadzały w nocy swoje dzieci do toalety. Drzwi baraku otwały się na krótko i czwórka uciekinierów wsiąkała w ciemność. Po kilku minutach stanęli pod ogrodzeniem. Uciec to dopiero początek. Jeśli zostaną, podzielą los innych zabitych lub wywiezionych do obozów. Ale co zrobić po drugiej stronie, gdzie się ukryć? Tu właśnie pomoc deklarował Franek. Noc była ciemna, tylko czasem pędzące chmury odślaniały wycięty z czerni nieba srebrzysty sierp. Zimny jesienny wiatr zerwał się skądś i kobiece serca

załomotały z lęku, że przywieje tu nieszczęście. Na szczęście dziewczynki nie płakały, przytulone do swych opiekunek. Trwały w lękliwym oczekiwaniu.

Miejsce ucieczki było dobrze oznaczone. Dziewczyny odnalazły wypitowaną deskę i delikatnie odsunęły na bok. Potem młodsza z nich spojrzała do tyłu na swą towarzyszkę i wpełzła w wygrzebany pod parkanem dół. Po drugiej stronie otrzępała głowę z suchych gałęzi, które maskowały otwór w ziemi. Zaraz też podała rękę pierwszej z dziewczynek, potem tą samą drogą getto opuściło drugie dziecko i jego matka. Żydówki stanęły niepewnie pod parkanem. Niezwykłość tej chwili kazała im wdychać zachłannie zapach spokojnej teraz ulicy. Nagle nie wiadomo skąd wyrósł przed nimi Stasiek, przyjaciel Franka, o którym chłopak często wspominał.

– Chodźcie – rzucił im szeptem i ruszył bez zbędnych wyjaśnień na południe, by po kilkunastu krokach skręcić między domy w kierunku rzeki.

– Gdzie jest Franek? – zapytała dziewczyna, gdy zrównała się z nim w szybkim marszu.

Z tyłu doleciał cichy płacz dziecka i szepty kobiety, która próbowała je uspokoić. Stasiek natychmiast zawrócił, widać było, jak przyklęka przy małej dziewczynce, potem bierze ją na ręce i idzie dalej w kierunku, który obrali wcześniej. Gdy przechodził obok oczekującej odpowiedzi dziewczyny, rzucił tylko:

– Potem, teraz musimy iść.

To „potem” musiało jej na razie wystarczyć, choć jakiś dziwny niepokój otoczył jej serce chłodnym całunem. Idąc za swoim przewodnikiem, rozmyślała nad usłyszczanymi słowami.

To znaczy, że potem spotkają się z Frankiem? Czy że chłopak potem wszystko wyjaśni?

Stasiek bezwzględnie parł na południe, jakby znał tu każdy kawałek bruku, każdą ścieżynę pomiędzy rzednącymi z czasem budynkami. Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, że on ucieka przed tym, co i tak wcześniej czy później będzie musiało zostać odkryte. Przed koniecznością oznajmienia, że jego przyjaciel, Franek nie żyje.

Właśnie dotarli na szeroki trakt, który na chwilę został oświetlony bladą poświatą księżycy. Starsza dziewczynka radziła sobie dobrze, bez słowa zносиła trudy forsownego marszu. Młodsza na rękach chłopca zdawała się drzemać, wtulona w szyję opiekuna. Mijali pojedyncze ciche domy. Czasem zaszczeakał pies, czasem sowa oznajmiła coś złowieszczo. Chłopak nie włączał lampki, choć cały czas trzymał ją w ręku. I jak dotąd ich przemarsz nie został zauważony. Zwolnili. Napięcie odczuwane jako ciężar z tyłu głowy ustąpiło wraz z miejską zabudową. Przed nimi w uwolnionym przez strąki chmur księżycowym świetle pokazała się długa prosta droga w kierunku Dębna. Z tej drogi w pewnej chwili skręcił Stasiek w prawo, a chcąc uspokoić kobiety obejrzał się i rzucił zdyszany:

– Idziemy na Bocheniec, tam mam dla was kwatery.

– A do rodziny do Dębna kiedy?

– Zaprowadzę was nad ranem, jak nasi dadzą znać. Żandarmy czasem śpią do południa, wtedy można będzie przejść.

Potem zwolnił odrobinę, tak, że drobne kobiece nóżki wreszcie mogły nadążyć za nim, i dodał łagodnie:

– Ze mną nie zginiecie.

Zaraz jednak przypomniał sobie, co się stało z jego przyjacielem i spochmurniał znowu. Dziewczyna chciała skorzystać z okazji i zapytać po raz kolejny o ukochanego, jednak żal jej się zrobiło chłopaka, który pod ciężarem śpiącego dziecka sapał teraz jak parowóz. Zwłaszcza że szli teraz pod górę stromą, utwardzoną drogą, a ciemność ogarnęła znów okolicę tak szczelnie, że kobiety zastanawiały się, jak ten chłopak widzi przed sobą cokolwiek? Nogi dziewczyn plątały się już ze zmęczenia. Stasiek, widząc to, postawił rozespane dziecko na drodze, po czym skoczył w bok szosy i już po chwili wyłonił się znowu z ciemności.

– Mam dla was kryjówkę, chodźcie! – zachęcił Żydówki i znów wziął dziecko na ręce. Próbując utrzymać równowagę, zaczął wspinać się na skarpę ponad drogą. Kobiety i dziewczynka poszły w ślad za nim. Już po chwili stwierdziły z radością, że kryjówka jest rzeczywiście bardzo dobrze wybrana. Wpełzły do wyżłobionej w pagórku jaskini, tak, że nad głową miały nawet kawałek ziemnego dachu.

– Zaczekacie tu – oznajmił ściszym głosem – polecę przodem i sprawdzę, czy kwatera gotowa.

Pogłaskał jeszcze po głowie małą dziewczynkę, która spała już na kolanach matki, i zaszurał butami, po czym zniknął w ciemnościach.

– Ale wrócisz? – starsza z kobiet rzuciła to pytanie w czarny otwór za chłopcem, ale wiatr porwał jego odpowiedź, więc przygarnęła tylko do siebie śpiące dzieci i ucisnęła w ciemnościach dłoń swojej młodej czarnowłosej kuzynki.

– On wróci – uspokajała ją dziewczyna – nie bój się. Śpijcie, ja będę czuwać.

Uświadomiła sobie, że musieli przejść wiele kilometrów, bo teraz dopiero zaczęła odczuwać dotkliwy ból nóg. Myślała teraz o swoim ukochanym, kiedy go będzie mogła wreszcie zobaczyć? Czy spodoba mu się taka zmęczona i brudna? Czy zechce ją przytulić, dać choć odrobinę tego ciepła, które tak silnie odczuwała, gdy dotykała jego dobrej dłoni przez dziurę w parkanie getta.

Cisza wokół była jakaś inna. Wolna od dźwięków zniechęconego więźnia dusz, w jakim przyszło im żyć przez ostatnie pół roku. W tym obcym miejscu, wyrwane ze wspólnoty niedoli, były zdane tylko na opiekę swoich wyzwolicielei. Ale lepiej przeżyć choćby jeden dzień na tym świecie, po tej stronie muru, niż zgnieć umysłem i ciałem tam, gdzie ludzie stawali się podobni zwierzętom. Do Porąbki nie może być daleko, a stamtąd do Dębna to już tylko z pół godzinki marszu. Spotkają rodzinę, uradują się, popłaczą i będą po prostu chciały przetrwać.

Były tylko tam dotrzeć – myślała dziewczyna, a sen już mieszał jej zmysły – wtedy wszystko będzie jak dawniej.

W tym samym czasie zamknięty w piwnicy Franek rzucał się i drapał ściany, kalecząc dłonie do krwi. Złapany w betonową pułapkę, zamknięty w najważniejszym momencie swojego młodego życia. Rozbił już okno i szukał usilnie czegoś do podważenia kłapy wjazdu do piwnicy. Ale ojciec już go nie słyszał. Zapadł w pijacki sen, z którego nieprędko wstanie. Samogon od Zenka był mocny jak mała który, a wypił go Henryk na tę okoliczność pewnie z półtorej butelki.

Stasiek wrócił do kryjówki. Milczał. Świtało już, kobiety czekały chwilę w niepewności, kiedy wypowiedział tych kilka słów. Pociemniało znowu...

Wieści czarna i straszna, któraś spadła jak płaszcz nieprzenikniony na tę biedną dziewczynę.

Niech cię już rozwieje wiatr od wschodu.

Niech cię przegna nadzieja, która wciąż szamocze się przerażeniem w piwnicy małego domku nad Uszwicą.

– Mogłeś jej nie mówić – kobieta z wyrzutem spojrzała na Staśka, gdy podnieśli z ziemi zemdloną dziewczynę.

– I tak by się dowiedziała – chłopak próbował się jeszcze tłumaczyć, ale i jemu było ciężko.

Czarnowłosa Żydówka odzyskiwała powoli świadomość. Gdy na nią spojrzął w świetle wschodzącego słońca, wydała mu się naprawdę piękna. Opuścił wzrok speszony. Niewłaściwy czas na takie myślenie! Zganił się za to sam.

– Ruszamy – próbował z mienić temat – czekają na nas.

W Brzesku zaraz dzwon wybije południe. Już ludzie dobijają się do okna, gdzie niespokojnym snem pijaka leży w barłogu Henryk. Chcą mu oznajmić, że jego syn zginął tragicznie, zabity przez niemiecką ciężarówkę. Już Henryk podnosi napęczniały alkoholem łeb, by im odburknąć, że jego syn w piwnicy zamknięty. I trzeźwieje natychmiast, gdy uświadamia sobie, że śmierć przeszła tak blisko. Staje przed synem, by zmierzyć się z tym spojrzeniem, które odtąd będzie go prześladować w nocnych koszmarach do końca życia. Sekundę później chłopak już gna w stronę ulicy Głowackiego, gdzie od rana za zaporą parkanu trwa karny apel po ucieczce Żydów. Rusza więc biegiem bez chwili wytchnienia ku drodze na Jadowniki, bo tam musiała pójść jego ukochana. Słońce już wysoko, próbuje wzbudzić uśmiech na jego surowej, drgającej z wysiłku twarzy. A chłopak biegnie, choć piersi palą go żywym ogniem. Bo zaczął się wyścig z czasem, którego stawką jest wszystko.

Jeszcze nie wybrzmiało El Male Rachamim* w odrętwiałych ustach czarnowłosej dziewczyny, gdy kolejny cios spadł na uciekinierki, jak na Hioba sprawiedliwego, który pragnął pozostać wierny Bogu. Kobiety dotarły do Dębna, a tam okazało się, że cała ich rodzina została zamordowana przez niemieckich żandarmów. Usiadły więc w świetle dnia i podjęły rozmowę, która tak bardzo zasmuciła Anioły zgromadzone wokół. Na koniec tej ostatniej w ich życiu rozmowy dał się słyszeć ledwie słyszalny szept:

– Czy jesteś pewna?

* Żydowska modlitwa żałobna.

- ... Tak.
- Wiesz, że nie wrócimy?
- Wiem.
- A co z dziećmi?
- Z tamtymi ludźmi mają jakąś szansę... z nami nie....
- Wiesz, że nie wrócimy... że nas zabiją?
- ...

Cisza ogarnęła dwie kobiety, zagajnik i pobliski las. Cisza tak kompletna, jakby życie już się zatrzymało. W tej ciszy Pani Śmierć torowała sobie do nich drogę przez śliwkowy sad od strony lasu. A widząc, że owoce opadają bezwładnie tam, gdzie dotknęła drzew swym szarym płaszczem, zeszła na jałową miedzę oddzielającą sad od ścierniska. Owoce się jeszcze ludziom przydadzą. Nie wszyscy będą przecież tego dnia naznaczeni ostatnim zimnym tchnieniem.

Podobnie tragiczny los spotkał rodzinę Pinkasów z Dołów czy też Grabino z Maszkienic. Obie rodziny zostały zamordowane w brzeskim getcie¹. Niestety nie znamy losów innych mieszkańców wyznania mojżeszowego z naszej gminy z Sufczyzna, Biadolin, Łysej Góry. Najprawdopodobniej podzielili okrutny los więźniów któregoś z obozów koncentracyjnych. Nielicznym udało się przetrwać. Obok losów opisywanego wyżej Hermana, znana jest jeszcze historia pani Imbergowej pochodzącej z Krakowa, ukrywającej się u rodziny w Woli Dębińskiej. Tam, w domu państwa Potępów, znalazła schronienie w czasie wojny wraz z córkami Polą i Ewą. Owa kobieta starała się oddalić ewentualne podejrzenia odnośnie do swojego wyznania, przygotowując swoje dzieci do pierwszej komunii, ale przed samą uroczystością rezygnowała z niej. I tak udało im się przetrwać trzy lata. Imbergowa otrzymywała co miesiąc na utrzymanie 500 złotych z Krakowa. Rodzina przeżyła okupację, a po wyzwoleniu wyjechała do Krakowa, a później do Izraela².

W lesie, w Biadolinach ukrywała się też grupa czterech Żydów, którzy podobno zabili niemieckiego żandarma przy próbie dekonspiracji. Wszyscy po wojnie wyemigrowali do Izraela³.

Za próbę udzielenia pomocy Izraelitom groziła śmierć, a w najlepszym wypadku obóz koncentracyjny. Dlatego pomoc mieszkańców naszej gminy dla Żydów czy to przez dostarczanie żywności do getta, czy przez oferowanie schronienia w swoich gospodarstwach, należy uznać za heroizm. *Kiedy Żydów zamknęli w getcie w Brzesku ludzie, którzy ich znali, nosili im jeść. Była taka Płanecina z Jastwi, brała od nas choć co dla nich. Za to Żydzi też dawali ubrania albo coś. Ja miałam nawet suknię z getta – wspomina Józefa Nosal⁴.*

Wielkim poświęceniem wykazali się Jadwiga i Juliusz Kolarzowscy, właściciele młyna w Łoniowej. Z własnej inicjatywy dostarczali duże ilości żywności dla ludzi do getta w Brzesku. Jadwiga przeprowadzała furmanki z żywnością na targ miejski, a towary przemycano potem do getta. Ci ludzie, mimo zagrożenia własnego życia w wypadku złapania przez Niemców, nie pozostawili swoich byłych sąsiadów bez pomocy.

Czas wojenny rozniecił jednak w ludziach także i te paskudne instynkty, którymi kierują się jednostki pozbawione skrupułów, chcące wzbogacić

¹ *Wspomnienia wojenne Janiny Dadej*, w zbiorach autora.

² *Wspomnienia wojenne Kazimiery Pach*, w zbiorach autora.

³ *Wspomnienia wojenne Tadeusza Patera*, w zbiorach autora.

⁴ *Wspomnienia wojenne Józefy Nosal*, w zbiorach autora.

się kosztem nieszczęścia innych. *Sprzątałem przez chwilę w getcie brzeskim. Dwóch chłopaków z Uszwi chodziło z młotkiem i szukali znaków na ścianie, pukali, jak był głuchy odgłos, to znaczyło, że coś tam było ukryte, zrzucali pod mostem w Dębnie paczki, które znaleźli w getcie, a potem po nie wracali. Ktoś ich zdradził i przyjechali Niemcy, czekali na nich przy moście z zegarkiem w ręku, jak złodzieje zjawili się pod mostem, Niemcy zastrzelili ich i pojechali¹. Czy wśród mieszkańców naszej gminy byli szabrownicy? Nie dotarliśmy do takich informacji.*

Ludność miejscowa musiała odnaleźć się w okupacyjnej rzeczywistości: kontyngenty, zsyłki na roboty do Niemiec, przymusowe roboty w obozach pracy, a do tego liczne zakazy i restrykcje nałożone na ludność cywilną. W codzienne życie wkradała się niepewność jutra, strach przed śmiercią, która mogła przyjść nieoczekiwanie. Jakby tego było mało, okupant narzucał wiele innych nakazów. Pojawiały się zarządzenia odbierające zwykłą godność i przekształcające kraj w jedno wielkie więzienie. Obowiązywał nakaz zaciemniania okien w nocy, godzina policyjna, kontrole drogowe czy, oczywiście, cenzura prasy i ogłoszeń. W 1944 roku skonfiskowano nawet rowery, które od początku okupacji spisano już i zarejestrowano. Wtedy w gminie, może oprócz państwa Kolarzowskich, nikt nie miał samochodu, więc rower, poza końmi, był jedynym środkiem transportu, którym można było się przemieszczać do sąsiedniej wsi, a nawet do Tarnowa. Przez całą okupację obowiązywał zakaz posiadania i słuchania radia. Wszystkie odbiorniki należało oddać Niemcom.

Na szczęście mieszkańcy naszej gminy nie popadli całkowicie w apatię. Mimo restrykcji buntowali się, nie godząc się na okupacyjne ograniczenia. W materiałach źródłowych można znaleźć przykłady okupacyjnych piosenek, które zasłyszane w radiu, żyły swoim życiem w naszej gminie, ze zmienionym nieraz tekstem. Kolportowano je razem z prasą podziemną, by krzepiły serca. Przetrwały dwie z nich:

*U bauera piesek wyje, na śniadanie zjadł pomyje –
A na obiad kawał flaka, żeby czekał na Polaka.
Ref: Oj bieda, bieda wszędzie, póki ta wojna będzie
Oj bieda, bieda, bieda już dłużej wytrzymać się nie da
Pierwszy tydzień margaryna, a na drugi sacharyna
W trzeci tydzień nic nie dają, bo już sami nic nie mają*

¹ Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika, w zbiorach autora.

*Jedzie Niemiec na rowerze, margarynę w puszcze wiezie
A Niemiaszki się radują, że se chlebek posmarują*

*Jedzie bauer na rowerze, marmoladę w kubel bierze
Jest dla pieska, jest dla kotka, tylko dla nas jest za słodka*

*Pierwszy tydzień margaryna, drugi tydzień sacharyna,
A na trzeci nic nie dają, a czwartego uciekają*

*U bauera piesek wyje, bo mu dają chlać pomyje,
Nie dają mu nawet sera, teraz szczeka na Hitlera.*

Zachował się też fragment przerobionej, „kultowej” piosenki „Siekiera motyka”. W gminie Dębno śpiewano ją tak:

*Na roboty nie pójdę, bom nie głupi
Niech se Hitler innych kupi
Na roboty nie pójdę, bom nie kiep,
Dam Szwabowi prędeż w łeb*

*Siekierą motyką, nożem, młotem
Uśmiercimy tę hołotę,
Bagnetem, granatem, gradem kul
Przegnamy Szwabów z polskich pól.*

Skąd mieszkańcy czerpali inspirację do tworzenia piosenek? Z radia. W wielu miejscowościach ukrywano odbiorniki i słuchano audycji, na które schodzili się nieraz i dalsi sąsiedzi. Wiemy o odbiorniku w Woli Dębińskiej, będącym w posiadaniu inż. Stanisława Kubali „Młota”. We wsi Biadoliny Szlacheckie Adam Bartosz „Kmicic” ukrywał swój odbiornik w szkole. *W szkole był ukryty aparat radiowy, w kominie antena i nocami w ścisłej tajemnicy słuchaliśmy wiadomości ze świata, przekazywaliśmy innym, by podtrzymać ducha w narodzie. Pamiętam wieczory w piwnicy, w ciemnościach słuchało się wieści ze świata, początkowo same sukcesy III Rzeszy na zachodzie Europy, a następnie wojna ze Związkiem Radzieckim. Ta ostatnia przekonała nas i napełniła nadzieją, że wnet będzie koniec wojny, że III Rzesza musi wojnę przegrać i tak też się stało¹.*

¹ Ludwik Bartosz, *Moje ciężkie przeżycia w czasie okupacji niemieckiej*. Archiwum Jedynaka, dz. cyt., sygn. T-4.

Odbiorniki znajdowały się także w Porąbce Uszewskiej i Łoniowej oraz w Łysej Górze, u lekarza Antoniego Mleczki. Radio służyło „zwykłym” ludziom oraz partyzantom, gdyż oprócz komunikatów wojennych, można było wyłapać zaszyfrowane rozkazy, wiadomości na temat zrzutów i działań bojowych¹.

Warunki, jakie okupant stworzył mieszkańcom, przekształciły życie codzienne w koszmar. Trudy egzystencji, stres, troska o najbliższych i brak perspektyw na poprawę sytuacji, powodowały często załamania. Ludzie, którzy nie byli w stanie tego wytrzymać, szukali jakiegoś rozwiązania. Nadzieję oraz pewną możliwość ochrony dawała praca w konspiracji. Inną jednakże możliwością błyskawicznej poprawy losu było podjęcie kolaboracji z Niemcami. Kuszenie licznymi przywilejami dało skutek w postaci podpisywania tzw. volkslisty. Niestety często nie kończyło się tylko na jej podpisaniu. Wiele osób wysługiwało się okupantowi, prowadząc inwigilację mieszkańców, pisząc donosy na członków ruchu oporu bądź na osoby, które jawnie wykazywały niechęć do Niemców. Kolaborantom wydawało się, że będą mogli w tych ciężkich czasach wygodnie się urządzać w okupacyjnej rzeczywistości. Źródła pozwalają wskazać liczbę co najmniej 10 osób z naszej gminy, które zdecydowały się podpisać volkslistę. Nazwisk, z wyjątkiem dwóch, nie znamy. O jednym z nich, z Sufczyzna, mieszkańcy wypowiadają się zaskakująco dobrze. *Włodek przydał się, kiedy Niemcy zabili partyzanta – Michałka. Wtedy groziła zemsta na wsi, ale on kazał jego siostrze, którą ktoś wskazał i została aresztowana, by udawała, że nie rozpoznaje swojego brata*².

Pełnych motywacji miejscowych volksdeutschów z pewnością nigdy nie poznamy. W niektórych przypadkach można by pobłażliwie potraktować podpisanie listy, tłumacząc takie działanie porywem młodych, gorących serc. Chodzi tu o sytuacje, w których młode dziewczyny, mieszkanki gminy, decydowały się na uczuciowe związki z niemieckimi żołnierzami. Może była to nawet prawdziwa miłość? Armia Krajowa jednakże zawsze traktowała te zachowania jako zdradę. Była to zdrada „lekkiego” kalibru, więc groziła za nią nie kara śmierci, lecz strzyżenie włosów. *Na wsi u nas chodziło parę takich dziewczyn* – wspomina świadek tamtych dni³. Wiele takich przypadków występowało także w Maszkienicach i w Dębnie⁴.

¹ Relacja dowódcy placówki Brzesko ppor. „Poraja”. Brzesko 1958.

² Wspomnienia wojenne Józefa Migdała, w zbiorach autora.

³ Wspomnienia wojenne Wiktorii Zych, w zbiorach autora.

⁴ Wspomnienia wojenne Janiny Dadej, w zbiorach autora.

Większość mieszkańców gminy Dębno przetrwało jednak nawałnicę wojenną z podniesionym czołem, z godnością i nadzieją na lepsze jutro.

Podsumowując, należy z całym naciskiem zaznaczyć, że niemiecka okupacja gminy Dębno odcisnęła się krwawym piętnem na psychice całego pokolenia Polaków. Ci, którzy ją przetrwali, byli do końca swoich dni skażeni dramatem wojennego czasu. Jako świadkowie niemieckich zbrodni, często już jako dzieci, epatowani faszystowską pogardą dla ludzkiego życia, zaszczeni na swojej ojczystej ziemi. A to, co nastąpiło później, wcale nie przyniosło Polakom prawdziwej wolności.

Ale to jest temat na następną książkę.

ROZDZIAŁ V

NAWET NAJGORSZY CZAS MA KIEDYŚ SWÓJ KONIEC

Zimą, na przełomie 1944/1945 roku, gdy klęska wielkiej Rzeszy zdawała się przesądzona, gmina Dębno znalazła się w kręgu zainteresowań Rosjan. Od pewnego czasu na zaplecze frontu zaczęły napływać patrole rosyjskie, obserwujące posunięcia armii niemieckiej. Wydaje się jednak, że nie było to ich jedyne zadanie. Najprawdopodobniej głównym celem tych patroli była działalność wywiadowcza, dotycząca funkcjonowania struktur Armii Krajowej oraz polskich cywilów. Komenda Główna AK dostrzegła aktywizację Rosjan na zapleczu całego frontu. Wydano rozkaz przestrzegający AK przed wdawaniem się w konflikt z Sowietami, pozwalający im jednakże prowadzić działalność antyniemiecką¹.

W plutonie „Meteora”, który także otrzymał rozkaz nieprzeszkadzania patrolom sowieckim w ich zadaniach, znajdowali się sowieccy żołnierze, jeńcy niemieckich obozów, którzy po ucieczce z transportu znaleźli schronienie wśród partyzantów. Po koncentracji oddziałów AK do plutonu dotarł rosyjski patrol z niejakim płk. Pawłem na czele. Gorączkowo namawiał on rosyjskich partyzantów do opuszczenia oddziału i połączenia się z wojskiem sowieckim. Większość Rosjan nie wykazywała jednak entuzjazmu, z obawy przed sankcjami za oddanie się w niemiecką niewolę, co poczytywano za zdradę ojczyzny. Ostatecznie jednak płk Paweł osiągnął swój cel

¹ „Małopolski Biuletyn Informacyjny” 30.04.1944 nr 18: *Alarmy niemieckie o wypadkach na wschodzie nie mogą na nas działać, nie wolno nam ulegać tej dywersyjnej panice. Obowiązują nas dyrektywy Pełnomocnika i wicepremiera Rządu P. na Kraj, w myśl których ludność polska musi pozostawać w swych siedzibach, wobec wkraczających wojsk sowieckich zachować godność Polaka, akcentować obywatelstwo państwa Polskiego, posłuszeństwo dla Rządu i jego organów w Kraju, bronić interesów narodu i Państwa polskiego na ziemiach naszych chwilowo zajmowanych przez wojska sowieckie.*

i zabrał Rosjan do, jak twierdził, frontowego oddziału radzieckiego. Kilka tygodni później „Meteor” dowiedział się o znalezieniu zwłok rosyjskich partyzantów, rozstrzelanych przez niewiadomych sprawców w lesie w okolicy Brzeska.

O wiele bardziej intrygująca jest działalność polityczna Rosjan w naszej gminie, na zapleczu frontu. Trzeba zaznaczyć, że nie dysponujemy żadnymi materiałami źródłowymi, a jedynie poszlakami. Jednak są one tak interesujące, że należy pokusić się o przedstawienie pewnej teorii.

Otóż dziwnym trafem częstotliwość odwiedzin rosyjskich patroli wiązała się z aktywizacją ludowców w naszej gminie. Zaplecze polityczne BCh ewidentnie zaoszczyło kurs wobec AK i rządu londyńskiego. Czyżby doszło do porozumienia z Rosjanami? Wydaje się to bardzo prawdopodobne, szczególnie gdy prześledzi się powojenną karierę działaczy chłopskich w naszej gminie i powiecie. Oddajmy głos Władysławowi Myślińskiemu „Zaworze”, członkowi BCh, a po wojnie oficerowi UB z Brzeska: *W czerwcu 1944 roku w nocy do domu Jana Szpili ps. „Trzmiel” wpada gestapo i go aresztuje. „Kamień” Julian Grochal z AK jako zastępca Delegata Rządu obejmuje po „Trzmielu” urządowanie zupełnie prawnie, nie uwzględniając i nie pytając się o niczyje zdanie. „Trzmiel” obala niezręczny donos, przekonuje gestapo, że jest zmyślony i 29 czerwca wraca z więzienia (!!! podkreślenie autora) i obejmuje z powrotem stanowisko Delegata Rządu. 14 lipca 1944 roku w nocy „Trzmiel” wraca ze spotkania z Porąbki Uszewskiej z Komendantem Obwodu „Soplicą” przez pola, aby dotrzeć do Niedźwiedzy. Trzy kule świstają mu koło głowy, kryje się w ziemniakach i unika śmierci. W dniu 12 sierpnia 1944 roku zbiera się w Maszkienicach aktyw powiatowy „Rocha”: „Sulma”, „Młot”, „Radek”, „Jasień”, „Skory”, „Zawora” i „Sól”, podejmując trzy ważne uchwały: „1. Nie uznaje się zastępcy Delegata Rządu na powiat Juliana Grochala z AK. 2. Obsadza się swoimi wójtami gminy Dębno i Okocim. 3. Rezygnuje się z organizowania posterunków policji, które miały być wspólnie organizowane z AK”. Jako uzasadnienie takiego postanowienia komisja „Rocha” wysunęła następujące argumenty: „(...) przymusowe sekwestrowanie przez AK żywności od chłopów, kompletne rabowanie gospodarstw, rabowanie majątku kółek rolniczych i wiele innych brutalnych wyczynów wykonywanych z całą pewnością na rozkazy, znanych ze swojego stosunku do chłopów **sprawców wojny** (sic! – podkreślenie autora), a obecnie wszechwładnych komendantów AK¹.*

Zamieszczam ten fragment w całości, by ukazać pewną grę, jaką

¹ W. Myślińsk, Archiwum Jedynaka, dz. cyt., T.-1, s. 6

prowadziły BCh pod koniec wojny. Nie chciałbym komentować oczywistych absurdów, jakimi są krótka wizyta na gestapo czy „zamach w ziemniakach” – fakty te, ewidentnie zmyślane, miały służyć jako pretekst zerwania z AK. Proszę jednakże szanownych czytelników o zwrócenie uwagi na fakt spotkania aktywu ludowców w sierpniu, po którym ewidentnie to ugrupowanie zaostriżyło kurs polityczny. Dziwnym zbiegiem okoliczności działało się to po opublikowaniu *Manifestu Lipcowego* z 22 lipca 1944 roku oraz po odwiedzinach patroli rosyjskich z politrukiem Pawłem u partyzantów „Meteora”. Wszystko to byłoby marną poszlaką współpracy z Rosjanami, gdyby nie powojenne losy prominentnych działaczy Stronnictwa Ludowego i ich kariery w szeregach Milicji Obywatelskiej i Urzędzie Bezpieczeństwa. Niestety nie jest to już przedmiotem badań autorów tej książki. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że komuniści, nie mogąc poszczycić się jakimkolwiek wpływami partyzantki komunistycznej i ich działaczami w naszym regionie, postawili na współpracę z ludowcami.

Bardzo intrygujące są losy ostatniego dowódcy AK powiatu brzeskiego. W powszechnej opinii (również wg Wikipedii) Franciszek Blok „Soplica” był niezłomnym dowódcą AK, tymczasem Stanisław Jedynak dotarł do zyciorysu, w którym ów człowiek przyznaje się, że w styczniu 1945 roku, po odejściu z AK (!), wraz z oddziałami ludowców pomagał Sowiecom forsować Dunajec, po czym wstąpił w szeregi partii komunistycznej. Jest to informacja szokująca, wymagająca dalszych badań, co nie leży jednak w zakresie niniejszej publikacji.

Po przełamaniu frontu w styczniu 1945 roku Niemcy ostatecznie opuścili naszą gminę. Wycofujące się wojsko niszczyło wszystko, co mogłoby się przydać armii sowieckiej. Na stokach dębińskiego zamku spłonęło wiele dokumentów¹. Niemcy spalili bibliotekę zamkową i dworską rodziny Jastrzębskich². Podpalili także stajnię zwaną „cugową”, która znajdowała się przy bramie zamkowej, tam gdzie dziś wydzielone jest miejsce na ognisko. W podpalonym budynku składowana była amunicja oraz siodła, narty i rowery³, czyli w tamtych czasach ogromne skarby. Niemcy zaminowali mosty. Gdy tylko wieś opuściły ostatnie jednostki, dwóch żołnierzy na motocyklu odpalało ładunki⁴. Saperzy kolejno wysadzili mosty i tory

¹ *Wspomnienia wojenne Jana Migdała*, w zbiorach autora.

² Archiwum Biernackiego.

³ *Wspomnienia wojenne Janiny Dadej*, w zbiorach autora.

⁴ *Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika*, w zbiorach autora.



Pomnik upamiętniający dwudziestolecie odzyskania przez Polskę niepodległości (fot. ze zbiorów rodzinnych)



Albert Kryszczuk (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)



Kamila Grochal po wojnie (fot. ze zbiorów rodzinnych)

kolejowe także w Biadolinach¹. Szczególnym wydarzeniem, które zapadło mieszkańcom w pamięć, było wysadzenie przez Wehrmacht składu amunicji w Bukowej – lesie w Woli Dębińskiej. Pożar trwał kilka dni. Kiedy ogień zgasł, mieszkańcy chodzili i zbierali amunicję, która nie spłonęła, co często kończyło się okaleczeniami². *Kiedy wysadzano skład z amunicją, trzęsły się szyby u nas w domu, lampa spadła z sufitu, siostrze na twarz spadł tynk. Przelatywały ognie przez las nad naszymi domami, był ogromny huk i szum, ognie zatrzymywały się na górze³.*

Wyjątkowym wydarzeniem było zachowanie pomnika znajdującego się na skrzyżowaniu dróg w kierunku Biadolin, przy dzisiejszej piekarni. Przez cały czas okupacji niemieckiej ten pomnik, upamiętniający 20-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku, pozostał nietknięty!! Monument do dzisiaj znajduje się tuż przy drodze DK-94, tak licznie uczęszczanej w czasie II wojny światowej przez wojska III Rzeszy. Niemcy niszczyli zazwyczaj wszystkie obiekty przypominające o Polsce i jej niepodległości. Dlaczego pomnik nie został zniszczony? Może orzeł zdobiący pomnik przypominał Niemcom orła legionów rzymskich, które naśladowali naziści? Tej zagadki nikt już dziś nie rozwiąże.

Ostatni żołnierze niemieccy, uciekający przed zbliżającym się frontem, porzucali mundury, przebierając się w cywilne ubrania, zamieniali też konie na rowery lub uciekali pieszo. Większość mostów była zniszczona, więc trudno było przeprowiać się wraz z końmi⁴. Wygłodzeni żołnierze zabierali z domów rzeczy, dzięki którym mogli przeżyć.

Już pod koniec wojny przyjechały czołgi, jeden wjechał w naszą bramę. Czołgiści wynieśli kostkę smalcu, marmoladę, ziemniaki i kazali matce gotować. Gdy jedli, wpadł jakiś oficer, nawrzeszczał i natychmiast zostawił wszystko i uciekli tymi czołgami na południe. A potem przyszli Rosjanie⁵.

Uciekające wojsko zostawiło wiele obrabowanych i splądrowanych, a czasami nawet zniszczonych domów. *Wróciliśmy do Łoniowej, nie wiedząc, co tam zastaniemy oprócz właściwej Niemcom dewastacji – palili w piecach książkami z biblioteki ojca i rozbieranymi na opał chlewami, kradnąc co się da: zarówno stare sztychy ze ścian, jak pasy młyńskie na podeszwy do butów⁶.*

¹ A. Kryszczuk, dz. cyt., str. 16.

² *Wspomnienia wojenne H. Sachy*, w zbiorach autora.

³ *Wspomnienia wojenne Józefy Budzyn*, w zbiorach autora.

⁴ *Wspomnienia wojenne Józefa Migdała*, w zbiorach autora.

⁵ *Wspomnienia wojenne Janiny Dadej*, w zbiorach autora.

⁶ www.brzesko.ws/_brzesko/documents/historia/loniowa/zks_loniowa.html

W ślad za Wehrmachtem uciekali też osiedleni tu Niemcy i volksdeutsche. Jeden z gospodarzy niemieckich, mieszkający w Dębnie, zostawił w gospodarstwie narzędzia, a nawet rzecz w tamtych czasach wręcz nie-spotykaną – ciągnik rolniczy na żelaznych kołach¹ marki Lanz Bulldog.

Zabawna historia, którą po latach wspominała Zofia Kolarzowska-Sanakiewicz, wiąże się z opuszczeniem przez Niemców dworu w Łoniowej. Juliusz Kolarzowski, obecny w swoim domu, obserwując pakujących się w pośpiechu Niemców, zauważył, że w pomieszczeniu, gdzie wojskowi prowadzili narady sztabowe, na ścianie pozostał duży obraz przedstawiający Adolfa Hitlera. Szybko wziął malowidło i wybiegł z nim na zewnątrz. Zdążył w samą porę, gdyż generał Fritsch, który dowodził jednostką, siedział już w swoim czarnym samochodzie marki Horch, a ordynans zatrzasnął za nim drzwi, gotowy do odjazdu. Julian zawołał po niemiecku: *Halt! Halt! Zostawiliście portret Führera, panowie*. Ordynans zabrał portret i schował go w bagażniku, nie mówiąc ani słowa, jedynie generał cicho zaklął, po czym odjechali².

17 stycznia nasza gmina była już wolna od Niemców³. Rosjanie triumfowali. Miały nadejść nowe, lepsze czasy. Ale czy na pewno?

Polacy z radością witali koniec wojny, ale nie wiedzieli, że wyzwolenie oznaczało równoległe tworzenie nowej komunistycznej władzy w Polsce. Już 21 VII 1944 roku w Moskwie utworzono PKWN (Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego), czyli *de facto* rząd marionetkowy, który obejmował władzę na „wyzwolonych” przez Armię Czerwoną terenach Rzeczypospolitej.

19 stycznia 1945 roku rozwiązano AK, odwołując po wcześniejszych doświadczeniach ogólne powstanie, do którego organizacja ta przygotowywała się przez całą okupację. Musiało to dotknąć osoby, które przez tyle lat z narażeniem życia walczyły o wolność, aż w końcu, gdy miała nadejść, zostały oszukane i odtrącone. 2 września 1945 roku powstało zrzeszenie Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość” w skrócie WiN, którym zarządzali oficerowie służący wcześniej w Armii Krajowej. Poddział administracyjny na okręg, inspektorat i obwód też został przejęty z AK. WiN jako organizacja antykomunistyczna, próbowała za wszelką cenę nie dopuścić do nielegalnego przejścia władzy przez komunistów. Organizacja ta miała też swoje struktury w gminie Dębno.

¹ *Wspomnienia wojenne Edwarda Powroźnika*, w zbiorach autora.

² www.brzesko.ws/_brzesko/documents/historia/loniowa/zks_loniowa.html

³ Albert Kryszczuk, *Krótki rys historyczny ruchu oporu na terenie pow. brzeskiego*, Bytom 1959., str. 38.



„Atos”, „Morwa”, „As”
(fot. ze zbiorów rodzinnych)



Spotkanie po latach.
Albert Kryszczuk trzeci
z lewej (fot. Biblioteka
Publiczna w Porąbce
Uszewskiej)

Podczas gdy po wyzwoleniu większa część członków BCh uznała rządy PKWN, wstępując w szeregi organizacji takich jak Ludowe Wojsko Polskie, Urząd Bezpieczeństwa i Milicja Obywatelska¹, członków AK i WiN przetrzymywano w piwnicach brzeskiego UB. Współpracę z Urzędem Bezpieczeństwa podjęło 16 członków BCh z gminy Dębno, a pięcioro z nich poległo w bratobójczej walce z członkami Armii Krajowej². Jedyne kilku z nich pozostało wiernymi polskiemu rządowi emigracyjnemu i przebywało w ukryciu. Rolę, którą pełniło gestapo podczas okupacji, przejęło NKWD oraz polskie służby, takie jak MO czy UBP. Rozpoczęło się „polowanie” na ukrywających się członków polskiego podziemia. Kto tylko mógł, uciekał ze swojego miejsca zamieszkania w inny rejon Polski lub za granicę, aby uniknąć aresztowania. Wielu partyzantów z naszej gminy wyjechało na ziemie odzyskane, choć niestety nie wszyscy mieli tak wiele szczęścia. Wielu członków podziemia wpadło w ręce agentów bezpieki, było więzionych i torturowanych, wielu zmarło w więzieniach.

Znamienna jest postać Władysława Drąga „Stalingrada” z Maszkienic. Zapisał się on niechlubnymi zgłoskami w powojennej historii naszego powiatu. Zaraz po wyzwoleniu wstąpił w szeregi UB. Dowodził akcjami aresztowań wszystkich oficerów AK, którzy nie zdołali wyjechać. Żyjący świadkowie wspominają go jako (...) *człowieka okrutnego, partyzanta i bandytę*³.

Władysław Drąg odegrał nikczemną rolę w szykanowaniu ukrywających się członków podziemia. On sam, jak już wspomniałem, w czasie okupacji niemieckiej należał do Batalionów Chłopskich. Wówczas pod pseudonimem „Stalingrad” pełnił funkcję zastępcy komendanta brzeskiego oddziału Ludowej Straży Bezpieczeństwa. Natychmiast po wyzwoleniu wstąpił do PPR-u oraz rozpoczął pracę w brzeskim UB. Na swoim koncie miał wiele zatrzymań i okrutnych przesłuchań. Przeprowadził m.in. obławę na Floriana Filipa „Poraja”⁴ oraz Juliana Grochala „Kamienia”⁵. Wielu bohaterów podziemia było przez niego szykanowanych i torturowanych. Mimo to, jako bohater wojenny nowych władz, objeżdżał szkoły, uświetniając akademie z okazji wyzwolenia. Jednak jego okrucieństwo

¹ Władysław Myśliński, *A jednak tak było*, str. 378. Stanisław Lechowicz „Jasień” poinformował o gotowości ujawnienia się BCh i współpracy z nowymi władzami.

² Tamże.

³ *Wspomnienia wojenne Janiny Dadej*, w zbiorach autora.

⁴ www.bochenscywykleci.pl/index.php/oddzialy/10-dzialalnoosc-grupy-stalingrad. Dostęp 24.01.2017 r. godz. 22.28.

⁵ *Życiorys Juliana Grochala*. Archiwum Jedynaka T. 4 s. 7



Krzyż w miejscu śmierci Adama Bartosza i Jana Kawy



Krzyż w miejscu stracenia Jana Roczniaka

było tak wielkie, a niesubordynacja tak rażąca, że został wyrzucony z UB i rozpoczął zwykłą działalność przestępczą.

Mieszkańcy żyli w strachu przed działaniami tego nieobliczalnego człowieka. Prowadził on życie pospolitego bandyty. W letnich miesiącach ukrywał się w pobliskim lesie, z kolei zimą w stodołach i na poddaszach domów mieszkańców wsi. Ludzie, chcąc ocalić życie, musieli mu udzielać schronienia, gdyż zapewne nie zawahałby się zabić nawet z tak błahego powodu. *Ludzie mówili, że podobno koło Nowego Sącza popełnił zbrodnię, gdy gospodarz nie udzielił mu schronienia*¹. Po wojnie „Stalingrad” został złapany przez MO i UB, a następnie skazany na karę śmierci.

Losy jego kolegów z partyzantki, których po wojnie zaczął traktować jak wrogów, nie były losami bohaterów wojennych, którzy powinni zbierać laury za swoją walkę dla ojczyzny.

Julian Grochal „Kamień” jako jeden z pierwszych przekonał się na własnej skórze, jak działa aparat Urzędu Bezpieczeństwa. Funkcjonariusze nocą wdarli się do jego mieszkania, niszcząc drzwi i wybijając szyby w oknach. To, co cennego znajdowało się w mieszkaniu, zostało skradzione, a samego Juliana dotkliwie pobito i związanego sznurem wyprowadzono z domu. Chcąc dodatkowo go zastraszyć, Juliana wieziono do Brzeska dłuższą trasą, prowadzącą przez kilka wsi, oddalonych od głównej drogi. W Brzesku przebywał trzy dni, a po zwolnieniu powrócił do pracy w urzędzie gminy. Pobyt na wolności nie trwał jednak długo, bo zaledwie po tygodniu znów został aresztowany i po długich przesłuchaniach osadzony w więzieniu przy Placu Inwalidów w Krakowie. Powróciwszy do domu, zastał mieszkanie kolejny raz zdemolowane po wizycie ubowców. Wszystkie jego ubrania i rzeczy osobiste zostały zniszczone. Grochal, aby ratować siebie i swoją rodzinę przed prześladowaniami, zmuszony był wyjechać do Katowic. Krótco po przyjeździe na Śląsk zaczął skarżyć się na ostre bóle brzucha towarzyszące mu od czasu przesłuchań. Po kilku miesiącach umarł².

¹ *Wspomnienia wojenne Kazimierzy Pach*, w zbiorach autora.

² *Życiorys Juliana Grochala*. Archiwum Jedynaka T. 4 s. 8

Stalingrad

Andrzej Chodacki

– Nie!!! – zerwał się z postania i otworzył szeroko oczy. Pokój. Świt wywlekał z cieni skrzywione starością meble. Kwadrat okna rysował się niepewnie w miejscu, w którym zastonił je szczelnie poprzedniego dnia.

Znowu – jęknął bezgłośnie, gdy obcierał spocone czoło. Drąg i inni. Boże, jacy oni popaleni, jak wyją i wyciągają te kikuty...

Zwłókł się z łóżka. Miał zamiar rozruszać się trochę, bo stawy mu trzeszczały ze zużycia, ale zrezygnował z tego. Coś ciągnęło go do szafy. Nałożył szlafrok i podszedł parę kroków. Otworzył szeroko dwuskrzydłowe drzwi. Mundur wisiał na wieszaku, tam gdzie zwykle.

Wspomnienia same zjawily mu się przed oczami, natrętne, nieproszone, jakby odpowiedziały na to, co widziały oczy.

– Ta sprawa z Drągiem... – wypowiedziane szeptem zdanie sprawiło, że znów powróciły obrazy. Początkowo niewyraźne, jak odbicie w brudnym, na wpół ślepych już lustrze. Potem wychynęło z nich ciężkie, posępne udręczenie, które od lat nosił w sobie jak zasklepioną ranę. Stał tak, stał...

Stał i patrzył w niskie okienko, gdy wprowadzono więźnia.

– Obywatelu majorze, kapral... – oficer już uciął meldunek zniecierpliwionym ruchem ręki.

– Zostawcie – zwrócił się do kaprala.

– Ale obywatelu...

Znów uniesiona ręka oficera uciszyła nadgorliwego funkcjonariusza. Kapral wzruszył ramionami i wykonał regulaminowy odwrót.

Buc z Krakowa się popisuje – pomyślał. – Ostatnio taki jeden mało porucznika nie udusił, ale co tam. Rozkaz to rozkaz, niech go Drąg nawet udusi, będzie wesoło.

Oficer spojrział na więźnia.

– Ech, Drąg, co ja mam z wami zrobić – zagadnął, podchodząc do stołu. – Tutejsi funkcjonariusze twierdzą, że wy jesteście wyjątkowe bydło.

Ubek studiował pociągłą twarz skazańca. Użył słowa „ja”, bo przy jego szarzy przysługiwało mu własne zdanie. W Brzesku, gdzie kierownikiem placówki UB był porucznik, słyszało się zawsze tylko „my”. To już trzecie przesłuchanie, trzeci raz przyjeżdża z Krakowa, by rozpracować Drąga, i im dalej w czasie, tym większe zaniepokojenie wywoływał w nim ten człowiek.

– Normalnie, obywatelu majorze, przepisowo – Władysław Drąg uśmiechnął się i wbił swoje małe, świdrujące oczka w twarz funkcjonariusza.

– Przepisowo, to za to, co wyście nawywijali, jest kula w łeb.

– Toż mówię, że normalnie. Jak kula w łeb, to kula w łeb.

Major znów obrzucił skazańca badawczym spojrzeniem.

Gra czy głupi? – zastanawiał się. – A może taki kozak?

– Dziwny z was człowiek, Drąg – oficer zawiesił na twarzy skazańca swoje najcięższe spojrzenie spod krzaczastych brwi, mocował się chwilę z barierą nie do przebrnięcia i w końcu opuścił wzrok. Sprawnie ukrył zmieszanie, które zbito go z tropu po tej potyczce bez słów.

Co jest nie tak z tym człowiekiem?

Sięgnął po papierosa i poczęstował więźnia, a ten przyjął bez wahania.

– Dziwny, obywatelu majorze, to był Kocioł – Drąg rozsiadł się bez pozwolenia. – Józek Kocioł, major pewnie o nim słyszał. Przez chwilę nawet mu było z wami po drodze, ale ten Kocioł miał jedną cechę, przez którą miał ciągle pod górę: nie przyjmował rozkazów od nikogo, a ci, co mu próbowali rozkazywać, źle kończyli. Znałem jednego, co z Józkiem chodził i opowiadał przy wódce, że Józek pakt z diabłem podpisał. Od tej pory nikt mu nie mógł podskoczyć. Coście kogoś po niego wystali, to mordę obił albo powystrzelał. Niektórzy też wracali bladzi i gadali, że niby podejrzanego nie znaleźli. W końcu wystali nas, ludzi ze stali, żebyśmy z Józkiem porządek zrobili.

– I co, znaleźliście go?

– W tym właśnie kłopot, obywatelu majorze, że Kocioł nie dał się nigdy wciągnąć w żadną zasadzkę. Zmysł miał, a może mu diabeł podpowiadał? Ludzi miał też oddanych, nikt nie dał się przekabacić, żeby nam Józka wystawić. Myślę, że oni się go bali bardziej, niż całego waszego UB z NKWD razem wziętych – tu Drąg zrobił przerwę, dając majorowi czas na próżne domysły, jakby chciał przygotować grunt dla dalszej opowieści.

– No i? – oficer rzucił tonem nakłaniającym do zwierzeń, zupełnie nie jak oficer UB. Cień zadowolenia rozjaśnił twarz więźnia, górna warga uniosła mu się w drwiącym napięciu. Roześmiał się sucho, wstrzemięźliwie, po czym zaciągnął się papierosowym dymem.

– Ludzie gadali, że Kocioła nie imają się kule, że nieśmiertelny niby. Postanowiłem to sprawdzić. Kiedyś nad Wisłą wracaliśmy do kwater, gdy nagle ostrzelali nas z brzegu, bez ostrzeżenia. Nasz samochód mocno podziurawiło, zeskoczyliśmy w rów za wysoką miedzą i obserwujemy teren. Cicho, dziwnie, nikt się nie ujawnia. Krzyczę do tamtych:

– Coście za jedni, że strzelacie do Stalingrada?!

Myślę, trochę ludzi mnie zna, jak gówniarze jacyś, to zaraz uciekną. Chwila ciszy, potem krzyczy on, bo kto by inny tak krzyknął:

– Po dwóch ludzi! Spotkanie na środku pola!

Biorę Iskrę* i ruszamy. Z tamtej strony idzie do nas dwóch tęgich. Idą pewnie, nie boją się.

To musi być on – pomyślałem i sprawdziłem, czy pistolet mi dobrze leży w dłoni ukrytej w rękawie. Nieduże cacko, ale z małej odległości robił wielką dziurę w brzuchu.

Tu oficer śledczy zapisał coś w notatniku, a Drąg kontynuował bez zenady.

– Zbliżaliśmy się do siebie w milczeniu. Wreszcie krzyknąłem:

– Kocioł!

* Paweł Pęczak, towarzysz Władysława Drąga.

Jeden z nich podniósł karabin i zaczęła się jatka. Tego wyrywnego trafiłem w głowę, fiknął, nawet nie zdążył zrobić kroku w przód. Drugiego zdjął Iskra. Padliśmy na ziemię, kilka pocisków przeleciało nam nad głowami, a z tyłu nasi dali mocny ogień zaporowy na brzeg. Zobaczyliśmy, jak tamci sieprzają w stronę lasu i wszystko się skończyło. Normalna robota, czysta i pewna. Broń zabraliśmy, przeszukaliśmy trupy, czy nie mają jakichś dokumentów i wtedy to się stało...

Mężczyzna znów przerwał barwny monolog, a major po chwili zaczął kręcić się na krześle.

– Dokończycie? – z nieudolnie skrywanym zniecierpliwieniem zwrócił się do więźnia.

Drąg z satysfakcją doszedł do wniosku, że to on powinien siedzieć po tamtej stronie biurka. Po chwili zaczął opowiadać dalej.

– Gdy wróciliśmy na miejsce, zobaczyłem gęby moich ludzi i zrozumiałem, że coś jest nie tak. Odwróciłem się i widzę Kocioła, jak stoi i patrzy w moją stronę. Wszyscy tak zbaranieli, że nikt nawet nie pomyślał, żeby mu kulkę drugi raz posłać. Stoi tam ten, któremu przed chwilą rozwaliłem łeb. Zaniemówiłem i ja, bo czegoś takiego w życiu nie widziałem.

– Stalingrad! – krzyknął do mnie – jeszcze się policzymy!

I pobiegł polem za swoim oddziałem.

Mężczyzna zrobił przerwę na zaciągnięcie się papierosem.

– Widać z diabłem pakt podpisał – dorzucił przez chmurę dymu – jak nic, tak musiało być.

– Może rana była powierzchowna? – major podał w wątpliwość nadnaturalny charakter zjawiska.

– Stałem nad nim – skazaniec uśmiechał się z pobłażaniem. – Kula weszła lewym okiem i wyrwała mu kawałek potylicy. Musicie przyznać, majorze, że dziwna była sprawa z tym Józkiem Kociołem.

Major musiał przyznać, choć nie dał tego po sobie poznać. Wszedł sierżant prosić oficera na obiad. Ubek zamknął notatnik i ruszył do wyjścia.

– Na dziś wystarczy – rzucił przez ramię. – Wrócę za tydzień i chciałbym usłyszeć coś konkretnego, a nie te pierdoły o diablach. Chyba że wy nic istotnego nie wiecie, to ja nie będę na was tracił czasu.

– Major się uparł, żeby ze mną gadać, ja się nie prosiłem – skazaniec nawet nie ruszył się z krzesła, dopiero cios kaprała w plecy podniósł go na nogi. – Czapa to czapa, szkoda czasu obywatela majora i mojego.

Kapral znów się zamierzył, ale spojrzenie Drąga osadziło go w miejscu. Oficer pokiwał jeszcze głową i wyszedł pełen sprzecznych uczuć.

– Do milicjantów strzelaliście, Drąg, do naszych funkcjonariuszy, jak jakiś AK-owiec! A czy wy jesteście z AK? Czy nie pracowaliście dla Polski Ludowej, tak jak my? W dupie wam się przewróciło, czy co?!

– Jak pies pobiegnie na skraj lasu, żeby kuropatwy ścigać, to musi się liczyć z tym, że spotka tam wilka i wtedy tylko jeden z nich, który ma dłuższe zęby, przy życiu zostaje. Tak jest w przyrodzie i tak jest między ludźmi.

– A wy niby jesteście ten wilk?!

– Ja jestem gorszy od wilka, obywatelu majorze. I jak stąd wyjdę, to się o tym przekonacie.

– A Stalingrad dlaczego?

– O to pytać nie można, obywatelu majorze.

– Mogę pytać, o co chcę!

– O to nie!

– Metody śledcze są różne, Drąg. Na razie ja z wami po dobroci, jak ojciec, ale to się może zmienić.

– Ja się nie boję, a stąd ucieknę, jak będę chciał.

– Ciekawe – major nie mógł wyjść z podziwu dla nieprzewidywalnej natury przesłuchiwanego więźnia. Gdyby nie wieloletni trening skrywania prawdziwych odczuć, kręciłby głową cały czas.

– Ciekawe to było, jak pojechaliśmy po Jedynaka do Porąbki – mężczyzna rozpoczął opowieść, a major przyglądał mu się ciągle zafrasowany. Właściwie, gdyby nie ta zawodowa ciekawość, Drąg już dawno dyndałby na szubienicy. „Trwają czynności śledcze, istnieje szansa na pozyskanie ważnych informacji dotyczących bandy Drąga”, tak tłumaczył przełożonym prośby o odroczenie egzekucji więźnia, który właśnie swobodnie, jakby był na pikniku, na przemian gestykulował i wybuchał śmiechem. Co z tym cholernym Drągiem jest nie tak?!

– ... i wtedy on, obywatel uważa, hyc, jak zając z paki w zarośla, co przy rzece rośły. Chytry plan, kozak, bo pewnie ze trzy metry leciał w dół. Myślałem, że choć gnaty połamie, a on jeszcze zdążył do nas z tych krzaków strzelić. Od razu pożałowałem, żeśmy gadziny nie przeszukali. Jeden z naszych oberwał w ramię. Jak on trafił z takiej pozycji? Przyznać trzeba, twardy gość. Pociągnąłem serią po krzakach, ale już go tam nie było. Wróciliśmy do Brzeska, bo ranny zaczął krwawić. Potem się okazało, że Jedynak przepadł jak kamień w wodę. Przyznać trzeba, że ciekawy człowiek. Kiedyś go jeszcze dopadnę.

Śledczy pokiwał głową i zapalił kolejnego papierosa.

– Chyba nie – oznajmił spokojnie.

– Co nie?

– Chyba nie dopadniecie Jedynaka, bo macie KS* w papierach. KS! Nic wam to nie mówi?

– Nie denerwujcie się tak.

– Ja się denerwuję? – oficer śledczy już pożałował swojej reakcji. Znowu to samo. Drąg łapał go w pułapkę jak małe dziecko. Na szczęście zadzwonił telefon. Major wysłuchał głosu w słuchawce i wstał. Dobry moment, żeby przełożyć

* KS – kara śmierci.

przesłuchanie. Śledczy i tak stał już dziś na straconej pozycji. Trudno się dziwić, że Drąg był tak oporny. Przechodził tę samą szkołę w UB. Ale major nie tracił nadziei, że bandyta w końcu się wysypie. Przed stryczkiem zaśpiewa inaczej.

– Dlaczego byłeś takim sukinsynem?! Strzeliłeś dziecku w pierś bez powodu?!

– Pytacie wilka, dlaczego gryzie, albo jastrzębia, dlaczego lata?

– Ale ty jesteś człowiekiem, Drąg, człowiekiem, jakieś zasady cię obowiązują!

– A wy jesteście ludźmi? Katujecie tu niewinnych, wieszacie bez powodu...

Nie mówię mnie, ale ty tu zakatowaliście, co nic złego nikomu nie zrobili. Mnie będziecie pieprzyć o człowieczeństwie, majorze, a sami nie możecie spać, bo was budzą ci, co ich macie na sumieniu!

– Skąd ty...?!

– Wiem więcej, niż się wam wydaje. Co, Drąg?! Głupi bandyta?! A wy to niby jesteście lepsi?!

Oficer szurnął krzesłem, wstając od stołu. Zawisł złowieszczo z tyłu nad Drągiem, który nawet nie odwrócił twarzy w jego stronę. Potem zgasił żarzącego się peta na dłoni więźnia i wyszedł, trzaskając drzwiami. Skazaniec nie poruszył się. Odkleił spokojnie niedopałek od skóry, uśmiechnął się jednym z tych swoich uśmiechów pełnych pogardy i dopalił spokojnie do końca.

Major słaby jest. W mordę lać to każdy kapral potrafi, ale zrozumieć człowieka – uśmiech zniknął z jego twarzy – zrozumieć, to co innego.

– Obywatelu majorze, pilna sprawa – sierżant pochylił się nad głową oficera UB, szepnął mu coś do ucha. Mężczyzna poblądł.

– Co wy mi tu...?

– Świadkowie są, widzieli go w Brzesku – postaniec jakby chciał obronić się przed gniewem majora, który już zrywał się od stołu. Siedzący naprzeciw niego człowiek próbował oblizać potłuczone ciosami pięści wargi. Gdy major wybiegł wzburzony, w duchu ucieszył się, bo choć na chwilę przestaną bić. Tymczasem dwóch funkcjonariuszy szybkim krokiem forsowało kolejne kraty i otwierane na wezwanie drzwi UB-eckiej katowni przy ulicy Kościuszki. Sierżant wyszedł na czoło na chwilę przed tym, jak wskazał ręką, a następnie otworzył drzwi na końcu korytarza. W środku porucznik palił papierosa. A właściwie próbował palić, bo ręce mu się trzęsły tak, że trudno mu było trafić do ust.

– Co jest?! – ostro rzucił major od drzwi.

– Widziałem go – odparł tamten i spojrzał przekrwionymi oczami. Gdyby nie ostatnie fakty, major by pomyślał, że chlał, ścierwo, tydzień bez przerwy. Starszy oficer spojrzał wymownie na sierżanta, a ten bez słowa wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

– Co ty, ku...a, gadasz?!

– Mówię ci, widziałem Drągą!

– Drąg zawiał miesiąc temu, byłem przy egzekucji! – major złapał porucznika za rękaw, ale ten się wyrwał obcesowo.

– To był Drąg, rozumiesz?! Drąg! Stał przy sklepie na Głowackiego i uśmiechał się do mnie... pod krawatem... w kapeluszu... powiedział mi...

– Co ci powiedział?

– Powiedział: „jeszcze się policzymy” i wszedł do sklepu.

– Może jakiś popapraniec podszywa się pod niego, trzeba było go skuć!

– On miał takie oczy... zatkało mnie – porucznik zgasił papierosa. – Zanim nasi wrócili z przeszukania, minęło dosłownie pięć minut. Weszliśmy do sklepu, ale jego już tam nie było. Zniknął. Przeszukaliśmy wszystko dokładnie, drugiego wyjścia nie było.

Major myślał. Stał, gryząc wargę i myślał. Wreszcie usiadł zrezygnowany na krześle.

– Pewny jesteś? – zapytał jeszcze

– Ku...wa, Janek, to był Drąg! – porucznik złapał nerwowym ruchem drugie krzesło i usiadł naprzeciwko majora.

– Czy wyście na pewno Drąga powiesili?

Twarz majora zrobiła się jakaś mniejsza, zacięta, głos mu się zmienił, zdławiony, cichy.

– Byłem przy egzekucji trzeciego sierpnia – wydusił z siebie. – A to sku...yn!

Albert Kryszczuk „Skała” ukrywał się przed UB w lesie lub w sianie. W końcu za namową żony, uprzedzając aresztowanie, wyjechał z Sufczyzna 10 marca 1945 roku na Śląsk, gdzie pełnił funkcję inspektora szkolnego na powiat bytomski, a później dyrektora szkoły górniczej przy kopalni Szombierki. Potem przeszedł na emeryturę. Nadal uczył w technikum rolniczym w Nakle Śląskim do roku 1972¹.

Stefan Stankiewicz „Niedźwiedź” przeniósł się na Pomorze i długo nie mogąc nigdzie zagrzać miejsca, ostatecznie jako rybak zamieszkał w Wolinie².

Jan Żółty „As” został aresztowany, osadzony i przesłuchiwany w krakowskim więzieniu na ulicy Montelupich. Po kilku miesiącach wyszedł na wolność z groźbą 10 lat więzienia. Udało mu się uniknąć niesłusznej kary dzięki ogłoszonej amnestii³.

Józef Wańdyga „Dąb” w styczniu 1945 roku wyjechał do Chorzowa i tam pełnił funkcję podinspektora szkolnego⁴.

Henryk Rusin „Strzała” został aresztowany w lutym 1945 roku. Po opuszczeniu więzienia w czerwcu udał się na Śląsk, tam otrzymał pracę w Hucie Bobrek, na stanowisku komendanta straży ogniowej⁵.

Franciszek Mleczo „Wiktor” po wyzwoleniu pracował jako naczelnik Wydziału w Ministerstwie Oświaty w Warszawie⁶.

Teofil Hebda „Błyskawica” pozostał w Porąbce Uszewskiej. UB aresztowało go w 1945 roku. Po licznych przesłuchaniach i torturach został zwolniony w 1948 roku, ale stwierdzono u niego padaczkę pourazową. Pozbawiony praw obywatelskich przebywał pod ciągłą obserwacją UB⁷.

Stanisław Jedynek „Ola”, o którym piszemy szerzej na wstępie, uciekając przed represjami, osiadł na Śląsku⁸. Jan Żurek „Stal” po wojnie objął stanowisko starszego wizytatora szkół zawodowych w Katowicach⁹. Jan Smoleń wyjechał do Katowic, pracował tam jako kurator okręgu szkolnego¹⁰.

¹ Albert Kryszczuk, *Ruch oporu w powiecie brzeskim 1939-1945*, Sufczyn 1986., str. 16.

² Tamże.

³ *Życiorys Józefa Żółtego*. Archiwum Jedyneka T. 4 s. 9.

⁴ Albert Kryszczuk, *Ruch oporu w powiecie brzeskim 1939-1945*, Sufczyn 1986., str. 16.

⁵ Tamże.

⁶ Tamże, str. 17.

⁷ Tamże.

⁸ Tamże.

⁹ *Życiorys Jana Żurka*. Archiwum Jedyneka T. 4 s. 12.

¹⁰ Tamże.



Tadeusz Straszyński „Meteor” w Australii (fot. Biblioteka Publiczna w Porąbce Uszewskiej)

Michał Rocznik po wojnie został marynarzem, pływał m.in. na statku pasażerskim MS Batory¹.

Koniec wojny, który nastąpił oficjalnie 8 maja 1945 roku, nie dla wszystkich oznaczał koniec cierpień i niedoli. Zbierając informacje do książki, rozmawiając ze świadkami tamtych wydarzeń, odnosiło się wrażenie, że w umysłach ludzi, którzy przeżyli tamte czasy, wojna trwa do dziś.

¹ *Życiorys partyzantów z rodziny Roczników*. Archiwum Jedynaka T. 4 s. 14.

EPILOG

Andrzej Chodacki

Każda książka ma swoją genezę i gdyby ktoś zapytał, dlaczego ta właśnie książka została napisana, należałoby przyrzeć się bliżej kilku istotnym faktom.

Zacznijmy od tego, że pomimo wielkiego zaangażowania w walkę zbrojną najpierw z niemieckim, potem rosyjskim okupantem, czyny i zrywy wolnościowe mieszkańców gminy Dębno oraz przyległych wsi, jak choćby Porąbka Uszewska, nie zostały nigdy dotąd dokładnie udokumentowane i opisane. Owszem, powstawały pojedyncze publikacje prasowe czy książkowe, zwykle niedokładne, oparte na domysłach, często zniekształcone typową dla powojennych czasów koniecznością zachowania poprawności politycznej w komunistycznej rzeczywistości. Były też niepublikowane dotąd, obszernie często i pobudzające wyobraźnię zbiory wspomnień, jak choćby Stanisława Jedyńaka, które dały podstawę do rozpoczęcia prac nad książką pt. *Gdy przyjdzie do nas wojna*. I tu wróćmy do autorów tej publikacji.

Doktor nauk humanistycznych Piotr Marecik, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, jako pierwszy dostrzegł ogromną wartość materiału historycznego przekazanego przez żołnierza Armii Krajowej Stanisława Jedyńaka Bibliotece Publicznej w Porąbce Uszewskiej. Z pasją dziennikarza śledczego podjął historyczne tropy wskazane przez Jedyńaka. Gdy pomysłodawca książki zorientował się, z jak obszernym materiałem ma do czynienia, zaprosił do współpracy swego kolegę Szymona Smagę-Kumorka. Współpracując, dotarli do ostatnich żyjących świadków dramatycznych wojennych czasów, gromadząc wiele relacji świadków tamtych wydarzeń. Odnaleźli wszystkie dostępne publikacje, które mogłyby rzucić światło na zawiłe losy ludzi żyjących w tamtych latach.

Na samym końcu na arenie tego publicystycznego wydarzenia pojawiłem się ja. I trudno się dziwić, bo historia zatoczyła koło. Stara przyjaźń, która łączyła mnie z Piotrem Marcikiem, gdy byliśmy dziećmi, a Piotr mieszkał w mojej rodzinnej Porąbce Uszewskiej, ożyła na nowo. Zostałem dosłownie zarażony Jego pasją dociekania prawdy. Niesamowity, wręcz detektywistyczny zmysł Piotra, nadał starym treściom nowe znaczenia i kierunki, za którymi poszedłem, dopisując fabularne rozwinięcia do historii opowiadanych w książce. Jako pisarz mogłem pozwolić sobie na uzupełnienia ciągów ludzkich losów tam, gdzie zabrakło twardych dowodów historycznych.

W taki właśnie sposób solidnie udokumentowany materiał historyczny i fikcja literacka, czasem być może będąca bardzo blisko wyjaśnienia przeszłych wydarzeń, zlały się w jedno dzieło literackie – książkę *Gdy przyjdzie do nas wojna*.

Jestem przekonany, a występuję tu także w imieniu Piotra Marcika i Szymona Smagi-Kumorka, że książka ta jest najlepszym dziełem literackim opisującym dzieje niemieckiej okupacji Gminy Dębno w latach 1939-1945. Mam nadzieję, że pozwoli ona zachować od zapomnienia bohaterские czyny ludzi uwikłanych w dramatyczne wojenne losy, cierpiących i ginących w imię wyższych wartości, takich jak Bóg, Honor i Ojczyzna. Bo wolność nie jest nam dana na zawsze.

Pamiętajmy o tym, gdy będziemy wspominać tych, dzięki którym dziś możemy żyć w wolnej Polsce.

ANEKS

Spis partyzantów gminy Dębno krypt. „DANUTA”, „DAWID” 1939-1945

Lp.	Nazwisko, imię	Pseudonim	Przynależność	Miejsce zamieszkania	Uwagi
1	Bartosz Adam	„Kmicic”	ZWZ–AK	Biadoliny Szlacheckie	podporucznik, dowódca dywersji
2	Bartosz Ludwik		ZWZ–AK	Biadoliny Szlacheckie	
3	Batko Teofil	„Orzeł”	ZWZ– AK	Sufczyn	
4	Batko Władysław		ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	
5	Batko Zofia		ZWZ–AK	Sufczyn	
6	Bodura Jan	„Zamek”	ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	pluton dywersji
7	Bodura Ludwik	„Stopa”	BCH– AK	Doły	plutonowy
8	Bodura Ludwik		ZWZ– AK	Łoniowa	
9	Bodzioch Rudolf	Śliwa”	NOW – AK	Biadoliny Szlacheckie	5 kompania 16 pp AK, bitwa pod Jamną
10	Burnóg Antoni		ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	szeregowy
11	Chlupka Franciszek		ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	szeregowy
12	Chlupka Michał		ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	szeregowy, łącznik
13	Czyż Józef		ZWZ–AK	Jastew	
14	Dadej Stanisław	„Sulma”	BCH– AK	Maszkienice	szef „Rocha”
15	Dudek Franciszek		ZWZ–AK	Łoniowa	

16	Dzierwa Kazimierz		NOW – AK	Biadoliny Szlacheckie	
17	Fiksak Alojzy		ZWZ– AK	Sufczyn	WSOP
18	Franczyk Józef	„Czarny”	ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	
19	Gajda Franciszek		ZWZ–AK	Łysa Góra	
20	Gajda Michał		BCH– AK	Doły	
21	Gągolik Józef		ZWZ–AK	Łysa Góra	
22	Góral Klemens	„Piorun”	ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	pluton dywersyjny, akcja w Borzęcinie
23	Grochal Julian	„Kamień”	ZWZ– AK	Dębno	referent wojskowy
24	Grochal Kamila	„Szarotka”	ZWZ–AK	Dębno	
25	Gurgul Józef	„Ludola”	NOW – AK	Porąbka Uszewska	
26	Hebda Jan	„Pantera”	BCH – AK	Doły	z-ca komendy obwodu BCH
27	Hebda Jan	„Pantera”	BCH – AK	Porąbka Uszewska	
28	Hebda Teofil	„Błyskawica”, „Orbit”	ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	sierżant, dowódca plutonu dywersji
29	Jakubas Tadeusz	„Vis”	NOW – AK	Biadoliny Szlacheckie	
30	Jedynak Aniela	„Kądziała”	ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	
31	Jedynak Antoni	„Smyk”	ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	
32	Jedynak Piotr	„Florek” „Dzik”	ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	szeregowy
33	Jedynak Stanisław	„151”, „Ola”	ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	oficer łącznikowy

34	Kawa Jan	„Kresowiak”	ZWZ–AK	Sufczyn	podporucznik, oficer dywersji
35	Kliś Mieczysław		ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	
36	Kłos Jan	„Kołodziej”	BCH– AK	Jastew	
37	Korcyl Antoni	„Kulig”	ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	
38	Kryszczuk Albert	„Skała”	ZWZ–AK	Sufczyn	porucznik, I zastępca komendanta Obwodu
39	Kubala Stanisław	„Młot”	ZWZ–AK	Wola Dębińska	inżynier,
40	Kural Andrzej	„Komar”	BCH– AK	Łysa Góra	
41	Kutek Julian		NOW – AK	Perła	
42	Macheta Jan		ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	plutonowy
43	Macheta Józef		ZWZ–AK	Łysa Góra	
44	Macheta Wojciech		ZWZ–AK	Sufczyn	WSOP
45	Machowski?		NOW – AK	Jastew	
46	Malec Kazimierz	„Korsarz”	NOW – AK	Biadoliny Szlacheckie	5 kompania 16 pp AK, bitwa pod Jamną
47	Malinowska Wiktoria	„Krystyna Zaleska”	BCH– AK	Niedźwiedza	Ludowy Związek Kobiet
48	Marek Franciszek	„Kosa”	BCH – AK	Łoniowa	st. sierżant dowódca plutonu
49	Marek Franciszek		ZWZ–AK	Łoniowa	
50	Marek Franciszek	„Rosa”	ZWZ–AK	Łoniowa	
51	Matura Antoni	„Woźnica”	ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	

52	Michałek Alojzy		ZWZ–AK	Sufczyn	WSOP
53	Michałek Franciszek		ZWZ–AK	Sufczyn	
54	Michałek Helena	„Ala”	ZWZ–AK	Sufczyn	łączniczka,
55	Michałek Jan	„Atos”	ZWZ–AK	Sufczyn	KIP
56	Michałek Konstanty		ZWZ–AK	Sufczyn	WSOP
57	Michałek Stanisław	„Dzwon”	ZWZ–AK	Sufczyn	kapral, dywersja
58	Migdał Alojzy		ZWZ–AK	Sufczyn	WSOP
59	Migdał Jan	„Czarny”	NOW–AK	Jastew	kapral, dowódca drużyny
60	Mleczek Antoni	„Młyński”	BCH – AK	Sufczyn	
61	Mleczek Franciszek	„Ruta”	ZWZ–AK	Łysa Góra	tajne nauczanie
62	Mleczek Jan	„Kosa”	ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	
63	Mleczek Stanisław	„Telciok”	ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	
64	Mleczek Władysław	„Czarny”	NOW – AK	Porąbka Uszewska	plutonowy
65	Mordarska Wincentyna		ZWZ–AK	Dębno	ukrywał się u Kargula
66	Morys Jan	„Smoleń”	ZWZ–AK	Łysa Góra	tajne nauczanie
67	Oćwieja Kazimierz	„Sęk”	NOW – AK	Biadoliny Szlacheckie	5 kompania 16 pp AK, bitwa pod Jamną
68	Okrzesa Michał		ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	szeregowy
69	Pabian Franciszek		ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	

70	Pabian Kacper		ZWZ-AK	Łoniowa	
71	Pabian Kasper		BCH	Łoniowa	
72	Pabijan Franciszek	„Muzykant”	ZWZ-AK	Porąbka Uszewska	
73	Pater Józef	„Zawieja”	NOW – AK	Biadoliny Szlacheckie	5 kompania 16 pp AK, bitwa pod Jamną
74	Pięta Józef	„Granat”	ZWZ- AK	Porąbka Uszewska	
75	Pilch Jan		ZWZ-AK	Łysa Góra	
76	Pilch Władysław	„Szary”	NOW- AK	Bielcza	z-ca I plutonu „Janina”
77	Przeklasa Franciszek		ZWZ-AK	Sufczyn	WSOP
78	Pudełek Władysław	„Skiba”	NOW -AK	Bielcza	
79	Roczniak Jan	„Sokół”	ZWZ- AK	Dębno	pluton dywersji
80	Roczniak Michał		ZWZ-AK	Dębno	wywiad w Niemczech
81	Roczniak Stanisław		ZWZ-AK	Dębno	
82	Rusin Anna		ZWZ-AK	Sufczyn	
83	Rusin Henryk	„Strzała’ „Brzoza”	ZWZ- AK	Sufczyn	oficer łącznikowy
84	Rusin Józef		ZWZ-AK	Sufczyn	WSOP
85	Rusin Kazimierz	„Brzytwa”	ZWZ- AK	Sufczyn	pluton dywersji
86	Rusin Maria		ZWZ-AK	Sufczyn	
87	Rusin Roman		ZWZ-AK	Sufczyn	
88	Rusin Władysław	„Młot”			

89	Rusin Zofia		ZWZ–AK	Sufczyn	
90	Rzepa Franciszek		ZWZ–AK	Łoniowa	
91	Sacha Jan	„Zajac”	BCH – AK	Łoniowa	plutonowy
92	Sady Stanisław		ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	
93	Stankiewicz Stefan	„Niedźwiedź”	ZWZ–AK	Łoniowa	podporucznik, oficer Kedywu
94	Stolarczyk Władysław	„Powata”	BCH – AK	Maszkenice	sierżant
95	Sulek Jan		ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	
96	Szkodny Zdzisław	„Longin”	NOW – AK	Biadoliny Szlacheckie	5 kompania 16 pp AK, bitwa pod Jamną
97	Tomasik Jan	„As”	ZWZ–AK	Dębno	pracownik gospodarstwa rolnego w Dębnie
98	Walenty Kutek		ZWZ– AK	Sufczyn	WSOP
99	Wańdyga Józef	„Dąb”	ZWZ– AK	Jastew	porucznik, oficer łączności
100	Węgrzyn Józef		ZWZ–AK	Sufczyn	plutonowy,WSOP
101	Witek Józef	„Wozak”	ZWZ–AK	Sufczyn	
102	Wojdak Józef	„Vis”, „Swoboda”	NOW – AK	Bielcza	dowódca plutonu, „Janina”, bitwa pod Jamną
103	Wojtaszek Henryk		ZWZ–AK	Biadoliny Szlacheckie	WSOP
104	Wołek Jan	„Morwa”	ZWZ– AK	Wola Dębińska	
105	Wołek Jan	„Skiba”	BCH – AK	Maszkenice	
106	Wołek Tadeusz	„Tadek”	NOW – AK	Biadoliny Szlacheckie	5 kompania 16 pp AK, bitwa pod Jamną

107	Wróbel Franciszek		ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	szeregowy
108	Wróbel Stanisław		ZWZ–AK	Porąbka Uszewska	
109	Wszółek Edward		ZWZ– AK	Sufczyn	WSOP
110	Wójtowicz Bronisław	„Wańko”	NOW – AK	Bielcza	
111	Zakrzewski Stanisław	„Pustków	ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	szeregowy
112	Zych Jan		ZWZ–AK	Łoniowa	żołnierz gen. Maczka
11	Żółty Jan	„As”	ZWZ– AK	Dębno	podporucznik, adiutant komendanta obwodu
112	Żurek Jan	„Stal”	ZWZ– AK	Porąbka Uszewska	referent bezpieczeństwa, tajne nauczanie